

MARTA BIJAN



MUCHOMORY
W CUKRZE

Young

M A R T A B I J A N

MUCHOMORY
W CUKRZE

Young

PLAYLISTA

marta bijan • *lato smakuje (inaczej)*

marta bijan • *disneyend*

Cullen • *Roslyn*

Cigarettes After Sex • *K.*

Lord Huron • *The Night We Met*

Yot Club • *YKWIM?*

Dawid Podsiadło • *4:30*

The Chamber Orchestra of London, Andrew Skeet • *The Secret History*

Lana Del Rey • *Young and Beautiful*

Kasia Lins • *Rób Tak Dalej*

Sufjan Stevens • *Fourth of July*

Bon Iver, St. Vincent • *Roslyn*

Mr. Kitty • *After Dark*

RY X • *Your Love*

Yann Tiersen, Claire Pichet • *Summer 78 (1)*

Marcelina, Piotr Rogucki • *Karmelove*

M83 • *Wait*

The Neighbourhood • *Daddy Issues*

Chase Atlantic • *Swim*

Justyna Święs, Kamil Holden Kryszak • *Wszystko*

Beach Weather • *Sex, Drugs, Etc.*

The Neighbourhood • *The Beach*

New West • *Those Eyes*

Sonbird • *Lqd*

Phantogram • *Black Out Days* (Future Islands Remix)

Nothing But Thieves • *Excuse Me*

Kasia Lins • *Jesteś Krwią W Mojej Żyle*

Sofi Tukker • *Drinkee*

This Mortal Coil • *Song To The Siren*

David Lynch, Karen O • *Pinky's Dream*

Radiohead • *Last Flowers*

Mazzy Star • *Fade Into You*

Vive la Fête • *Noir Désir*


Wszystkim, którzy się boją

Drogie Osoby czytające, w książce poruszane są trudne tematy.

*Jeśli któryś z takich wątków, jak samobójstwo, zaburzenia
lękowe czy zażywanie substancji psychoaktywnych, może
pogorszyć Wasz stan psychiczny, prosimy, abyście przzerwali
lekturę.*

*Pamiętajcie, że są miejsca, w których możecie uzyskać pomoc
i osoby, które chcą Was wspierać.*

KONIEC

 Patrę na nas wstecz, na momenty, w których byliśmy jeszcze wszyscy razem, i myślę: czy tak samo szczyrzyłabym wtedy zęby, gdyby ktoś powiedział mi „Hej, to niedługo się skończy”?

A potem uderza mnie kolejna myśl, że przecież zawsze wiemy. Każdy wybuch śmiechu i każda chwila z sercem przepelnionym radością podszyte są nitką lęku, opadającymi kącikami ust pozostałych, kiedy zdamy sobie sprawę, że myślimy o tym samym – to nie będzie trwać wiecznie.

To się skończy. Uśmiesham się i oni też, ale są to uśmieshamy, jakie rzucają sobie pasażerowie na pokładzie Titanica. Głośna muzyka przecina nocne powietrze i morze dookoła; wzburzone, liżące falami ściany burty, a mimo to lśniące jak nigdy wcześniej.

Tak widzę dorosłość.

I tak wyglądało postawienie stopy za tą niewidzialną granicą między beztroskim dzieciństwem a świadomością, że to tylko początek końca.

Wspólne opadanie na dno przy akompaniamencie radosnych pociągnięć smyczkami.

Tak widzę teraz siebie, Hannę, Wenus, Kostka i Robina; nasze blade po surowej zimie ciała, ubrane w równie blade koszule, wyciągnięte na wzgórzu przy Liceum św. Alberta w dniu odbioru wyników matury. Przymrużone oczy, leniwe ruchy rąk, palce rysujące po niebie wzory i gęsta cisza, ale nie taka, którą kroi się nożem. Cisza, do której uśmieshamy się wszyscy razem i każdy z osobna, będąca zapowiedzią długich wspólnych wakacji spędzonych w piątkę.

Ktoś spojrzalby na nas z podnóża zielonego grzbietu i mógłby pomyśleć: młodzi, piękni, mają przed sobą całe życie.

Tymczasem my mieliśmy przed sobą tylko lato; duszne i lepkie, mające osiąść na nas jak pajęczyna, której nie sposób z siebie zrzucić – ani wtedy, ani nigdy później.



Wóz ma cztery koła – powiedziała ostrożnie Wenus i zaczęła wodzić po nas tajemniczym wzrokiem, ale spotykając się z brakiem zrozumienia, westchnęła i przewróciła oczami. – No tak, to zbyt banalne porównanie dla takich intelektualistów jak wy. Chciałam tylko zasugerować, że jest nas piątka i to dość kiepski pomysł jechać w nieparzystą liczbę osób. Zawsze ktoś będzie się czuł odrzucony.

– Czy kiedykolwiek ktokolwiek czuł się odrzucony? – obruszyła się Hanna. Spojrzała najpierw na mnie, a potem na resztę, jakby oczekiwała, że zaprzeczmy. – To może niech jedno z nas nie jedzie, skoro wóz ma cztery koła?

Wenus wydeła usta w kpiącym grymasie. Z oliwkowej twarzy schodziła jej skóra w kilku miejscach.

Chłopcy nie wydawali się zainteresowani rozmową.

Był początek lipca, godzinę wcześniej odebraliśmy swoje wyniki i wiedzieliśmy już, że wszystkim się udało, a co za tym idzie – jesienią rozjedziemy się w różne strony świata.

Ciepłe wino, które przemyciłam w swojej torbie, krążyło w naszych żyłach i coraz wolniej przekazywaliśmy sobie butelkę z rąk do rąk.

Z ust do ust.

Kostek żuł jakąś zerwaną spod drzewa roślinę; z prawego kącika wystawał mu drobny różowy kwiat. Przytrzymał go z gracją palcami środkowym i wskazującym, jakby palił papierosa. Stopy w trzewikach opierał o odkryte uda Hanny, białe jak śnieg, a mimo to gładkie, bez śladu żyłek, których sieć pokrywała całe moje nogi.

Czytał *W drodze* Kerouaca. To takie typowe, pomyślałam wtedy, ale tak naprawdę nigdy nie byłam pewna, czy te wielkie powieści naprawdę go interesują. Wyobrażałam sobie często, jak omija spojrzeniem gęste opisy i egzystencjalne monologi, a zatrzymuje się tylko na fragmentach o podgrzewaniu łyżki. Wielokrotnie próbowałam to wy badać; zaczynałam nawet czytać to co on tylko po to, żeby zadać odpowiednie pytanie i przyłapać

go na niewiedzy. Kończyło się drzemkami w środku dnia – tak nudne były te jego ukochane książki. A jednak większość doczytałam do ostatniej strony, zastanawiając się, co czuł na danej scenie (policzki mi płonęły na ostrych opisach seksu). Łatwiej było przebrnąć przez rozdziały, kiedy wiedziałam, że on już je zna, że musiał wodzić wzrokiem po tych samych zdaniach.

– Oczywiście, że nie – odparła Wenus, próbując szturchnięciem ramienia wzbudzić jakąkolwiek reakcję u Robina. – Ale wakacje to wakacje. Wyjazd. Będziemy zdani tylko na siebie przez kilkanaście tygodni.

Nie odpowiedziałam wcześniej na pytanie o odtrącenie, bo w odmętach mojej pamięci tliło się wiele sytuacji, kiedy właśnie tak się czułam.

Koło zapasowe wozu, skrzypiące, ale zawsze gotowe.

Z drugiej strony na samą myśl o tym, że ktokolwiek obcy miałby jechać z nami, zrobiło mi się zimno.

– Robin? – Wenus bezskutecznie próbowała zwrócić na siebie uwagę, Robin jednak był pochłonięty jakąś grą na telefonie. Wysuwał koniuszek języka jak dziecko w stanie maksymalnego skupienia. Jego męska, kwadratowa szczęka pokryta dwudniowym zarostem i masywny tors zdawały się do niego nie pasować; ciało Robina było jak zupełnie nietrafione ubranie z wypożyczalni. Zaczął gwałtownie dojrzewać w drugiej liceum i wyglądał, jakby ktoś uwięził energicznego, ciekawskiego chłopca ze sprośnym poczuciem humoru w fizyczności przeznaczony dla uwodziciela. Kiedy szliśmy korytarzem, dziewczyny zawieszały na nim spojrzenia, a jego brak zainteresowania tylko je rozjuszał. Wydawał się mieć mentalność trzynastolatka – jako jedyny z nas niezainteresowany seksem, poza prymitywnymi żartami, rzucanymi w najmniej odpowiednich momentach.

Wenus wstała, wyraźnie rozżalona, i otrzepała pośladki z soczyście zielonych źdźbeł trawy.

– Dobra, próbowałam – mruknęła, dopijając resztkę wina. – Jesteście do niczego. Widzimy się wieczorem.

Zerknęła na Robina, który schował język i na moment oderwał wzrok od ekranu, kiwając jej głową, wciąż myślami zupełnie gdzie indziej. Wykrzywiła twarz w jeszcze większym grymasie, wystawiła środkowy palec i ruszyła

ciężkim krokiem w dół wzgórza. Po chwili jej krągła sylwetka stała się jednym z wielu czarnych punktów na tle szkolnego dziedzińca, aż zniknęła za bramą. Cytrynowy motyl usiadł mi na kostce. Przez kilka sekund się miotał, po czym jego skrzydełka zastygły w bezruchu, jakby ktoś nagle przybił go szpilką – jak nowy okaz do gabloty. Chciałam, by wszedł na mój palec, ostrożnie wysunęłam dłoń, a wtedy on odleciał.

– Może to niegłupie – powiedział nagle Kostek, nie unosząc głowy znad książki. Jego głos, jak zwykle znużony, flegmatyczny i przesadnie akcentujący każdą sylabę, był zachrypnięty od alkoholu.

– Zabranie kogoś obcego?

Robin zrobił wielkie oczy, jakby przełączył mu się tryb w mózgu i dopiero teraz zrozumiał, o czym rozmawiamy.

– Niekoniecznie obcego. Pragnę wam przypomnieć, że nie jesteście jedynymi osobami, które znam. Które kocham, owszem, ale...

– Stop, stop! – Hanna przyłożyła dłonie do rozpalonych policzków i przesunęła się na puste miejsce po Wenus. Oparła głowę o korę drzewa. – Jeśli już ktoś miałby z nami jechać, na pewno nie będzie to osoba, którą znasz tylko ty, Konstanty. Musi być sprawiedliwie.

– Oczywiście, Hanno, jestem niemądry. Wymień zatem wszystkie osoby, które każde z nas zna równie dobrze. Wróć, wymień jedną taką osobę.

Przyzwyczaiałam się do używania przez nich pełnych imion, chociaż na początku, kiedy się poznaliśmy, uznałam to za szczyt egzaltacji i czułam się zażenowana. Dopiero później zrozumiałam, że jest to rodzaj flirtu, wyczuwalnego szczególnie między Hanną a Kostkiem.

Może właśnie wtedy miałam poczucie, jakbym im zawadzała. Kiedy Wenus usiłowała zwrócić na siebie uwagę Robina, on się z nią droczył, a Hanna przekomarzała się z Kostkiem.

– A masz pomysł, kto z twoich znajomych mógłby z nami pojechać? – wypaliłam ku własnemu zdziwieniu.

Wszyscy troje spojrzeli na mnie jak na posąg, który właśnie przemówił.

Kostka jednak wyraźnie ucieszyło moje pytanie. Wyprostował się, gwałtownie zamknął książkę i skrzyżował nogi.

– Jest ktoś taki – odparł odrobinę za szybko, co uświadomiło mi, że przez cały ten czas miał na myśli konkretną osobę.

Niemal od razu pożałowałam swoich słów. W mojej głowie pojawiły się opalone nogi szkolnych siatkarek albo – co gorsza – dystygowane twarze laureatek olimpiad przedmiotowych; inteligentnych, ale zblazowanych, z Hessem lub Dostojewskim pod pachą. Już nakreśliły mi się przed oczami bardzo wyraźnie sielankowe kadry z wczesnych poranków w naszym domku w górach. Schodzę na kacu z dusznego poddasza, by napić się wody prosto z kranu i pójść spać dalej, a z werandy sączą się przez okno powolne rozmowy przyciszonymi głosami o tym, że wszyscy żyjemy w świecie iluzji.

– Mam nadzieję, że jakaś blondynka – powiedział Robin.

Puściłam tę uwagę mimo uszu.

– Blondynek nam już wystarczy. – Kostek spojrział znacząco na mnie i Hannę, po czym zrobił tajemniczą minę. – To rozwiązałoby też nasz problem z miejscem. Ale nic nie powiem, dopóki nie upewnię się, czy to możliwe. Musicie tylko obiecać wcześniej, że w to wejdziecie, inaczej nie mam zamiaru robić z siebie kretyna.

Zrobiliśmy skonsternowane miny. Wystarczyło spojrzeć na Kostka, żeby zrozumieć, że jest pełen sekretów, ale czasem stawało się to wręcz nie do wytrzymania. Czuliśmy się przy nim jak na występie iluzjonisty.

On tymczasem wcale nie zamierzał dać nam odpowiedzi tak szybko, jak byśmy sobie tego życzyli.

– Porozmawiamy o tym jeszcze dziś, muszą być wszyscy. – Zaczął się podnosić, ciemne loki opadły mu na twarz. Zauważyłam, że jego piegi pociemniały. A więc prawdziwe lato już się zaczęło. – Trzymajcie się.

Nigdy nie mieliśmy w zwyczaju witać się ze sobą ani zęgnąć, po prostu każdy odchodził w swoją stronę. Ale teraz Kostek nachylił się nade mną, aż poczułam jego przesiąknięty alkoholem oddech, który połaskotał mnie w ucho, i zapach rumiankowego szamponu do włosów. Musnął wargami mój policzek i płynnie przesunął twarz w stronę Hanny. Nie mogłam powstrzymać się od liczenia w głowie sekund. Czy przy niej zatrzymał się dłużej? Wino szumiało mi w głowie, żołądkiem targały mdłości.

– Też już pójde – powiedziałam bardziej do siebie niż do reszty, ale wyszło na to, że chcę dołączyć do Kostka. Po tym, jak zbił piątkę z Robinem, nie ruszył z miejsca, tylko ponaglająco uniósł podbródek i brwi, wyciągając do mnie rękę. Chwyciłam ją, czując, jak moja dłoń się ślizga w próbie zaciśnięcia palców na zimnej – mimo upału – skórze.

Westchnęłam podczas wstawania, bo zawroty głowy się nasiliły.

– Tylko mi tu nie rzygaj. – Jego kocie oczy, z bursztynowymi plamkami widocznymi w słońcu, uśmiechnęły się, choć wyraz twarzy nie uległ zmianie.

– Bardzo zabawne – odpowiedziałam, bo dobrze wiedział, że nie potrafię wymiotować (ostatni raz zdarzyło mi się to, kiedy miałam dziesięć lat, a odkąd cierpię na zaburzenia lękowe, boję się tego tak bardzo, że mój organizm całkowicie wyzbył się tej umiejętności; co bywa dość kłopotliwe w wielu sytuacjach, bo zazwyczaj przeżywam katusze, nie potrafiąc sobie ulżyć).

Pożegnałam się dość mgliście z Robinem i Hanną, zabrałam swoje rzeczy i ruszyliśmy w dół wzgórza. Czulałam, jak ziemia pode mną wiruje. Zupełnie jakbym szła po ruchomym podeście. Picie na pusty żołądek w tak gorące południe nie mogło się skończyć inaczej. Wdychałam przez nos powietrze, ciężkie od zapachu hortensji, które pięły się od lat po ścianie szkolnego budynku i niedawno znów zakwitły.

Kostek mnie prowadził i tylko dzięki niemu nie sturlałam się ze zbocza, ale kiedy przekroczyliśmy bramę dziedzińca, zdałam sobie sprawę, że nasze dłonie wciąż są ze sobą splecione. Jak oparzona wyswobodziłam się z jego uścisku.

– Wszystko okej? – Zerknął na mnie z ukosa, ale nie wydawał się szczególnie przejęty. Znałam ten ton bardzo dobrze. Używał go zawsze, kiedy chciał być zwyczajnie taktowny i uprzejmy.

– Jasne, tylko chyba powinnam coś zjeść. – Mówiąc to, czulałam, że jedzenie jest ostatnią rzeczą, na jaką mam ochotę.

– Skoczmy do Mąki.

Mąka była lokalną pizzerią, w której często zamawialiśmy jedzenie na wynos podczas szkolnych przerw, denerwując tym nauczycieli („zbyt leniwych i skąpych, żeby zamówić sobie żarcie do pracy”, jak twierdził z przekąsem Robin, którego matka uczyła pierwsze klasy chemii i zawsze ostentacyjnie

pukała się w czoło na widok syna pałaszującego przy oknie świeżą margheritę, pachnącą na cały korytarz).

Nie zaprotestowałam, choć czułam, że nie dam rady wcisnąć w siebie ani kęsa czegokolwiek. W końcu to ja wspomniałam o jedzeniu.

Usiedliśmy na zalanym słońcem ogródku. Przy składaniu zamówienia Kostek poprosił kelnerkę o popielniczkę. Uśmiechnął się do niej leniwie jednym kącikiem ust.

Książkę odłożył na stolik ostentacyjnie okładką do góry, żeby każdy, przechodząc, widział dokładnie tytuł i nazwisko.

Potrząsnęłabym głową z zażenowaniem, gdyby tak bardzo nie pulsowało mi w skroniach. Nigdy nie poznałam bardziej irytującej osoby pod względem okazywania – niby nieświadomego i niby od niechcenia – wyższości nad wszystkim i wszystkimi. Irytował mnie też fakt, że sama nabieram się na to za każdym razem, mimo że poznałam już w ciągu ostatnich trzech lat cały mechanizm sztuczki – tej i wielu innych. Znałam dobrze jego leniwy uśmiezek posyłany ekspedientkom, nauczycielkom, kelnerkom, starszym i młodszym koleżankom, na samym końcu nam – mnie, Hannie, a nawet Wenus, która bez ogródek krytykowała Kostka i jego megalomańskie zachowania.

Taki uśmiech nie może cieszyć, nie może sprawiać, że chcesz go odwzajemnić. O takim uśmiechu nie powinno się myśleć przy zasypianiu i nie powinien podlegać codziennej analizie, bo został rozłożony na czynniki pierwsze już setki razy przy każdej możliwej okazji.

– Mam coś na ustach?

Jego długie, wykrzywione palce powędrowały do twarzy, a mnie oblała fala gorąca. Mogłam tylko mieć nadzieję, że przez alkohol i słońce moje policzki były rumiane już wcześniej.

– Chyba resztkę tej rośliny – skłamałam i wbiłam wzrok w kartę. Literki tańczyły mi przed oczami, ale znałam menu na pamięć.

Kiedy kelnerka podeszła, Kostek zamówił pizzę z pepperoni na cienkim cieście. Poprosiłam o szklankę zimnej wody i makaron ze szparagami.

– Chciałbym móc ci już powiedzieć, z kim i dokąd pojedziemy.

Kiedy wąskie biodra kelnerki się oddaliły, Kostek odpalił papierosa i zmrużył oczy, znów w ten nonszalancki sposób. Trzymał go dokładnie tak, jak wcześniej roślinę – z odpowiednim namaszczeniem.

– Nikomu nie powiem. – Uśmiechnęłam się, ale nie patrzył na mnie, tylko przeze mnie.

– To jest... To dość skomplikowane.

– Co takiego?

– Będziemy musieli się odpowiednio przygotować.

– O czym ty mówisz?

Zamilknął i zagryzł szybko wargi. Zachowywał się, jakby mówił sam do siebie, zapatrzony w dal.

– Naprawdę lepiej będzie, jeśli pogadamy wszyscy razem. Nie chcę powtarzać dwa razy tego samego.

– Sam zaczęłam.

Kelnerka postawiła przede mną wodę, ale także nie spojrzała na mnie, tylko na Kostka. Kącik jego ust znowu się podniósł.

Wzięłam duży łyk. Woda z lodem podziałała kojąco; mdłości osłabły, zawroty nieco zelżały.

Na pierwszy rzut oka wyglądał, jakby rzeczywiście patrzył mi prosto w oczy, zamyślony. Dopiero po chwili można było zauważyć, że jego wzrok jest pusty.

– Nie rozmawialiśmy od czterech lat – powiedział wreszcie i powoli wypuścił dym.

– Z kim?

– Z Adamem.

Kojąca fala rozlała się po moim brzuchu tak mimowolnie, że nogi w lakierkach zaczęły niemal same tańczyć pod stołem. Nie chodziło zatem o żadną dziewczynę. Musiałam powstrzymać się od uśmiechu.

– Kim jest Adam? – zapytałam, próbując odczytać cokolwiek z jego spojrzenia, ale wciąż nie zmieniło ono kierunku ani wyrazu.

Ciągle patrzył na coś, co było daleko poza moim zasięgiem. Na jakieś wspomnienie kotłujące się pod czaszką – widziałam to w drobnych skurczach zmarszczek na jego czole.

– Adam. – Było coś niepokojącego w tonie, jakim wypowiedział to imię po raz kolejny.

Kaszlnęłam, bo poczułam w gardle dym z jego papierosa. Dopiero wtedy piegowata twarz drgnęła. Nagle spojrzał na mnie, jakby wybudził się z krótkiej drzemki.

– Przepraszam, może zamienimy się miejscami? – zapytał, zaciągając się. Odwrócił głowę w lewo i znów wydmuchał dym.

– Jest w porządku.

Kelnerka podeszła i postawiła przed nami talerze.

Kiedy odchodziła, tym razem odprowadził wzrokiem jej pośladki. Nie wulgarnym, ale takim, jakby patrzył na obraz w muzeum. Wcisnął końcówkę papierosa w szkło popielniczki.

– Adam jest synem mojej macochy. Wyprowadził się od nas już dawno temu.

Jego dłonie pokryte siecią wypukłych żył zgrabnie oderwały kawałek pizzy, po czym zwinęły go w rulon.

– Nigdy nie mówiłeś, że masz brata. – Moje oczy musiały wyglądać jak pięcioletówki.

Kostek pokręcił gwałtownie głową, przeżuając. Miałam wrażenie, że miele ciasto w zębach przez długie minuty. Mój żołądek wykonywał w tym czasie egzotyczny taniec.

– Nie mam. – Przełknął z trudem pizzę i sięgnął po moją szklankę wody. – Nigdy tak go nie traktowałam. Mieszkaliśmy razem tylko rok.

Bezsensownie bawiłam się widelcem, nabijałam na niego szparagi i maczałam je w sosie. Nie byłam w stanie włożyć nic do ust.

– W takim razie dlaczego Adam miałby jechać z nami na wakacje? – spytałam. – Obawiam się, że nie do końca rozumiem.

– To dość skomplikowane – powtórzył. – Naprawdę lepiej będzie, jeśli opowiem wam wszystkim jednocześnie.

Wypił resztkę wody do dna i dopiero, kiedy przełknął, zauważył moje spojrzenie.

– Cholera, zamówię ci jeszcze jedną.

– Nie trzeba.

Do końca posiłku gapił się przeze mnie, podczas gdy ja dłubałam widelcem w talerzu, usiłując rozdzielić szparagi od rurek makaronu.

Kiedy zapłaciliśmy, każdy za siebie, Kostek zgarnął ze stołu książkę i położył mi rękę na ramieniu.

– Do wieczora, mała.

Jego oddalająca się w stronę kamienic sylwetka, z dymem okalającym czuprynę niczym aureola, wbiła się w moją pamięć szczególnie mocno.





W mieszkaniu przywitała mnie bijąca z pomieszczeń cisza. Tylko zmywarka wypluwała z siebie regularne dźwięki, a poza tym nic. Jakby nikt tu nie mieszkał.

Nie miałam ochoty na konfrontację z ojcem, dlatego najciszej jak mogłam zdjęłam buty i na palcach weszłam do swojego pokoju. Wiedziałam, że czuć ode mnie alkohol.

Nagle z sypialni dobiegł mnie jego przytłumiony głos, rozmawiał z kimś przez telefon. Przyłożyłam ucho do chłodnej ściany, ale nie mogłam zrozumieć poszczególnych słów.

Zrzuciłam z siebie wszystkie ubrania i napotkałam swoje spojrzenie w lustrze. Jak najszybciej włożyłam sportowe spodenki. Moje piersi były tak niewielkie, że równie dobrze mogłabym chodzić bez koszulki. Wyjęłam z szafy jak największy T-shirt, żeby je ukryć. Wtedy można wyobrazić sobie, że pod spodem jest inaczej.

Opuściłam rolety, pokój zalał przyjemny, chłodny półmrok. Z pulsującym bólem w skroniach położyłam się na łóżku i zamknęłam oczy.

Na ten dzień czekali wszyscy, a ja nigdy nie chciałam przyznać sama przed sobą, że tak naprawdę modłę się w duchu o odroczenie go. Wizja wspólnego wyjazdu – pierwszego, samodzielnego – była kusząca, ale właśnie tego dnia kończyła się nasza codzienność. Narzekanie na natłok zajęć, na wymagających nauczycieli, noce z nosem w książce, siedzenie do późnych wieczorów w bibliotece, wspólne rozwiązywanie zadań.

Lubiliśmy na to narzekać, ale byliśmy w tym razem.

Narzekałam, robiłam to codziennie i do znudzenia, ale coś małego, co siedziało wygodnie w mojej głowie, a czasem wędrowało do brzucha, do klatki piersiowej, mówiło: to jest piękne. To najpiękniejsze, co dostaliście od życia. Piękniej już nie będzie.

Nigdy nie odważyłam się powiedzieć tego głośno.

Te wakacje miały być wisienką na naszym pożegnalnym torcie. Zastanawiałam się, czy tylko ja tak o tym myślę, czy wszyscy w mniejszym lub

większym stopniu mamy w sobie podobne przecucia.

Zapadłam w urywany sen. Śniły mi się szklanki, stały jedna obok drugiej – wypełnione czymś różowym, jak rozcieńczona wodą krew.

Obudziło mnie pulsowanie w czaszce, dużo silniejsze niż to, które towarzyszyło mi całe popołudnie. Jęknęłam. Nie znam nic gorszego od bólu głowy, którego nie jest w stanie umorzyć nawet drzemka.

Mój pokój tonął w mroku, nie wiedziałam, czy jest wieczór, czy też środek nocy, a ja przespałam nasze umówione spotkanie. Wstałam powoli, próbując nie wykonywać gwałtownych ruchów, i sięgnęłam po wystający z kieszeni torebki telefon. Przeklełam pod nosem, widząc na ekranie siedem nieodebranych połączeń i godzinę – dziesiątą. Ojciec nawet nie pomyślał, żeby do mnie zajrzeć.

Dzwonili wszyscy poza Robinem (on nigdy nie bawił się w sprawy organizacyjne ani nie martwił przesadnie o nikogo. Wiedział w końcu, że zawsze ktoś go wyręczy, i akurat w tym miał rację). Już prawie wybrałam numer Kostka, ale w ostatniej chwili kliknęłam w roześmiane zdjęcie Wenus.

– Co jest?! – wrzasnęła mi do ucha, czego mogłam się spodziewać. Aż łupnęło mi w skroniach i odsunęłam od siebie telefon.

– Kostek wciąż nie chce nam nic powiedzieć, czekamy tylko na ciebie i szczerze mówiąc, odechciało mi się tego całego wyjazdu. Prawie szliśmy pod twój blok.

Uśmiechnęłam się pod nosem, drugą ręką wygrzebywałam z torebki buteleczkę z lekami (jedynymi sprawdzonymi, których się nie bałam. Od dziecka panikuję, kiedy mam wziąć coś, czego nie znam). Chciałam połknąć naraz dwie pastylki, ale bałam się mieszania lekarstw z alkoholem. Zawsze śmiała się z tego Hanna, która potrafiła łykać tabletki jak cukierki, w ogóle nie patrząc, co bierze.

Ze strachu – a może z głupoty – postanowiłam poczekać, aż ból głowy minie samoistnie. Przyciskając telefon do ucha, napiłam się ciepłej i obrzydliwej wody, stojącej od rana na parapecie.

– Jesteście nad Cudem?

– Tak, ale błagam, pospiesz się. Hanka z Kostkiem już się porobili, zaraz nie będzie z kim gadać.

– Będę za dziesięć minut – mruknęłam i się rozłączyłam.

Przebrałam się w letnią sukienkę w kwiatki, ale kiedy spojrzałam w lustro, poczułam, że to zły pomysł. Szybko zamieniłam ją na szerokie spodenki i obcisły czarny top. Krótkie włosy spięłam w kitkę. Przed wyjściem zerknęłam jeszcze do sypialni ojca. Była pusta. Dopiero gdy chwyciłam za klucz, żeby zamknąć dom, dostrzegłam kartkę leżącą w przedpokoju. Musiała wypaść z drzwi.

„Jestem u Tamary, nie czekaj na mnie. Odgrzej sobie spaghetti. Jak coś, dzwoń”.

Wiedziałam, że próbuje naśladować liściki zostawiane przez mamę, ale jeśli myślał, że zyska tym moją przychyłność, był w ogromnym błędzie. Im więcej ich zostawiał, tym bardziej pokazywał, jak bardzo nie jest do niej podobny.

Mama rysowała uśmiechnięte buźki, wymyślała na poczekaniu suchary i dbała o każdy szczegół. Zawsze zostawiała mnie z jakąś myślą na koniec; jej liściki były pełne odniesień, wskazówek i żartów, nawet kiedy dotyczyły tak prozaicznych informacji jak prośba o wyniesienie śmieci. Potrafiła naszkicować mi mapę osiedla i zaznaczyć drogę prowadzącą do kontenerów, którą znaliśmy wszyscy na pamięć. Robiła przy tym mnóstwo strzałek, rysowała postaci sąsiadów i wypisywała o nich przezabawne, nawet jeśli nieco żenujące, historie.

Ta kartka od ojca – to była nieumiejętna próba naśladowania stylu mamy.

Ścisnęłam ją w dłoni i wepchnęłam na samo dno kosza. Z palącymi pod powiekami łzami wyszłam z domu prosto w gorącą noc.



Już z oddali dostrzegłam majaczące przy wodzie i żarzące się niczym świetliki końcówki papierosów. Mimo wcześniejszych wrzasków Wenus, którymi uraczyła mnie przez telefon, teraz wszyscy rozmawiali przyciszonymi głosami; jakby coś planowali.

Gdy tylko się zbliżyłam, ucichli i przez chwilę poczułam się, jakby byli mi zupełnie obcy.

Ten moment trwał zaledwie ułamek sekundy, ale wystarczył, żeby zrozumieć, jakie wrażenie sprawiamy, kiedy ktoś obserwuje nas z boku.

Jakbyśmy ciągle coś knuli.

Chociaż było upalnie, włoski na skórze stanęły mi dęba – szybko potarłam ramiona, strząsając z siebie ten nagły powiew chłodu, który płynął chyba ze mnie samej.

– Wreszcie – syknęła Wenus i nachyliła się do mnie. Mimo panujących ciemności (tylko woda w Cudzie odbijała światło stojących nieco wyżej, na ścieżce nad nami, latarni) dostrzegłam jakiś niezdrowy błysk w jej oku. – Naprawdę długo ci zeszło, cokolwiek robiłaś – wyszeptwała.

– Spałam.

– Jasne – mruknął Robin. Dopiero teraz zauważyłam, że jest zupełnie zjarany. Leżał tuż pod stopami Wenus, z głową opartą na jej tenisówkach, i patrzył w niebo. Nie trzymał żadnego skręta, ale zapach trawy (którego szczerze nie znosiłam) zaczął wwiercać mi się w nozdrza. Kostek i Hanna nie palili, ale chyba byli świeżo po. Ich leniwe uśmiešky i ślizgające się po mnie puste spojrzenia utwierdziły mnie tylko w przekonaniu, że musieli mieć tego sporo.

– To jak? O czym tak szeptaliście? – spytałam, siłąc się na lekki ton, siadając tuż przy Robinie.

– Nie pamiętam. – Skrzywiła się Hanna i spojrzała na Kostka, jakby nie widziała go wcześniej, mimo że cały czas stykali się udami. – O czym?

Kostek bardzo powoli pokręcił głową i obliznął usta.

– Teraz wreszcie mogę wam wszystko powiedzieć.

– O panie, dziękujemy. – Wenus zaczęła bić pokłony, przykładając czoło do betonowego schodka, na którym siedział Kostek.

– Opanuj się – stęknął Robin. Przygnieciony przez jej brzuch, poderwał się, odpychając ją. – Jesteś ciężka.

Wenus podniosła się nieznacznie, ale zdążyłam dostrzec to sekundowe drżenie kącików jej ust. Szybko się roześmiała, tak głośno, że aż śpiący nieopodal kot skoczył na cztery łapy i czmychnął w zarośla.

– Przy takim słabym okazie jak ty przynajmniej monument powinien być stabilny i silny – powiedziała i wyciągnęła nogi spod jego głowy.

Hanna przewróciła oczami.

– Dobra, skończcie pieprzyć. Chcę się dowiedzieć, dokąd jedziemy.

Robin znów jęknął, bo uderzył tyłem głowy o ziemię. Niezdarnie spróbował usiąść, ściskając ramię Wenus, której usta zacisnęły się w wąską linię.

– A to decyzja została już podjęta? – spytałam. – Słyszałam, że mieliśmy na razie poznać jedynie opcje. Mówiłam wam wcześniej o tym pięknym hoteliku w Chamonix...

– Najpiękniejszy hotelik w najpiękniejszym francuskim miasteczku nie będzie lepszy od Domku z Drewna i Szkła – powiedział Kostek bez zastanowienia. Zabrzmiało to tak patetycznie, jakby mówił o jakimś świętym miejscu.

Zapadła cisza, gdy wszyscy spojrzeliśmy na niego. Tylko rzeka płynęła tak samo, wlewając się miarowym chlupotem do naszych uszu. Połyskiwała w ciemnościach jak wijący się wzdłuż drzew srebrzysty wąż.

Przez chwilę myślałam, że mogłaby nas teraz opleść i uwięzić w sobie na zawsze – jak próbowała robić to nie raz, zwłaszcza po obfitych deszczach. Na przykład wtedy, kiedy weszłam do niej któregoś lata jako mała dziewczynka, żeby wypłukać swoją apaszkę. Cud, kuszący rodziny z dziećmi, zachęcający do urządzania pikników na swoich brzegach, chciał tamtego dnia połknąć mnie w całości. Porywisty prąd rzeczny zmiotł małe ciało z powierzchni w kilka sekund i gdyby nie ojciec, skończyłabym w brzuchu węża, rozpuszczona przez jego soki trawienne.

– Domek z Drewna i Szkła? – Wenus zmarszczyła brwi, zerkając na nas niepewnie. – To brzmi jak nazwa czegoś drogiego na Airbnb.

– Albo jak tytuł jednego z tych albumów, które kolekcjonuje moja matka. Nie mają prawie żadnej treści, ale wyglądają hipstersko na półce w salonie, więc zamawia je kartonami – powiedziała Hanna i zaczęła grzebać w torebce. Chwilę później wyciągnęła z niej miniaturowe różowe wino. – Ktoś na pół?

Uniosłam palec wskazujący, chcąc ubiec Kostka.

Hanna odkreśliła buteleczkę zgrabnym ruchem, jej liczne pierścionki połyskiwały w świetle latarni i z brzękiem stuknęły o szklaną szyjkę.

– O, musujące – mruknęła cicho, na co Kostek westchnął ostentacyjnie.

– No mów w końcu. Bo ewidentnie czekasz, aż zaczniemy cię błagać o wyjaśnienie – rzuciłam i pociągnęłam solidny łyk wina. Bąbelki rozsadały mi usta, czułam, że alkohol to nie jest dobry pomysł. Skronie wciąż nie przestały mi pulsować, mimo że ból zdecydowanie osłabł. Przypomniałam sobie, jakie migreny wywołują podróbki szampana.

Robin i Wenus siedzieli w ciszy, co było do nich niepodobne. Przypuszczałam, że on złapał złą fazę po ziele, a ona wciąż miała w głowie jego słowa. Nigdy nie potrafił ugryźć się w język, a co gorsza – z pewnością nie uważał nawet, że rzucił czymś przykrym.

Też mogłam coś powiedzieć, odgryźć mu się w jej imieniu, ale jak zwykle wolałam się nie wtrącać.

Nikt się nie wtrącał; i może to był nasz problem. Nie zawsze potrafiliśmy bronić siebie nawzajem, przez co niedopowiedzenia, rozczarowania – to wszystko naraz – ciągle się spiętrzały. Istniała też opcja, że tylko ja tak to odbierałam. Może nikt poza mną nie analizował każdego słowa, które między nami padło.

– Byłem w tym domu raz. – Moje rozmyślania przerwał głos Kostka. – Niecałe cztery lata temu, kiedy mój stary poznał Natalię. Nigdy o tym nie wspominałem, bo nie było okazji. To jej domek weekendowy, zbudowany lata temu przez poprzedniego faceta. Kiedy odszedł, podobno im go zostawił.

– Im? – spytała Wenus.

– Jej i jej synowi.

– Masz brata? – Oczy Robina wyglądały jak pięcioletówki.

Moja reakcja dziś w Mące była podobna, ale znów uniosłam brwi, jakbym wcześniej o tym nie słyszała. Nie chciałam, żeby reszta myślała, że wiedziałam jako pierwsza.

– Przyszywanego, przybranego. – Kostek wzruszył ramionami i bez pytania sięgnął po wino, które trzymała w dłoniach Hanna; przechylił butelkę i wypił do dna. – Jak zwał, tak zwał. Nie mówię tak o nim.

– Ej!

– Spokojnie, przewidywałem, że to będzie długa noc. – Uśmiechnął się i z płóciennej torby, która leżał oparta o betonowy stopień, wyciągnął kolejne wino, tym razem w normalnych rozmiarach. Rozległ się pomruk zadowolenia, ale nikt się nie odezwał. Czekaliśmy. Znowu udało mu się zamienić nas w posłuszne dzieci, które siedzą cicho i czekają na koniec bajki. – Syn Natalii ma na imię Adam, jest pięć lat starszy od nas. Kiedy go poznałem, miał dwadzieścia lat i rzucił studia, nie skończył nawet pierwszego roku. Wrócił z akademika i zamieszkał z nami. To był... dość dziwny rok. Ja chodziłem do szkoły, ojciec i Natalia do pracy, a on snuł się po mieszkaniu. Był jak pasożyt, wtedy szczerze go nie znosiłem.

Kostek przerwał na chwilę i wziął kilka łyków wina, jeden za drugim. Wymieniliśmy spojrzenia z resztą.

Lubił mówić o sobie i chyba wszyscy pomyśleliśmy o tym samym – to było do niego bardzo niepodobne, że nigdy wcześniej nawet jednym słowem nie wspomniał o tak ważnym aspekcie swojego życia. W dodatku ciekawym i niecodziennym.

– W domu ciągle był bałagan, a Adam leżał, czytał książki, dużo palił – ciągnął. – Mówił, że pisze powieść i że studia ogłupiają społeczeństwo. W końcu przyszły wakacje, na które Natalia postanowiła zabrać nas wszystkich do Domku z Drewna i Szkła. Zawsze tak o nim mówili, ona i Adam. W kółko o nim paplali, urósł w naszych rozmowach do rangi jakiegoś mitycznego, wręcz utopijnego miejsca. Nigdy nie używali skróconej nazwy, co śmieszyło ojca; ciągle się z tego nabijał, a ja razem z nim. Ale kiedy tam przyjechaliśmy, zrozumiałem, czemu tyle o nim gadają. Pomijam, że już sam budynek jest po

prostu piękny, projektował go jakiś włoski architekt. Życie tam przypomina film, jakby wrzucono go w inną czasoprzestrzeń. Wychodzisz na kawę na werandę, a dookoła czujesz i widzisz tylko las, w lesie jest ogromne jezioro, a to wszystko otoczone ze wszystkich stron górami. Jedyne minus jest taki, że nie ma tam zasięgu. Ale to tylko dopełnia uczucia filmowości.

– I ty chcesz zabrać nas do miejsca, w którym nie ma zasięgu? – wypaliła Hanna, niszcząc cały nastrój.

Złapałam się na tym, że ciągle mam rozchylone usta i nie spuściłam ani na chwilę oczu z twarzy Kostka, który mówił, jakby znajdował się tutaj sam.

Patrzył na rzekę, jego oczy błyszczały.

– Kurwa, no tego się nie spodziewałem! – zawołał Robin i zaśmiał się chrapliwie. – Dajcie łyka. – Wyciągnął rękę po wino, które znów poszło w obieg.

Mój ból głowy nagle zupełnie się ulotnił, za to czułam, że ręce i nogi robią się coraz bardziej miękkie; że rozpuszczają się w ciemności jak musująca kula do kąpieli.

Chyba właśnie upijałam się drugi raz tego samego dnia.

– Niech dokończy. – Wenus zmroziła Robina wzrokiem i wyrwała mu wino.

– Moglibyśmy umawiać się na rozmowy z bliskimi przez telefon o wyznaczonych porach i chodzić na polanę, tam można złapać dwie kreski, kiedy stanie się w odpowiednim miejscu. – Kostek, wyraźnie ożywiony, patrzył teraz na każde z nas po kolei. – Wszyscy jesteśmy uzależnieni i przebudźcowani. To będzie najlepsza, i zapewne ostatnia, okazja, żeby naprawdę odpocząć i nacieszyć się sobą.

Ciężko było nie przyznać mu racji. Nawet Hanna pokiwała głową w milczeniu. Niemal czułam, jak analizuje, ile razy w tygodniu miałyby czas na wrzucanie postów na sociale. Jako jedyna z naszej piątki była rozpoznawalna w sieci i musiała być w stałym kontakcie z obserwatorami, żeby nie stracić swojej społeczności. Dzięki temu również, jako jedyna, samodzielnie zarabiała niemałe pieniądze i otrzymywała mnóstwo paczek od firm, których zawartością dzieliła się później z nami. Większość kosmetyków w mojej szufladzie

pochodziła właśnie od niej. Przestałam też kupować energetyki, bo była ambasadorką jednej z marek i całe zgrzewki zalegały w jej piwnicy. Sama już ich nie piła, tak bardzo ją przesyciły.

Nie chciałam okazywać nadmiernego entuzjazmu, ale czułam, że cała płonę z ekscytacji. Wizja niemal trzech miesięcy bez telefonów od ojca, bez uważania na to, co mówię po alkoholu, bo w każdej chwili mogę trafić na stories Hanny (które codziennie ogląda po kilkadziesiąt tysięcy osób), bez uczucia narastającej frustracji, kiedy rozmawiam z Robinem, a on wlepia wzrok w ekran, grając w durną grę internetową, bez Wenus wyszukującej co chwilę jakiejś ciekawostki w Google, bo akurat potrzebuje ich do dyskusji. Bez Kostka, piszącego co rusz z nowymi, coraz to bardziej (według niego) fascynującymi dziewczynami.

Wizja malowniczego Chamonix całkowicie zbladła w mojej głowie.

– Uważam, że to świetny pomysł – powiedziałam zupełnie szczerze. – Ale co z Adamem?

Kostek uśmiechnął się od ucha do ucha, wyraźnie zadowolony z mojej reakcji, i podjął opowieść:

– Spędziliśmy wtedy w Domku z Drewna i Szklą trzy zajebiste tygodnie. Adam, kiedy zmienił otoczenie, okazał się zupełnie innym człowiekiem. Mieliśmy przestrzeń do tego, żeby poznać się lepiej, nawet mój ojciec uznał, że to spoko gość. A wiecie, że na to miano trzeba sobie u niego zasłużyć. Chyba pierwszy i ostatni raz przemknęło mi wtedy przez myśl, że być może kiedyś uda nam się stworzyć rodzinę... – Tutaj się zawahał. – I nagle, zupełnie ni stąd, ni zowąd, Adam uznał, że nie wróci z nami do domu. Natalia bezskutecznie próbowała wybić mu ten pomysł z głowy. Próbowała wszystkiego, od długich, całonocnych rozmów po rękoczynny, a nawet próby wzywania policji. Na nic. Adam uparł się i został w Domku z Drewna i Szklą, a ojciec z Natalią musieli wreszcie wrócić do roboty, mnie też skończyły się wakacje. Przyjechaliśmy tutaj bez niego. Przez pierwsze dni Natalia była kłębkim nerwów. Codziennie próbowała się tam dodzwonić, mimo że wiedzieliśmy, że Adam musiałby najpierw dotrzeć na polanę, żeby móc się z nią skontaktować. W końcu za namową ojca dała za wygraną i po prostu odpuściła... Wiecie, do dziś myślę,

że to trochę dziwne. Wtedy uznałem, że Adam ma cool matkę, która daje mu tyle luzu. Dzisiaj się zastanawiam, czyja matka odpuściłaby tak łatwo i zerwała kontakt z synem z dnia na dzień. Oddalonym o pięćset kilometrów od niej, zupełnie samym, w głuchej dzicz. Bez środków do życia i bez prawa jazdy. Ona nie tylko przestała dzwonić; ona przestała o nim mówić. Uznałem, że już lepiej zachowała się moja...

Mimo plusku wody w rzece usłyszałam w jego głosie lekkie drżenie. Ścisnęło mnie w gardle, miałam ochotę położyć swoją dłoń na jego, ale nic nie zrobiłam. Spojrzał jednak na mnie i skinął głową w niemym porozumieniu.

Nieobecność matek łączy bardziej, niż można się tego spodziewać.

– ...moja przynajmniej powiedziała wprost, że nas zostawia – dokończył zdanie i wziął się w garść. Po ziele robił się bardziej nostalgiczny, zresztą jak wszyscy. Nawet Robin patrzył teraz na niego w pełnym skupieniu, bez głupkowatego uśmiešku, który zazwyczaj nie znikał mu z twarzy. – Codziennie sprawdzałem, czy Adam do mnie napisał. Kiedy tylko zaczynałem ten temat przy stole, ojciec zabijał mnie wzrokiem, a Natalia udawała, że nie słyszy, co mówię. Chyba wtedy zacząłem jej nienawidzić. Zacząłem też rozumieć, czemu Adam jej nienawidzi. A przynajmniej takie zawsze sprawiał wrażenie.

– Co teraz się z nim dzieje? – spytała Wenus, pełna emocji. Mieliśmy wrażenie, że Kostek opowiada nam fabułę filmu, a Adam jest jedynie dobrze napisanym, dającym się lubić, głównym bohaterem.

– A jak myślicie? – Uśmiechnął się smutno.

– Dalej tam jest...?

Kostek pokiwał głową i napił się wina. Następnie podał butelkę Hannie, a ona, po pociągnięciu dwóch dużych łyków, wyciągnęła ją w moją stronę. Odmówiłam.

– Nie do końca rozumiem. – Zmarszczyłam brwi. – Twoja macocha nigdy więcej tam nie pojechała? Nie pojechała sprawdzić, co się z nim dzieje?

– Nie. Przynajmniej ja nic o tym nie wiem.

– Przecież domek należy do niej. Mogła go z niego wyrzucić.

– I właśnie w tym tkwi szkopuł. – Kostek uniósł palec. – Natalia nie wróciła tam, bo dobrze wiedziała, że dom nie jest jej. Na wakacjach dowiedzieliśmy się z ojcem, że to Adam jest prawowitym właścicielem, jego stary przekazał mu klucze i papiery osobiście, zanim wyfrunął.

– Dokąd wyfrunął?

– Tego nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Do Kanady? Coś w tym stylu, napomknęli o tym dosłownie raz, te kilka lat temu.

Siedzieliśmy chwilę w ciszy, a powietrze aż zgęstniało od niezadanych jeszcze pytań.

– Skąd wiesz, że z Adamem wszystko w porządku? – To kluczowe zadał Robin, który chyba wrócił do normalnego stanu. Zresztą, kiedy powiedziałam wzrokiem po twarzach innych, miałam wrażenie, że wszyscy są już zupełnie trzeźwi i skupieni. – No wiesz, że żyje i w ogóle.

Kostek wbił wzrok w betonowy stopień pod jego stopami i uniósł lewy kącik ust.

– Pół roku temu, w święta, dostałem esemesa z nieznanego numeru. – Zniżył głos. – Jego treść brzmiała: „Domek z Drewna i Szkła jest otwarty dla wszystkich, którzy potrafią uszanować jego prośby. Czekam, bracie. Wpadaj z kim tylko zechcesz. I kiedy zechcesz”. Odpisałem, próbowałem się dodzwonić, ale bez skutku. Numer nie odpowiadał.

– To trochę creepy wiadomość, nie uważacie? – spytała Wenus, krzywiąc się. Wino w butelce się skończyło i nie mieliśmy już nic, co mogłoby zająć nasze ręce. Wszyscy siedzieliśmy więc ze splecionymi na ramionach dłońmi.

– Adam właśnie taki jest – westchnął Kostek, ale dziwny uśmiech nie schodził mu z twarzy. – Nawet zwykłe zaproszenie musiał napisać w enigmatyczny sposób. Sam do niego nie pojedę, ale z wami... Już od zimy chodziło mi to po głowie, chciałem to tylko dobrze przemyśleć, uporządkować wszystko, co się wydarzyło. Dopiero teraz dojrzałem w pełni do tego, żeby zrozumieć Adama. On po prostu żyje na swoich warunkach, postawił na własne szczęście, zamiast na zadowolenie swojej matki. Tak naprawdę, nie ma w tym nic dziwnego. To my żyjemy w taki, a nie inny sposób, bo otoczenie tego od nas oczekuje.

Przemknęła mi przez głowę myśl, że Kostek w ten sposób tłumaczy sam sobie zachowanie swojej matki, która porzuciła ojca i jego tuż po narodzinach. Długo nie mógł pojąć, jak mogła to zrobić. Żyła teraz gdzieś w Azji, czasem przysyłała życzenia na Messengerze.

– Dobra, dobra, bez filozofii – mruknęła Hanna. – Jesteś pewny, że tak po prostu przyjmie nas z otwartymi ramionami?

– Mamy spakować się na trzy miesiące, pojechać... pięćset? Dobrze słyszałam? – Wenus zrobiła kwaśną minę. – Pięćset kilometrów, ryzykując, że pocałujemy klamkę „z drewna i szkła” – zrobiła cudzysłów w powietrzu – albo znajdziemy zwłoki twojego ziomka?

Dreszcz przebiegł mi po plecach, ale wiedziałam, że i tak wszyscy jesteśmy kupieni. Ekscytacja wisiała w powietrzu i już nie tylko ja próbowałam to powstrzymać. Drżeliśmy mimo oblepiającego nas upału. Od Cudu bił jedynie lekki chłód, pachnący rzeczną roślinnością.

– Nie znajdziemy jego zwłok. – Kostek się wyszczerzył. – Co do tego jestem przekonany. Adam poradziłby sobie wszędzie. Jestem bardzo ciekawy, jak ułożył sobie tam życie. Tak naprawdę jestem ciekawy, jakim jest człowiekiem, bo wtedy miałem za mało oleju w głowie, żeby cokolwiek rozumieć. Był dla mnie niczym Harry Potter, który ucieka od Dursleyów z klatki pod schodami, kimś odjechanym, ale abstrakcyjnym. Po prostu przyzwyczaiłem się do tego, jak wygląda nasza popieprzona sytuacja rodzinna. Jest w moim życiu taki jeden chłopak, syn macochy, który ciągle znika i tym razem zniknął na dłużej, nie wnিকajmy. Ot, kolejna osoba w mojej rodzinie, która zniknęła. Tego mnie nauczono, temat tabu. Ale tej zimy, tuż po Wigilii, kiedy dostałem od niego esemesa, coś we mnie kliknęło. Jakby ktoś wcisnął przełącznik, nie potrafiłem i dalej nie potrafię przestać o tym myśleć. Sami przyznajcie, czy to wszystko nie brzmi kusząco? Dołączyć do niego na wakacje i naprawdę oderwać się od życia?

– Zwłaszcza że w październiku to życie zupełnie nas dojedzie, a nie będziemy już mieć siebie na co dzień – dodałam i zabrzmiało to bardzo ckliwie.

Oczy Wenus wypełniły się łzami.

– Dobra, jedziemy. – Rozłożyła ręce. – No, jedziemy, tak?!

– To jest ostro pojebane, ale wchodzę w to. – Robin pokręcił głową z niedowierzaniem, mierzwiąc sobie włosy.

– Hanno? – Kostek odwrócił do niej twarz. Widziałam, jak nawiązują kontakt wzrokowy, tak dobrze mi znany.

Nie potrafiła powstrzymać uśmiechu i dała mu kuksańca w ramię.

– No przecież jadę! W razie czego udokumentuję waszą śmierć.

– Szkoda tylko, że nie będziesz mogła zrobić z tego live'a – mruknął Robin.

– Chyba że zginiemy na polanie – powiedziałam.

I znów było jak zawsze, zaczęły się słowne przepychanki, głupie żarty i śmiech. Całe napięcie opadło.

Została tylko radość i ekscytacja tym, co miało nadejść.

Gdybym mogła w którymś momencie tej historii wcisnąć przycisk „stop”, zrobiłabym to właśnie wtedy.



Zojcem poszło dużo łatwiej, niż się spodziewałam.

Wrócił do mieszkania nad ranem, więc nie był świadomy tego, jak długo nie było mnie w nocy.

W południe spotkaliśmy się w kuchni i oboje przysysaliśmy się do szklanek z zimną wodą.

– Jak matury? – spytał po wypiciu duszkiem swojej. Miał rozczochrane włosy, sterczące w jedną stronę, jakby poraził go piorun. Właściwie wyglądał jak postać jakiegoś szalonego naukowca z kreskówki. Tamara musiała go wymęczyć, pomyślałam i od razu odgoniłam obrzydliwe obrazy, które pojawiły się w mojej głowie.

– Dostanę się prawie wszędzie, gdzie chciałam. – Wzruszyłam ramionami. – Jeszcze nie wiem, które miasto i kierunek wybiorę. Waham się między scenariopisarstwem a literaturą powszechną – dodałam, unosząc podbródek i obserwując jego reakcję.

Pokiwał głową w milczeniu, tak jakby wiedział, że inna odpowiedź nie wchodziła w grę.

– Jestem z ciebie dumny. – Podeszedł bliżej i pocałował mnie w czoło, po czym wrócił do sypialni, a stamtąd krzyknął: – Idziemy do naleśnikarni?!

Musiałam przyznać, że ojciec doskonale odrabia lekcje z poradników rodzicielskich, które czytał w ukryciu przed światem. Po śmierci mamy wielokrotnie znajdowałam u niego w sypialni różne książki, zakopane w pościeli albo wciśnięte między inne (grzbietem do wewnątrz – tak, żeby tytuł na okładce nie był widoczny). To były napisane coachingowym stylem bestsellery w stylu *Jak wychować dziecko na dobrego człowieka*, *Samotny rodzic*, *Dylematy taty* albo *Życie po śmierci*.

Wiedziałam, że naprawdę się stara, a mimo to nie potrafiłam mu wybaczyć. Wybaczyć tego, że wyliżał się z jej śmierci i miał przed sobą życie.

Że dobrze się bawił.

– Nie chcesz naleśników? – Wpadł z powrotem do kuchni, zapinając na sobie lnianą koszulę z krótkim rękawem. Włosy ułożył na pastę; jej cytrynowy

zapach wypełnił pomieszczenie.

Stałam oparta o kuchenny blat i nadal piłam wodę małymi łyżkami. Zastanawiałam się, czy mdli mnie z głodu, czy z powodu kaca, ale gdy usłyszałam słowo „naleśniki”, zaburczało mi w brzuchu. Zdałam sobie sprawę, że nie jadłam nic od wczorajszego poranka, pomijając kilka kęsów makaronu ze szparagami w Mące.

– Właściwie to umieram z głodu. – Poddałam się, nie mając siły na robienie złościwości ojcu. – Daj mi pięć minut.

Gdy byliśmy już na miejscu (droga samochodem dłużyła się niemiłosiernie, a jego wnętrze dosłownie parzyło nas we wszystkie odsłonięte części ciała), zamówiłam klasyczne naleśniki z owocami. Ojciec poprosił o pancakes polane masłem i syropem klonowym. Usiedliśmy w środku, bo klimatyzacja była jedynym ratunkiem w tym upale. Kiedy kelnerka postawiła przed nami dzbanek z chłodną lemoniadą, rzuciliśmy się na niego równocześnie.

Uśmiechnęłam się pod nosem na myśl, że oto dzisiaj, wielkie święto – nasz pierwszy w życiu wspólny kac. Ojciec chyba pomyślał o tym samym, bo prychnął i zatrzymał na mnie rozbawione spojrzenie.

– Moja córcia wkrótce wyfrunie z gniazda. – Im dłużej patrzył, tym jego uśmiech bardziej bladł. Aż nagle zupełnie spoważniał. – Jesteś do niej taka podobna.

Akurat dostaliśmy talerze z naleśnikami, a ja nie mogłam nawet przełknąć śliny. Minęło pięć lat, jednak wciąż nie byłam w stanie o niej rozmawiać.

– Daj spokój – powiedziałam, siłąc się na lekki ton. O tego typu rozmowach pewnie też naczał się w tych swoich książkach. „Rozmawiaj z dzieckiem, nie uciekaj od problemów, poruszaj tematy tabu”. Szkoda, że w rzeczywistości nie miało to żadnego znaczenia. Nie pisali o tym, że każda wzmianka o mamie rozrywa moją duszę na kawałki, a on wydawał się pogodzony z jej śmiercią. Tamara szybko wypełniła pustkę w jego sercu.

– Pyszne, tego było mi trzeba. – Zależało mi na zmianie tematu.

Wepchnęłam do ust potężne kęsy naleśników, żeby nie musieć nic mówić. Ojciec milczał. Wciąż się we mnie wpatrywał, ale chyba pojął, że nie jest to do

końca komfortowe. Opuścił, dopiero gdy niemal udławiłam się swoim naleśnikiem. Jedliśmy dalej w ciszy.

Kiedy nasze talerze były już puste, upačkane tylko resztkami sosów, oznajmiłam:

– Jedziemy w góry. Za niecały tydzień.

– To ten wyjazd, o którym mi mówiłaś? – Ojciec uniósł brwi zaciekawiony. – Myślałem, że pomysł już dawno umarł.

– Nie, dlaczego?

Wzruszył ramionami.

– Po prostu sądziłem, że to takie nastoletnie gadanie. – Uśmiechnął się, ale ja nie odpowiedziałam tym samym. Na widok mojej miny dodał poważniej: – Wiesz, ja w twoim wieku...

– Jeździłeś na festiwalach muzyczne.

– Owszem, jeździłem, ale nie na trzy miesiące. – Znow taksował mnie wzrokiem, jakby chciał ocenić w duchu, czy nadaję się na tak długą podróż. – Najdłużej byłaś sama na wycieczce szkolnej przez dziesięć dni. I tęskniłaś, dzwoniłaś do mamy, pamiętasz?

– Tak się składa, że jestem sama od ponad pięciu lat – wypaliłam i od razu pożałowałam tych słów.

Powieka lekko mu drgnęła i wiedziałam już, że przesadziłam. Chciałam przeprosić, naprawdę chciałam, ale powiedzenie tego okazało się trudniejsze niż sprawienie mu bólu.

Milczeliśmy więc, a lzy napłynęły mi do oczu. Gapiłam się na talerz w nadziei, że nie zobaczy, jak zaczynają kapać, mieszając się z sosem czekoladowym.

Tym razem uratowała nas kelnerka, która wdarła się w tę chwilę z zupełnie niepasującym uśmiechem i zaszczębiotała:

– Smakowało?

– Jak zawsze, wyborne. – Usłyszałam głos ojca, ale nie byłam w stanie podnieść głowy. Pozwoliłam kosmykom włosów opaść na moją twarz. Cicho pociągałam nosem. – Możemy prosić o rachunek? Zapłacę kartą.

– Oczywiście.

Kiedy się oddaliła się, ojciec powiedział zupełnie spokojnie:

– Jedź i baw się dobrze.

Spojrzałam na niego. Nie dostrzegłam w wyrazie jego oczu żadnej złośliwości, a w głosie nie było ironii. Położył rękę na mojej dłoni; musiałam z całych sił się powstrzymać, żeby jej nie strącić.

– Naprawdę chcę, żebyś była szczęśliwa i dała sobie szansę. Sobie i mnie. – Nie uciekał wzrokiem, co sprawiało mi niemal fizyczny ból. Tym razem nie udało mi się ukryć łez i poczułam, jak spływają po obu policzkach. – Jeśli te wakacje będą udane, może jeszcze przed studiami dałabyś się namówić na terapię?

Zacisnęłam zęby. Czemu on zawsze musiał wszystko zepsuć? Każda rozmowa, każda wspólna chwila – nigdy nie mogło być normalnie. Dlaczego ciągle przypominał mi o śmierci mamy, o żałobie, o tym, że potrzebuję pomocy? Może gdyby przestał, wszystko potoczyłoby się własnym torem i naturalnie; może z czasem ulga przyszyłaby do mnie sama. To, że on czytał swoje psychologiczne książki, że niemal od razu po pogrzebie udał się do specjalisty i zaczął brać leki, nie znaczyło jeszcze, że inni są na to gotowi.

Niektórzy muszą wycierpieć swoje.

Gdzieś głęboko we mnie odzywał się drugi głos, którego nie chciałam słuchać. Ten głos twierdził, że ojciec ma rację, a ja mam ogromne szczęście. Przecież nie zaczął topić smutku w alkoholu (jak na przykład woźny z mojego liceum, który stracił żonę w wypadku i już po pół roku zwolniono go dyscyplinarnie. Niemal codziennie o ósmej rano wrzeszczał na uczniów, kompletnie pijany; zdarzało się też, że płakał i groził, że wysadzi tę budę w powietrze). Mojego ojca interesował mój ból. Czy to mi tak przeskadzało? Czy wolałabym, żeby mnie ignorował, żeby się nie starał?

Cicho westchnął i zaczął przeczesać włosy palcami. Od razu uleciała z niego ojcowska czułość; dał za wygraną. Już po chwili zgarnął ze stołu kluczyki od samochodu. Wstał, a ja razem z nim, szurając krzesłem.

Może o to właśnie chodziło.

Miałam wrażenie, że wszystkie jego zachowania, górnolotne zdania i gesty są żywcem wyjęte z poradników. Wyuczone, wykreowane na potrzeby chwili – sztuczne jak lampki nocne udające księżyc.

Zmrużyłam oczy i spojrzałam na niego, kiedy obszedł auto, aby przytrzymać mi drzwi od strony pasażera. Usiadłam na swoim miejscu, fotel parzył mi uda.

Mama opowiedziała mi kiedyś o *kintsugi*: japońskiej sztuce sklejania rozbitych naczyń orientalną żywicą z domieszką złota. Dzięki temu potłuczone przedmioty dostają nowe życie, stając się jeszcze piękniejsze i bardziej oryginalne niż wcześniej. Mama potrafiła sklejać siebie, mnie i ojca każdego dnia, czyniąc z nas całość. Bez niej byliśmy tylko skorupami rozbitego naczynia.

Jechaliśmy w milczeniu. Z radia płynęły radosne dźwięki piosenki, która mogłaby być o nas, gdyby tylko mama siedziała tu z nami.



Mamy tam gdzieś w pobliżu jakiś sklep? – spytała Hanna i nagle zobaczyłam jej kołyszące się przed samą kamerką piersi. Pochylała całe ciało nad laptopem, jakby próbowała ściągnąć coś ze ściany nad biurkiem. – Nie wiem, czy pakować jakieś higieniczne zapasy?

– Sklep jest ponad dwadzieścia kilometrów dalej – powiedział Kostek, patrząc w ekran. Wcześniej widziałam tylko jego czuprynę, bo coś zapisywał. Teraz wszyscy gapili się niby od niechcienia na dekolt Hanny. – Ale kilka kilometrów za lasem jest stacja benzynowa.

– Ja zrobiłabym wielkie zakupy na miesiąc – odezwałam się. – Potem zrobi się kolejne.

– Tak, żeby zupełnie ograniczyć jeżdżenie do cywilizacji. – Wenus pokiwała głową. – Jak się odcinać, to na całego. Tylko ciekawe, czy tyle butelek alkoholu zmieści się do fury.

– Myślę, że barek Adama też może być zaopatrzony. – Na twarzy Kostka znów pojawił się ten sam uśmiech, który towarzyszył mu wcześniej, gdy opowiadał o przybranym bracie. – Nie ograniczał się, przynajmniej kiedyś. Nie sądzę, żeby to porzucił.

– A niby skąd ma na to kasę? – wtrącił Robin.

W sumie trafne pytanie.

– No właśnie – mruknęła Hanna. Wreszcie się wyprostowała, a my zobaczyliśmy, jak zaczyna nakładać coś na włosy. – Jak widzicie, postanowiłam zaszaleć i farbuję się na zielono.

– Żartujesz?! – zawołała Wenus z przerażeniem.

– Nie, chcę być bliżej natury. – Hanna się wyszczerzyła. – To się spłucze akurat za jakieś trzy miesiące. Mam nadzieję.

Uniosłam brwi, ale nic nie powiedziałam. Prawda była taka, że Hanna wyglądałaby pięknie w każdej fryzurze. Pewnie chciała po prostu wystrzelić na swoich socialach z czymś mocnym, zanim zniknie z sieci na tak długi czas.

– Przynajmniej łatwiej będzie was odróżnić – powiedział Robin.

Wenus się skrzywiła.

– Mnie zwłaszcza – parsknęła, odrzucając teatralnie na plecy czekoladowe kręcone włosy.

Jej ojciec pochodził z Grecji i miała niesamowitą urodę; zawsze rzucała się w oczy, zwłaszcza, kiedy spędzaliśmy czas wszyscy razem. Przy niej byliśmy nijacy i podobni do siebie. Niestety jej pewność siebie nie była szczerą. Nadprogramowe – jak mówiła – kilogramy (będące tematem większości naszych rozmów, kiedy spędzaliśmy czas w trójkę, z nią i Hanną) nie pozwalały jej cieszyć się życiem. Ciągłe słyszałyśmy: „Kiedy schudnę, wreszcie zacznę nosić sukienki”, „Kiedy trochę zrzucę, może uda mi się pojeździć konno, na razie wstydzę się tam w ogóle pójść”. Ciężko było nam ją pocieszać – Hanna z genialnymi genami od matki, mająca figurę modelki, mimo pochłaniania ogromnych ilości jedzenia, i ja ze swoim chronicznym brakiem apetytu i wieczną niedowagą, która zresztą od lat spędzała mi sen z powiek, ale przy Wenus nie śmiałam o tym mówić. W duchu marzyłam, by się z nią zamienić. Nienawidziłam swoich wystających żeber, obojczyków (można było złapać je dwoma palcami), kości miednicy, które zapewne wbijałyby się komuś w ciało, gdyby doszło do fizycznego zbliżenia. Miałam dreszcze na samą myśl. Czasami czułam się jak rusztowanie powleczone wielkim prześcieradłem ze skóry.

– Ciebie nie da się z nikim pomylić – rzucił Robin do Wenus i jak zwykle nikt nie wiedział, czy miało to być miłe, czy złośliwe. Na szczęście Wenus miała dobry dzień i puściła tę uwagę mimo uszu.

– W razie czego będę waszym leśnym szpiegiem – powiedziała Hanna, nakładając farbę na kosmyki. W głośniku w moim laptopie zaszeleściły jej jednorazowe rękawiczki. – Pewnie zleję się z drzewami.

– À propos lania na drzewa, tam jest jakaś normalna toaleta? – zapytał Robin.

– Wyborne poczucie humoru. – Wenus uniosła kciuk. – Jak zawsze.

– Jest. Nie wiem, czy normalna... – zawiesił głos Kostek. – Właściwie to ponadprzeciętna. Wanna ma hydromasaż.

– Serio? – jęknęłam.

– Tak, i jest tak wielka, że pomieścimy się w niej chyba wszyscy. – Uśmiechnął się szeroko, a po moim podbrzuszu rozlała się fala ciepła. Cieszyłam się, że na rozpikselowanym prostokącie (router w sypialni ojca nie współpracował ze mną i prędkość internetu w moim pokoju była godna pożalowania) nie widać mojej miny.

– Zmieniliśmy temat na włosy Hanny – powiedziała twardo Wenus, przerywając salwy śmiechu – a to naprawdę dobre pytanie: z czego on się utrzymuje? Pracował gdzieś?

Kostek pokręcił głową.

– Myślę, że może dostawać kasę od ojca. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, co innego mógłby robić. Chyba że złapał jakąś pracę zdalną.

– Z tego, co o nim mówiłeś, byłoby to zaprzeczeniem jego życiowej filozofii – zauważyłam.

Robin otworzył paczkę chipsów; z mojego głośnika znów wydostał się głośny szelest.

– Na pewno siedzi i pisze książkę – mruknął z pełnymi ustami.

– Narobiłeś mi smaka – jęknęła Hanna, jak zwykle zmieniając temat.

– Dobra, może dowiemy się na miejscu. A teraz po prostu skupmy się na przyziemnych sprawach, czyli co spakować, jak jedziemy, czy wystarczy nam jeden samochód... – zaczęła wyliczać Wenus. – Chyba niekoniecznie, sama moja walizka zajmie cały bagażnik.

– I moich kilka – dodała Hanna.

Kostek znów zaczął coś notować, widziałam jego loki tuż przy kamerce i poruszającą się płynnie dłoń, w której trzymał pióro.

– Co tam piszesz? – Przez chwilę myślałam, że sama bezwiednie zadałam to pytanie na głos, ale to był Robin. – Testament?

– Nic takiego – powiedział cicho Kostek, nie przerywając.

Zamilkliśmy; słychać było tylko szelest rękawiczek Hanny i opakowania chipsów Robina.

Nalałam sobie wody z dzbanka do szklanki. Moje usta wypełnił posmak przejrzalnych cytryn. Przypomniało mi się, że ojciec przyniósł mi tę wodę

wczoraj wieczorem i do teraz jej nie wypiął.

– Pojedziemy dwoma samochodami, moim i Hanny. – Kostek wreszcie uniósł wzrok, spojrzął w ekran bez emocji i odpalił papierosa.

Po braku reakcji Hanny wywnioskowałam, że musieli ustalić to wcześniej na osobności.

– Pod sam domek nie ma jak wjechać, trzeba zostawić samochody na leśnym parkingu – podjął, zaciągając się. – Z tego, co pamiętam, jest darmowy, ale niestrzeżony. Zostawimy tam auta, będzie nas czekać kilka ciężkich rundek z bagażami pod górę...

– Cudownie – stęknęła Wenus.

– ...ale potem sami zobaczycie, że ani samochody, ani telefony nie będą wam potrzebne do szczęścia. Widzimy się, tak jak ustaliliśmy, w piątek o szóstej rano przed szkołą. – Kostek wydmuchał dym i przed jego twarzą zrobiło się niemal białe. – Zabierzcie książki i zeszyty.

– Żeby nie zapomniał. – Głos Robina dobiegł zza wielkiej paczki chipsów. – Drogi pamiętniczku, dziś nazbieraliśmy poziomek...

– Sam zobaczysz, że po dwóch tygodniach i ty zaczniesz pisać – odparł sztywno Kostek.

Zmarszczyłam brwi. Na twarzy Wenus pojawił się niepewny wyraz.

– Tylko nie zapominaj, że to nasze wakacje, a nie obóz literacki – powiedziała. – Fajnie, na pewno wezmę książki i uważam pomysł odcięcia się od wszystkiego za świetny, ale błagam, nie wywieraj presji. Jeśli zapragnę poczytać, to poczytam, ale jak uznam, że wolę ćwiczyć jogę albo malować paznokcie na trawie przed domem, to chcę wiedzieć, że nie będziesz chodził obrażony.

Hanna przestała szeleścić rękawiczkami, a Robin wyjrzał zza chipsów. Odłożył je powoli gdzieś na bok.

Żałowałam, że nie widzę dokładnie miny Kostka, ale czułam, że jest poirytowany. To było do przewidzenia – załatwił miejscówkę, więc rwał się do ustalania zasad. Nie chciałam robić z siebie uległej, dlatego milczałam. W duchu miałam ochotę spędzać czas podobnie do niego, zwłaszcza że dobrze

byłoby napisać cokolwiek przed rozpoczęciem studiów. Nie pisałam wierszy od tak dawna, pochłonięta maturą, a później odpoczywaniem po maturze.

Mimo to Wenus miała rację. Chociaż w szkole nasze zainteresowania były podobne (wszyscy chodziliśmy do humana), spędzanie czasu wolnego w samotności zawsze jakoś nam się rozmiętało.

Czułam dreszcz ekscytacji na myśl o tym, jakie ich sekrety poznam. W szkolnej codzienności wydawało mi się, że dobrze znam tych ludzi, a jednak nie wiedziałam nic o ich porannych rytuałach (poza tymi na imprezach, w przestrzeniach u obcych ludzi, gdzieś między zatęchłym materacem a butelkami wody na kaca). Nie wiedziałam, co robią, kiedy akurat się nie widzimy. Nie miałam pojęcia, co na co dzień, poza szkołą, najbardziej ich wkurza.

Kim są, kiedy nikt nie patrzy.

Przez trzy miesiące nie da się udawać. Wiedziałam o tym i sama bałam się zdemaskowania. Bywały noce, podczas których nie mogłam spać i zastanawiałam się, dlaczego właściwie się ze mną przyjaźnią. Na tym wyjeździe wreszcie odkrywają, że jestem nudna i do bólu zwyczajna.

– Obiecuję, że nie będę wywierał na was presji – odezwał się Kostek po dłuższej chwili. Zamknął zeszyt i w oczy rzuciła mi się jaskrawa, fioletowa okładka. To był chyba brulion na jego szkolne notatki, kojarzyłam go z zajęć. Ja po maturze wcisnęłam swoje zapiski do wielkiego kartonowego pudła, a nawet chciałam je spalić. Zdziwiłam się, że on ma ochotę jeszcze z niego korzystać.

– Ale sami zobaczycie, zaczniecie pisać – nie odpuszczał.

Puścił do nas oko i bez słowa pożegnania, bez żadnych dalszych ustaleń, opuścił czat.

Żadne z nas nie zareagowało. Pomachaliśmy do siebie, Hanna i Robin już wyraźnie znudzeni, rwąc się do przerwanych czynności, i zaczęliśmy po kolei wyłączać mikrofony i kamerki.

Jak zawsze musiał mieć ostatnie słowo. Poczułam ucisk w brzuchu.



Moje pakowanie trwało stanowczo za długo, a mimo to walizka wciąż była prawie pusta.

Przekopałam cały pokój w poszukiwaniu przedmiotów, które mogłyby mi się przydać w miejscu, które jest odcięte od świata, a jednak zapewnia większość codziennych wygod. A nawet więcej niż codziennych (pomyślałam o wielkiej wannie z hydromasażem, która dla Hanny stanowiła zapewne rutynę, tymczasem dla mnie atrakcją równą rollercoasterowi).

Cały poranek rozmyślałam też o laptopie. Zabrać go ze sobą czy naprawdę odciąć się od wszystkiego, czego używałam na co dzień? Z jednej strony kolejna zbędna technologia, z drugiej – nie lubiłam pisać w zeszytach jak staromodny i hipsterski Kostek. Nawet własną poezję trzymałam w chmurze. Dostępu do chmury mieć nie będę, ale przynajmniej sobie popiszę bez ciągłej pokusy wchodzenia na durne strony internetowe, stwierdziłam.

Kiedy już włożyłam laptopa do futerału, a następnie umieściłam go na dnie walizki, zawahałam się. Miałam ochotę napisać do Kostka. Skąd brała się we mnie ta głupia pokusa, żeby co chwilę pytać go, czy mogę coś zabrać? Nie był przecież moim ojcem. Zresztą nawet ojca przestałam prosić o zgodę, a nauczyłam się informować (pozostawiając przestrzeń do dyskusji, tak przynajmniej sobie to tłumaczyłam).

Sama udzieliłam sobie reprimendy i postanowiłam nie wyciągać laptopa. Żeby stłumić poczucie winy, wypełniłam lukę po prawej stronie pięcioma książkami, które leżały na półce od pięciu lat. Wszystkie były po mamie i wcześniej bałam się je otwierać.

Wstałam, żeby ocenić z dystansu, jak wygląda zawartość mojej walizki. Dobrze – książki wybijały się na pierwszy plan. Cóż, żenował mnie Kostek czytający na pokaz, a sama się zastanawiałam, czy wyjdę przed nim na dostatecznie mądrą. Przecież mnie znał, wiedział, jakie książki czytam. Nie był to nigdy Dostojewski. „Horror to nie literatura”, powiedział kiedyś na szkolnym korytarzu, kiedy zerknął mi przez ramię, a ja obgryzałam paznokcie, wciągnięta w *Smętarz dla zwierzaków* Kinga. Niby zyczliwie się uśmiechał, ale

dobrze wiedział, że mnie to zaboli. Sam wrócił do lektury czegoś, czego okładka nie wyrażała zupełnie nic. Była stara, obdarta z wierzchniej folii i wystarczająco tajemnicza, żeby mógł paradować z nią na przerwie, wzbudzając westchnienia intelektualistek z równoległego humana (było nas na profilu tak dużo, że podzielili wszystkich na trzy różne klasy. „Szkoła marzycieli”, tak prześmiewczo mówiono w mieście o naszym liceum, bo w większości byliśmy humanistami, a chętnych na profile ścisłe było każdego roku jak na lekarstwo).

Wtedy nie umiałam mu odpyskować. Dopiero później podczas długich pryszniców często mówiłam sama do siebie: „Tak się składa, Konstany, że nie ty decydujesz o tym, co jest literaturą. Tak się składa, że mogę czytać, co zechcę. Tak się składa...”. Mój głos rezonował w pustej łazience, tłumiony odgłosem lejącej się wody. Gdyby ktoś usłyszał mnie z boku, pomyślałby, że próbuję być Hanną. A w dodatku że jestem przy tym mało zabawna. I zapewne miałyby rację w obu tych przypadkach.

Często prowadziłam podobne wyimaginowane rozmowy sama ze sobą, ale nawet wtedy nigdy nie mówiłam tego, co myślę, gdy był na to odpowiedni moment. Wtedy albo pustka wypełniała mój umysł, a myśli zamrażały się, odcinając mnie od jakichkolwiek sensownych słów, a co dopiero zdań, albo miałam gotową odpowiedź, ale w gardle rosła mi włochata kula, której nie potrafiłam ani przełknąć, ani z siebie wypluć. Skutecznie blokowała wszystko, co chciałam powiedzieć.

Dlatego potok słów wypływał ze mnie wieczorami. Pod prysznicem gadałam do Kostka, do Hanny, do ojca.

I do mamy.

Zerknęłam na nasze zdjęcie stojące w ramce na nocnym stoliku. Podniosłam je powoli i uśmiechnęłam się przez łyzy. Przejechałam palcem po zakurzonej szkle, odsłaniając jej piękną buzię. Szczerzyła zęby w uśmiechu, w dłoniach wienczyła bukiet kwiatów od ojca. Ja, zaledwie pięcioletnia, stałam obok, mrużąc oczy w pełnym słońcu, uczipiona kurczowo jej nogawki. Wyglądałam, jakby to było moje najważniejsze zadanie – trzymać mamę. Nie

puszczać jej, bo mogłaby niespodziewanie odfrunąć, niczym balon wypełniony helem.

Trzymałam, kurczowo trzymałam ją przez tyle lat, a ona i tak odleciała. Odleciała, mimo że całe życie twardo stąpała po ziemi, z siłą godną tytana.

Chociaż w galerii na telefonie miałam dużo jej bardziej aktualnych zdjęć, nawet tych z ostatniego dnia życia (nie mogłam ich oglądać, czułam, że na to nie będę gotowa nigdy, przenigdy), wzięłam ramkę ze starą, ponad trzynastoletnią już, fotografią i włożyłam ostrożnie pomiędzy ubrania, tak żeby szkło nie potłukło się podczas podróży.

Jeśli będę mieć ją przy sobie, nie zabraknie mi niczego.

Nagle rozległo się krótkie pukanie. Zanim zdążyłam otworzyć usta, żeby coś powiedzieć, drzwi mojego pokoju uchyliły się i w progu stanął ojciec. Jadł pistacjowe lody prosto z kubeczka.

– Chcesz? – spytał z pełnymi ustami.

– Nie, dzięki. – Uśmiechnęłam się kwaśno, szybko zasłaniając wystający spod ubrań fragment ramki.

Omiótł spojrzeniem podłogę, uniósł brwi i oparł się o framugę.

– Spakowana?

– A co właśnie robisz? – Zrobiłam skonsternowaną minę.

– Jesteś złośliwa, jak co dzień – odparł, ale uśmiechnął się i znów przybrał pozę idealnego, wyrozumiałego rodzica. Nie mogłam tego znieść. Doszło do tego, że w głębi serca marzyłam, żeby się na mnie wydarł, zwyzywał, popchnął odrobinę za mocno. Przynajmniej nie miałabym poczucia winy, że nie jestem dobrą córką. – Masz jakieś zabezpieczenie?

– Co? – wymamrotałam, czując, jak zalewa mnie fala gorąca. Zaczęłam bezsensownie grzebać w walizce, żeby nie widział moich policzków.

– Chyba uczyli was o tym w szkole?

– Tato... – jęknęłam, chowając twarz w dłoniach. – O czym ty mówisz?

– Co jest dziwnego w tym pytaniu? – Skrzywił się, oblizując łyżeczkę. – Będą tam twoi koledzy, prawda?

Moja cierpliwość wisiała na włosku.

– No właśnie, koledzy – wycedziłam ostatnie słowo, skupiając się na złości, żeby zniknął wstyd, wykwitający mi wypiekami na skórze. Czułam, że na szyi także mam już malinowe plamy. – Proszę cię, daj mi spokój chociaż teraz i nie wtrącaj się we wszystko, co robię.

– Zadanie pytania nazywasz wtrącaniem się? – Nie odpuszczał, ale przynajmniej z jego twarzy zniknął ten swobodny, życzliwy uśmiezek. – Zresztą sama sobie na nie odpowiedz, a jeśli odpowiedź będzie przecząca, to chyba wiesz, co powinnaś zrobić.

– No tak, mówienie mi, co powinnam, wcale nie jest wtrącaniem się.

– Robię to dla twojego dobra.

Kolejne magiczne zdanie z poradnika. Ledwo się powstrzymałam od rzucenia czymś w ścianę. Serce miało mi się w piersi jak wystraszony ptak w klatce. Wciskałam paznokcie we wnętrza dłoni i usiłowałam uspokoić oddech. Płonąca nienawiść, która wybuchała we mnie w takich momentach, potrafiła mnie przerazić, teraz jednak byłam z nią zupełnie pogodzona – chciałam ją tylko okiełznać, żeby nie zrobić nic, co mogłoby wpłynąć na mój wyjazd. Teoretycznie nie mógł zabronić mi jechać, w rzeczywistości jednak byłam od niego zależna, chociażby finansowo.

– Dziękuję za radę, ale nie ma takiej potrzeby – powiedziałam wreszcie, starając się zabrzmieć neutralnie.

Ojciec zgniół kubeczek w dłoni; struzka zielonych, roztopionych lodów spłynęła mu między palcami.

– Skoro tak uważasz.

Wreszcie wyszedł. Po chwili usłyszałam szum wody w kuchni.

Wypuściłam powietrze z płuc, odchyliłam głowę do tyłu i zaczęłam masować skronie. Zawsze tak robiłam, żeby się uspokoić, chociaż moje paznokcie wbijały się w skórę odrobinę za mocno.

O parapet zabębniły pierwsze krople deszczu. Spojrzałam w okno, z całych sił próbując się nie rozpłakać.

To minie.

Skoro minie wszystko, co dobre, minie też wszystko, co sprawia ból. Wierzyłam, że uda mi się przyzwyczać do tęsknoty, ale może to ona musiała przyzwyczać się do mnie. Może musiała zmienić formę, aby nie przytłaczać mnie za każdym razem. Oswoić się ze mną, skoro ja chciałam oswoić się z nią. Musiałyśmy nauczyć się ze sobą współistnieć. Czy z tęsknoty może wyniknąć cokolwiek dobrego?

Wyciągnęłam laptopa z walizki i zaczęłam pisać pierwszy od dawna wiersz.



Za szybą rozciągały się jedynie pola otoczone w oddali linią gęstych drzew. Mimo wiszącego nad nami od wielu godzin słońca w samochodzie było zimno od klimatyzacji, dlatego siedziałam w bluzie z kapturem.

Hanna prowadziła ostro, ale bezpiecznie; uwielbiałam z nią jeździć, bo nie popisywała się jak Kostek, dobijając w kilka sekund do setki, mimo że z łatwością mogłaby to zrobić. Kostek jeździł rozpadającym się fordem po ojcu, ona na osiemnaste urodziny dostała od rodziców świeżutkie bmw prosto z salonu. Pozostała trójka z nas nie miała jeszcze prawa jazdy. Wenus od wielu miesięcy była w trakcie kursu i z niewiadomych przyczyn wciąż go nie ukończyła. Podejrzywałam, że chodziło – jak zwykle – o pieniądze, a raczej o ich brak. Miała zdecydowanie najgorszą sytuację materialną z nas wszystkich mimo obiektywnie najfajniejszej rodziny (chyba jako jedyna mi znana była pełna, zwariowana i kochająca).

Ta równowaga w przyrodzie stale mnie zaskakiwała.

Swego czasu zaglądnienie do cudzych domów i rodzinnych sytuacji, a następnie szukanie w nich haczyka, jeśli wszystko wydawało się w porządku, stało się moją małą obsesją. Nie wierzyłam już, że gdziekolwiek może być naprawdę dobrze.

Zerknęłam w lusterku na Wenus. Spała z rozchylonymi ustami. Wyciągnęłam telefon, odwróciłam się i nagrałam kilkunastosekundowe zbliżenie. Nasze galerie w telefonach były pełne tego typu perełek, które później stawały się walutą. Ewentualnie, jeżeli nie wzbudzały większych emocji, stanowiły przynajmniej dobrą podkładkę pod muzykę na urodzinowych czy rocznicowych filmikach; obdarowywaliśmy się takimi przy każdej możliwej okazji.

– Wrzuc na stories – powiedziała Hanna. – Ona cię wrzuciła, jak sikałaś na poboczu, pamiętasz?

– Bo ty jej kazałaś. – Uniosłam brwi. – Nie... zostawię to na lepszy moment. – Schowałam telefon do kieszeni, a gdy znów poczułam gęsią skórę na rękach, objęłam się ramionami. – Mogę troszkę przykręcić klimę?

– Pewnie. W sumie ja też zamierzam.

Dopiero teraz się zorientowałam, że jedziemy w absolutnej ciszy. Bez pytania włączyłam radio, ale każda stacja nadawała akurat reklamy lekarstw albo polityczne audycje.

Przewróciłam oczami.

– Podłączę się i coś puszcze – powiedziałam.

Już po chwili wewnątrz samochodu wypełniły oniryczne dźwięki gitar M83. Jadący przed nami ford skręcił w prawo, a my płynnie za nim.

– Boisz się? – spytała nagle Hanna.

Przez chwilę nie rozumiałam, co do mnie mówi. Myślałam, że pyta o jazdę samochodem.

– Czy się boję? – powtórzyłam powoli, patrząc na nią.

Nawet na mnie nie zerknęła. Patrzyła prosto przed siebie, w pełnym skupieniu. Jej idealnie zarysowana szczeka zacisnęła się jednak lekko; znałam ten charakterystyczny grymas, choć chyba pierwszy raz widziałam go u swojej przyjaciółki.

– No wiesz, zupełnie nie wiemy, dokąd jedziemy. – Uśmiechnęła się z udawaną wesołością i nerwowo założyła kosmyk za ucho. Jej wściekle zielone włosy wyglądały przedziwnie, jakby z głowy wyrastał jej szczypiorek; ze swoją twarzą modelki Hanna była teraz niczym główna bohaterka jakiegoś netflixowego serialu. – Nie wiemy, kim jest ten Adam i... sama rozumiesz. Pytam, czy nie czujesz choćby odrobiny niepokoju.

Zastanowiłam się. Ostatnio byłam tak wściekła na ojca i jednocześnie załamana końcem roku szkolnego (a ściślej: końcem wszystkiego), że ten wyjazd jawił mi się jako coś w rodzaju złotego, lśniącego pucharu czekającego na mnie na mecie. Jedyne, co czułam, to radość i ekscytację, co chwilę tysiące motyli trzepotało mi w brzuchu skrzydełkami. Nagle zdałam sobie sprawę, że czułam się tak często, kiedy się spotykaliśmy, odkąd tylko „przygarnęli” mnie do swojej paczki w drugiej klasie liceum (oni wszyscy znali się i przyjaźnili już od podstawówki). Jakbym ciągle nie mogła uwierzyć, że jestem częścią czegoś, o czym w ósmej klasie czytałam jedynie w książkach.

Tego jednak nie chciałam mówić na głos. Wolałam udawać, że to wszystko jest naturalne i nie wzbudza we mnie większych emocji.

– Chyba po prostu ufam Kostkowi – powiedziałam wreszcie. Zerknęłam na Hannę w obawie, że źle mnie zrozumie. Przez chwilę sama się zastanowiłam, czy nie powiedziałam tego celowo, jakbym chciała się popisać i zasugerować, że ona mu nie ufa.

– Myślę, że on sam się boi. – Wzruszyła ramionami, a ja poczułam lekkie ukłucie w klatce piersiowej. W takich drobnych momentach ich więź wydawała się dużo głębsza niż czyjakolwiek w naszej grupie. Głębsza, niż na co dzień to pokazywali. – Jeszcze nigdy nie zachowywał się tak dziwnie.

– Serio? – próbowałam zażartować, unosząc brwi, ale nie zmieniła wyrazu twarzy.

– Boję się, Fio. Naprawdę się boję.

Przełknęłam ślinę. To nagłe poważne wyznanie zupełnie zbiło mnie z tropu, nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć. Zwłaszcza że niemal zawsze udzielał mi się czyjś nastrój. Żołądek zwinął mi się w supeł po jej słowach.

– Za... – Zerknęłam na ekran telefonu. – Cóż, dokładnie za dwie godziny dowiesz się, czy jest czego się bać. Albo znajdziemy jego martwe ciało, albo Adam przyjmie nas z otwartymi ramionami.

– Albo okaże się psychopata – mruknęła.

– Aż tak Kostek by się nie pomylił – powiedziałam z przekonaniem. I naprawdę tak myślałam.

– Kto jest, kurwa, psychopata? – Zaspany głos Wenus dobiegł nas z tyłu. Po chwili wewnątrz samochodu wypełniło głośnie ziewnięcie. – Co wy znowu snujecie za teorie spiskowe? Minęliśmy McDonalda?

– Nie, zaraz będzie.

– Całe szczęście. – Wenus oparła się o nasze zagłówki i nachyliła między nas. Kosmyki jej ciemnych włosów opadały falami na skrzynię biegów. – Opowiadajcie, kto jest psychopata?

– Adam – westchnęłam. – Hanna próbuje nas wystraszyć.

Hanna uśmiechnęła się w sposób, który miał pokazać Wenus, że mówię prawdę, a ona robi sobie żarty.

– Jeżeli nie będzie psychopata, będę rozczarowana – jęknęła Wenus. – Albo przynajmniej niech będzie wampirem.

Do postoju rozmowa toczyła się już normalnie, żartowałyśmy i docinałyśmy sobie nawzajem, ale między mną a Hanną zawisł dziwny niepokój i było w tym coś nieodwracalnego. Mimo upału i pełnego słońca nie mogłam się opędzić od chłodu, który nie mijał nawet po wyjściu z klimatyzowanego auta.

Gdy wysiadłyśmy przy McDonalddie, Kostek i Robin już na nas czekali. Ten pierwszy przeciągał się i stękał.

– Strasznie bołą mnie ramiona.

– Mogę cię zmienić – powiedział Robin. – Serio, stary, nie złapią nas.

– Przestań, już ci mówiłem. Nie ma mowy.

Klasyczna dyskusja, do której wracali na każdej imprezie. Robin, zamiast zrobić wreszcie prawko, wołał przekonywać wszystkich dookoła, że świetnie radzi sobie za kierownicą. Na szczęście nikt do tej pory nie uległ jego namowom.

– Hej, przystojniaki! Auto jeszcze sprawne? – Hanna stanęła obok mnie i zaczęła naśladować Kostka. Wymachiwała rękami i nogami, a potem zaczęła dodatkowo kręcić biodrami.

– Bardziej sprawne niż twój stary – rzucił Robin, po czym pobladł. – O Boże... przepraszam. Zupełnie zapomniałem.

Hanna parsknęła.

– To ci akurat wyszło. – Wydawała się zupełnie nieprzejęta, ale po jej wyznaniu w samochodzie wiedziałam już, że potrafi w jednej sekundzie zmienić wyraz twarzy, więc nie można było wierzyć jej minie.

Ojciec Hanny dwa miesiące temu miał wylew i wciąż nie czuł lewej strony ciała. Rehabilitacja szła dobrze i według lekarzy miał dojść do pełnej sprawności w ciągu roku. Robin jednak, mimo że zwykle nie przejawiał większej empatii ani taktu i jak z rękawa sypał żartami z „twoim starym” (choć

nikogo nie bawiły i były modne jakieś dziesięć lat temu), teraz wydawał się skruszony. Zaczął masować dłonią kark.

– Z autem wszystko w jak najlepszym porządku. – Kostek wyglądał, jakby zamierzał jeszcze coś dodać, ale wszyscy straciliśmy chęć do żartów i ruszyliśmy w stronę budynku.

Już po chwili jedliśmy w milczeniu. Chłopcy napawali się panującym w lokalu chłodem. Za jedyną działającą klimatyzacją w fordzie mieli opuszczone szyby, te jednak wpuszczały tylko suche, gorące powietrze.

Moje frytki były przesolone i szybko zachciało mi się pić.

– Mogę trochę twojej coli? – zapytałam Kostka.

Bez słowa przesunął w moją stronę papierowy kubek. Cola smakowała obrzydliwie, była wygazowana i wodnista, ale przynajmniej zimna. Tak zimna, że zdrętwiał mi od niej język. Zaczęłam gryźć go odrobinę za mocno, żeby cokolwiek poczuć. Nie lubiłam znieczulenia w żadnej formie, nawet u dentysty wolałam się przemęczyć, ale wiedzieć, co się dokładnie dzieje i gdzie pulsuje ognisko bólu. Świadomość, że nie czuję fragmentu własnego ciała, przerażała mnie do głębi.

– Teraz to mi aż za zimno – odezwała się Hanna. Raz po raz wgrzyzała się w swojego burgera, a jej paznokcie długości szponów czarownicy ociekały sosem. Z jakiegoś powodu patrzeć na nie wywoływało u mnie dyskomfort. Wyobrażałam sobie przeróżne czynności, które musi z nimi wykonywać, i dreszcz przebiegał mi po plecach, zupełnie jakby ktoś skrobał przy mnie styropian. Znow przygryzłam język, tym razem czując palący ból. Pożałowałam tego.

Czemu nie mogłam po prostu siedzieć spokojnie?

Zastanawiałam się, czy nie zbliża się przypadkiem atak paniki, pierwszy od bardzo dawna. Tylko czemu akurat teraz, kiedy wszystko szło tak, jak powinno, i wreszcie nadszedł wyczekiwany przeze mnie wyjazd?

Przypomniałam sobie słowa ratowniczkii medycznej, która podała mi dożylnie hydroksyzynę w pewną wietrzną noc po śmierci mamy. Miałam wtedy trzynaście lat, obudziłam się zlaną potem, z uczuciem waty wypełniającej moją klatkę piersiową. Nie mogąc złapać tchu, dopadłam do okna i otworzyłam je

gwałtownie, strącając z parapetu wszystkie doniczki i kubki. Dźwięk tłuczonej gliny obudził ojca, który wpadł do mojego pokoju i od razu zadzwonił po pogotowie. Nie minął kwadrans, a ja leżałam bez siły na podłodze, trzęsąc się niczym w febrze, mimo że nic mi już nie dolegało. Nic poza uczuciem potwornego wyczerpania i niepokoju, który od tamtego dnia miał mi towarzyszyć już niemal zawsze. W różnych formach, o różnym natężeniu, a jednak codziennie. Niepokój został moim żarliwym kompanem, razem z tęsknotą.

To był tak zwany lęk przed lękiem.

Słowa ratowniczkki wryły się wtedy w moją pamięć, tak jak tatuaż wtapia się w skórę: „Nie umrzesz, chociaż wiem, że tak właśnie się czujesz. Nie umrzesz. Nie tutaj i nie teraz”. A potem owionęła mnie chmurka jej cukrowych perfum i poczułam ukłucie igły. Spałam przez kilkanaście godzin.

Ataki powracały raz za razem. Ojciec nalegał na wizytę u psychiatry, ja jednak się uparłam, że poradzę sobie sama. I poradziłam, a przynajmniej, jak by to powiedziała mama, oswoiłam lęk. Dawałam sobie czas do ukończenia liceum. To była granica, za którą wedle moich wyobrażeń miało być już tylko lepiej.

Nie wiem, co sobie myślałam, wytyczając ją. Chyba chciałam wierzyć, że nagle, tuż po odebraniu świadectwa maturalnego, znikną wszystkie problemy.

Teraz już wiedziałam, że jeżeli czuję się tak niepewnie, siedząc w McDonaldzie z grupką ulubionych ludzi w piękne gorące lato, to po moim powrocie do domu, a później przy przeprowadzce do zupełnie nowego miasta, może być jeszcze gorzej. Usilnie starałam się odgonić czarne myśli i skupić uwagę na czymś przyjemnym. Wbiłam wzrok w dłonie Kostka. Brutalnie rozrywał nuggetsy, których kawałki wędrowały później do jego ust. Do dolnej wargi przykleiły mu się okruszki z panierki. Czułam zapach głębokiego tłuszczu, ale gdzieś spod niego przebijająca nuta rumiankowego szamponu.

– Co powiedziałeś ojcu? – spytałam.

Nie spojrzął na mnie, tylko jadł dalej, ale wiedziałam, że za chwilę odpowie. Zerknęłam na resztę – byli pochłonięci przeżuwaniami.

– Okłamałem go – powiedział Kostek ze spokojem, którego mogłam mu pozazdrościć. – Powiedziałem, że Robin ogarnął jakiś kemping na zadupiu bez zasięgu.

– Cóż, niewiele odbiega to od prawdy. – Wenus uniosła brwi, oblizując palce z kryształków soli.

Jednak podsłuchiwała.

– I nie drażył? – Nie chciało mi się w to wierzyć.

Kostek spojrział na mnie spod wachlarza długich ciemnych rzęs i wzruszył ramionami. Na nosie miał jeszcze więcej piegów, niż kiedy się ostatnio widzieliśmy.

Pokręciłam głową.

– Strasznie to wszystko pokręcone – powiedziałam, chociaż wcale tak nie myślałam.

Czułam, że to wszystko jest strasznie ekscytujące, a ja nie mogę się doczekać, co z tego wyniknie. W samochodzie Hanna mówiła o dręczącym ją niepokoju – mój niepokój dotyczył właściwie tylko mojego zdrowia, które zupełnie bez uprzedzenia potrafiło zepsuć mi każdą chwilę.

Miałam jednak dość zdręczania się, dlatego właśnie w tej chwili, w klimatyzowanym McDonaldzie, dojadając ostatnie frytki, postanowiłam, że przestanę to robić. Potraktuję te wakacje jak film, który oglądam i który wzbudza we mnie emocje, potrafi ścisnąć za brzuch i gardło, ale w gruncie rzeczy to tylko film.

Niedługo się skończy.

Z tą myślą zrobiło mi się lepiej. Ulga była silna i tak nagła, jakby ktoś zdjął mi z pleców ciężki pled. Poczułam, że mimowolnie się uśmiecham.

– Co cię tak bawi? – spytał Robin, patrząc na mnie, jakbym co najmniej zaczęła tańczyć bez ubrań.

– Cieszę się wyjazdem, nie mogę? – Sięgnęłam po colę Kostka, a on dokładnie w tym momencie zrobił to samo. Nasze chłodne od przemakającego papieru palce zetknęły się na chwilę, ale szybko cofnęłam rękę. – Pij, sorki.

Upił jeden łyk i podał mi resztę.

– Jeszcze troszkę zostało.

– Dzięki.

– Ale się nażarłam – jęknęła Hanna. – Czemu ja tak dużo jem?

Zerknęłam na Wenus, która ostentacyjnie przewróciła oczami. Typowa Hanna – śmiejąca się na TikToku ze wszystkich *pick me*, choć sama była ich podręcznikowym przykładem.

– Jeśli w razie czego chcemy zdążyć zawrócić, powinniśmy się zbierać – powiedział Kostek. Wstał, a tuż za nim Robin. Narobili przy tym sporo hałasu. – Weź, proszę, wyrzuć.

Gdy Robin zebrał wszystkie nasze tace razem i zniknął w drugiej części budynku, Wenus uwiesiła się na moim ramieniu.

– Jestem taka zamulona po tym awiomarinie... – Skrzywiła się. – Zasypiam na stojąco.

– To może mogłaś tyle nie jeść – powiedziała Hanna, rzucając nam przelotne spojrzenie. Otworzyła drzwi wyjściowe i wyszliśmy prosto w skwar.

Widziałam, że Wenus poczerwieniała, kiedy Hanna chyba się zreflektowała i dodała:

– Chodzi mi o to, żebyś nie miała jeszcze większych mdłości.

– Jestem zamulona w sensie potrzeby snu, a nie mdłości – burknęła Wenus.

Ale Hanna już nie słuchała, dogoniła Kostka, stanęła za nim na palcach i poczochnęła mu włosy. Gdy się do niej uśmiechnął, wyprzedziła go i kręcąc biodrami, niby żartobliwie, ruszyła w stronę auta.

Jakiś facet palący papierosa na parkingu zrobił z dłoni daszek, zasłaniając twarz przed słońcem, i otaksował wzrokiem jej pośladki.

– Teraz już mam mdłości. – Wenus wbiła palce w moje ramię.

Roześmiałyśmy się.

Nawigacja pokazywała, że zostało nam dwadzieścia pięć minut do celu.

Kiedy samochód Kostka wtoczył się na parking supermarketu, ruszyliśmy za nim. Poza nami przed sklepem stało tylko kilka dostawczaków, ich blachy lśniły w słońcu. Kłęby piasku z nierównej nawierzchni wzbily się w powietrze po zetknięciu z naszymi oponami.

Otworzyłam drzwi, żeby wysiąść, i od razu zanosłam się kaszlem. Gdzieś w oddali powietrze drżało od odgłosów wydawanych przez owady. Coś jak pomieszanie cykad i ważek. Pachniało czymś egzotycznym. Drzewa oliwne u nas nie rosły, ale mogłam przysiąc, że czuję ich otulający, ciepły zapach. A może był to po prostu czyjś olejek do opalania, którego aromat wciąż unosił się w zastygłym od upału powietrzu.

Zmrużyłam oczy, oślepią promieniami. Jakaś muszka usiadła mi na szlufce od krótkich džinsów. W pierwszym odruchu chciałam ją strzepnąć, ale ostatecznie patrzyłam tylko, jak jej odwłok mieni się w słońcu niczym mały szmaragd. Niby wciąż byliśmy w Polsce, a jednak nie mogłam pozbyć się wrażenia, że jestem gdzieś bardzo, bardzo daleko – w obcym kraju, w obcym klimacie.

Przez uchyloną szybę zajrzałam na tylne siedzenie samochodu. Wenus, nie otwierając oczu, mruknęła, że jej lista zakupów jest na naszej konwersacji, a potem przeleje mi blika.

– Weź paragon – dodała niewyraźnie. Następnie przykryła twarz bluzą, żeby nie raziło ją światło, i ułożyła się w nieco innej pozycji, jednak wciąż na wół leżąc.

– Czekaj, to przeparkuję pod drzewo, żeby się nie ugotowała – powiedziała Hanna. Ponownie odpaliła silnik, po czym odjechała kawałek dalej.

Zostałam sama, rozciągając obolałe od bezruchu mięśnie.

Chłopcy podeszli do mnie z nietęgimi minami. Miałam wrażenie, że wszystkim odechciało się już wyjazdu.

– Zaraz zrobię nam pyszne mojito! – zawołałam, próbując wykrzesać z siebie choć trochę zapału. – Mam tylko nadzieję, że mają tu świeżą miętę.

Kostek uśmiechnął się leniwie, jak to on, a Robin ziewnął.

– Ja preferuję zimne piwko – mruknął. – Naprawdę dalej ten twój braciszek nie mógł już mieszkać.

– To nie jest mój braciszek – wycedził przez zęby Kostek.

Spojrzeliliśmy na niego ze zdziwieniem.

– Dobra, stary, przepraszam. – Robin podniósł ręce w obronnym geście. Na jego czole pojawiła się sieć poziomych zmarszczek. – To taki skrót myślowy. Sam mówiłeś, że...

– Twoje myślenie to jeden wielki skrót – odburknął Kostek. Wyciągnął z kieszeni szortów papierosy, ale kiedy zobaczył zbliżającą się Hannę, westchnął ciężko i schował paczkę z powrotem. – Po prostu załatwmy to jak najszybciej i dojedźmy wreszcie na miejsce.

Widząc minę Kostka, Hanna rzuciła mi pytające spojrzenie.

Wzruszyłam ramionami.

– Jest zmęczony – szepnęłam niemal bezgłośnie, kiedy już mnie wyminął.

Weszliśmy do zalanego halogenowym światłem marketu. W środku było tak zimno, że moje ręce i nogi od razu pokryła gęsia skórka.

Szło nam dość sprawnie. Ustaliliśmy, że każdy kupuje produkty dla siebie, a po alkohol pójdziemy razem na samym końcu. Wrzuciłam do wózka zapas sezonowych warzyw i owoców, zastanawiając się, na ile dni mi wystarczą. Raczej nieprędko będę miała okazję przyjechać po następne. Spontanicznie postanowiłam kupić więcej suchych i długoterminowych produktów, niż wstępnie planowałam. Już po chwili mój wózek był wypełniony po brzegi makaronami, kaszami i pomidorami w puszcze. Hanna postawiła na chipsy, popcorn do mikrofali (która podobno była na miejscu, co niezmiernie nas ucieszyło; uwielbialiśmy maślany popcorn o tym niepowtarzalnym, chemicznym zapachu, który wypełnia całe pomieszczenie), mnóstwo batonów oraz czekolad. W jej koszyku znajdował się też cały zapas zupek chińskich, dań instant i gotowych mieszanek, na przykład do smażenia naleśników.

Zauważyła mnie, kiedy brała z półki to ostatnie.

– Podobno wystarczy dolać odrobinę wody i smażyysz pyszne pancakes – powiedziała z miną odkrywczyni, a ja nagle nabrałam ochoty na wszystkie te wysoko przetworzone rzeczy. Wiedziałam już, że będę od niej żebrać. – Masz wszystko dla Wenus?

Pokiwałam głową, wskazując na mały koszyk, który trzymałam w lewej ręce.

– Niedużo tego – powiedziałam. – Czuję, że i tak co parę dni będziemy jeździć na stację.

– Dokładnie. Wystarczy, że chłopakom skończą się fajki, i nagle wyprawa nie będzie już żadnym problemem. – Hanna rozejrzała się po alejce. – Właśnie, przydałyby się zapalniczki. Moja jest na wykończeniu.

– Znowu palisz?

– Fio, są wakacje. – Uśmiechnęła się. – Ty też będziesz palić.

Nie odpowiedziałam.

– Będziesz, prawda?

– Może trochę – odparłam, żeby dała mi spokój, a ona ucieszyła się jak dziecko.

– No i o to chodzi, musisz trochę wyluzować!

Gdy dała mi kuksańca w bok, musiałam się powstrzymać od przewrócenia oczami. Niemrawo uniosłam kąciki ust. Oglądałam film, przypominałam sobie. Co zrobiłaby teraz bohaterka będąca mną?

Zapewne nic.

Inaczej: co zrobiłaby bohaterka, którą chciałabym być?

– Muszę jeszcze kupić gumki – rzuciłam najbardziej swobodnym tonem, na jaki było mnie stać, i bez dodatkowych komentarzy ruszyłam w stronę kas. Czując na plecach spojrzenie Hanny, uśmiechnęłam się sama do siebie.

Omiotłam wzrokiem batoniki musli, miętowe gumy do żucia i prezerwatywy w różnych kolorach. Przełknęłam ślinę, nie mając pojęcia, co robię ani właściwie po co. W jednej chwili poczułam się strasznie głupio – jakbym była dwunastolatką chcącą pokazać koleżankom, że wie, czym jest seks.

Zdecydowanie nie chciałam być taką bohaterką.

Chciałam po prostu mieć w sobie tyle luzu i pewności siebie co Hanna.

Udając, że się zastanawiam, sięgnęłam po wściekle żółte opakowanie z rysunkiem bananów na froncie. Zaraz po prostu to odłożę i powiem, że nie ma tych, które lubię.

– Widzę, że masz jakieś plany wobec nas.

Nie odwróciłam się od razu, bo chciałam przeczekać przelewającą się przez moją twarz falę rumieńca, nagłą i silną. Aż zahuczało mi w głowie od ciśnienia, które musiało wystrzelić błyskawicznie. Choć drżała mi ręka, postanowiłam grać w tę grę do końca i nie odłożyłam prezerwatyw. Zanim zrozumiałam, co robię, paczka była już w moim wózku.

– Ja też lubię bananowe – powiedział inny głos. Rzuciłam spojrzenie w bok. Robin szczyrzył się, trzymając zgrzewkę wody pod pachą, a Kostek patrzył na mnie z mieszanką rozbawienia i... No właśnie, czego? Nie umiałam rozgryźć tej miny, zresztą nie pierwszy i z pewnością nie ostatni raz.

– Hanna prosiła, żeby jej wziąć. – Usłyszałam własny głos.

– Mhm.

Kostek nie odrywał ode mnie wzroku, a Robin ciągle rechotał. Naprawdę marzyłam, żeby nagle stało się coś, co przerwie tę żenadę. Sytuacja jednak się przedłużała, dlatego odpychając lekko Robina, przedarłam się między nimi i ruszyłam z powrotem w stronę Hanny z szybko bijącym sercem.

Kłęczała przy żelkach, przerzucając torebki gwałtownymi ruchami.

– Szukam kwaśnych. – Skrzywiła się, widząc mnie kątem oka. – Jak może nie być kwaśnych żelek?

– Chyba są wyżej. – Pokazałam palcem na fioletowe opakowania z pokrytymi cukrem kolorowymi wstążkami. Modliłam się, żeby nie poruszyła tematu gumek. Skoro wszyscy są tacy dorośli, a ja infantylna, niech po prostu zapomną o temacie.

– O rany! – Hanna wzięła kilkanaście paczek żelek, niemal opróżniając stojak, i wrzuciła je do swojego wózka. – Jak mam PMS, nie wytrzymam bez

kwaśnych – wyjaśniła. – Fio, skarbie, czy mogłabyś nagrać króciutki film, jak jadę z tym przez całą alejkę?

– Pewnie.

Odłożyłam koszyk z rzeczami dla Wenus i z ulgą, że nie muszę się już tłumaczyć, popchnęłam swój wózek w lewo, żeby zrobić sobie miejsce. Od nerwowego ściskania lakierowanego uchwyty bolały mnie dłonie.

Cóż, niezadręczanie się wyraźnie nie szło mi najlepiej.

Hanna podała mi swojego iPhone'a z pękniętą szybką.

– Odejdę tam, pod mrozonki, i po prostu przejadę się w stronę obiektywu – wytłumaczyła, poprawiając włosy. – Wrzucę zaraz szybką relację, że znikam na trochę, a to jest całkiem tajemnicze, nie?

Przytaknęłam w milczeniu, wbijając wzrok w stos niebieskich energetyków wciśniętych w róg wózka. Były z innej firmy niż ta, którą reklamuje Hanna.

– A twoi sponsorzy się nie przyczepią?

Hanna odwróciła się gwałtownie, jej oczy były wielkości pięciozłotówek.

– Ożeż kurwa! – Zaczęła wyciągać po kolei małe puszki i wciskać je pod inne opakowania. – Dzięki za czujność. Nie byłoby pewnie większej dramy, ale lepiej nie ryzykować. Miałam z tym skończyć, wiem, tylko że są wakacje...

Coraz bardziej mi się podobało to wytłumaczenie. Wszystkie swoje wyrzuty sumienia także mogłam uciszać wakacjami.

– Dobra, chyba nie widać.

Przykucnęła z mojej strony, badając zawartość swojego wózka, po czym pobiegła w kierunku lodówek. Widziałam, że jest jej zimno, bo zaczęła pocierać ramiona.

– Pionowo? – upewniłam się, podnosząc głos.

Uniosła kciuk.

Ustawiłam kadr i wcisnęłam przycisk nagrywania. Następnie skinęłam jej głową na znak, że może zaczynać.

Hanna z szerokim uśmiechem, machając zielonymi włosami na wszystkie strony, rozpędziła wózek i odepchnęła się jedną nogą, po czym wypuściła ją w powietrze. Jechała teraz jak na hulajnodze, a wózek niebezpiecznie skręcał

w prawo. Trafiłaby w słoiki z dżemami, gdyby nie zatrzymała się gwałtownie, bo jakiś chłopak w czarnej szerokiej bluzie przeciął mi kadr. Zerknął spode łba w moją stronę i od razu ruszył dalej szybkim krokiem, jakby nie chciał nam przeszkadzać.

– I tak musimy powtórzyć! – zawołała Hanna, zarumieniona od śmiechu.

Po kilku próbach udało nam się w końcu nagrać satysfakcjonujący ją filmik i mogłyśmy ruszyć na dział alkoholi. Kostek i Robin już tam stali, dyskutując o drinkach na bazie whisky. Ostatecznie wybraliśmy kilkanaście butelek różnych trunków od rumu po gin. Kiedy pomyślałam o kwocie, jaką będziemy musieli zaraz wydać, zakręciło mi się w głowie.

Są wakacje, powtórzyłam sobie i znów ta myśl przyćmiła chwilowo poczucie winy. W takich momentach zawsze myślałam, co powiedziałaaby mama. Nigdy niczego mi nie zabraniała, bo była zwolenniczką uczenia się na własnych błędach.

Nagle wróciło do mnie wspomnienie z grilla u znajomych moich rodziców. Miałam osiem lat i sięgnęłam bez pytania po puszkę piwa. „Dziecko, zostaw to!” – zawołał ojciec z drugiego końca ogrodu, zawsze czujny i taksujący każdy mój ruch. „Daj spokój – zachichotała mama. Miała dwa kucyki i wyglądała na dużo młodszą, niż była w rzeczywistości. Jej sukienka w prążki (lubiłam chodzić w niej po mieszkaniu, udając mamę) pachniała dymem, kiedy przybliżyła się do mojej głowy. – Masz, spróbuj”. Nie mogłam uwierzyć, że pozwala mi skosztować napoju dla dorosłych. Przyłożyłam puszkę do ust, jednak kiedy te wypełniły się gorzkim płynem, wyplułam wszystko na trawę. „Ohyda!” – wrzasnęłam, przebiegając nogami. Swoją reakcją wywołałam salwę śmiechu u znajomych. Ojciec pokręcił głową z dezaprobatą, zaś mama, szczerząc zęby, odebrała mi piwo. „Sama widzisz, że to żadna przyjemność”, powiedziała, pociągając łyk zaraz po mnie.

Podobnie było z papierosami. Moi rodzice nie palili, ale mama powtarzała niejednokrotnie, że jeśli będę ciekawa, powinnam spróbować i przekonać się na własnej skórze, jak bardzo jest to obrzydliwe. „Konsekwencje palenia masz czarno na białym na każdej paczce. – Wzruszała ramionami. – Po osiemnastce sama zdecydujesz, czy chcesz się truć”.

Ojciec nie znosił jej podejścia, mimo to kiedy odeszła, a ja skończyłam osiemnastkę, sam próbował je powiełać. Ostatnimi czasy nie karmił mnie za nic, próbował być otwarty jak mama; wiedziałam jednak, że to tylko pozory.

Gdy staliśmy przy kasie, a po ruchomej taśmie turlały się butelki alkoholu, myślałam o jej słowach. Wiedziałam, że teraz, kiedy jestem pełnoletnia, świeżo po maturze i jadę z przyjaciółmi na pierwsze prawdziwe wakacje, powiedziałyby mi do ucha: „korzystaj z młodości”. Znała umiar i żyła zdrowo, ale na wyjazdach potrafiła pić drinki z palemką od rana i tańczyć nad hotelowym basenem z jointem w dłoni. Powiedziała kiedyś ojcu, że jej matka zachorowała niezależnie od stylu życia, ot, genetyczny potwór, który przechodził na kolejnych członków rodziny od pokoleń i najprawdopodobniej czyhał także w jej ciele, czekając na odpowiedni moment.

U niej nie zdążył się rozwinąć.

U mnie jeszcze mógł.

– Dowód. – Gdy Robin wyciągnął do mnie rękę, ocknęłam się, znów czując, że odpłynęłam w zbyt mroczne, zniechęcone rejony.

Wyrzebałam z portfela dokument i podałam mu, a on pokazał kasjerce. Ta, znudzona, skinęła głową i wróciła do kasowania produktów.

Jak, do cholery, miałam przestać myśleć o śmierci i chorobach, skoro dopadało mnie to nawet przy najzwyczajniejszych sytuacjach, takich, które powinny cieszyć?

– Hej, wszystko dobrze? – Poczułam na ramieniu znajomą dłoń Kostka. Odruchowo przytaknęłam, uśmiechając się blado. – Niedługo odpoczniesz, a potem będziesz się tylko nieźle bawić.

Nie było nic niezwykłego w tym kurtuazyjnym stwierdzeniu, a jednak znów zalała mnie fala ulgi. Co za emocjonalny rollercoaster! Dopiero teraz dostrzegłam, jak bardzo potrzebuję zapewnień od innych, choćby miały być największymi truizmami.

Naprawdę potrzebuję pomocy, przemknęło mi nagle przez głowę, ale natychmiast odpędziłam tę myśl. Zaczęłam stukać palcami w taśmę do rytmu starej piosenki Kate Bush sączącej się z marketowych głośników.

W tamtej chwili niczego nie pragnęłam bardziej, niż po prostu nieźle się bawić.

Brnęliśmy przez gęste zarośla już tak długo, że nogi zaczynały odmawiać mi posłuszeństwa. Mięśnie ramion paliły żywym ogniem, pot lał się ze mnie strumieniami. Czułam, że cuchnę, ale chyba wszyscy cuchnęliśmy.

Kostek szedł pierwszy, z wielkim plecakiem na plecach. Wyglądał jak przewodnik górski. Był opanowany i pewny celu, mimo że nie mieliśmy przy sobie żadnej nawigacji. Wciągał powietrze przez nozdrza, a wypuszczał ustami, tak jak należy, wydając z siebie głośne, miarowe wydechy. Obie dłonie miał zajęte płóciennymi torbami z logo supermarketu. Butelki stukały w nich o siebie, jakby lada moment miały się potłuc.

Robin podążał za nim, a jego umięśnione plecy stanowiły mój punkt zaczepienia. Chwilę wcześniej zdjął zupełnie mokry podkoszulek, zwinął go w kulkę i wcisnął do pokaznej torby. Patrzyłam, jak jego wysportowane ciało pracuje, próbując jednocześnie skupić się na oddychaniu.

Wenus i Hanna sapaly najgłośniej. Co chwilę docierały do moich uszu ich przeciągłe jęki przeplatane serią soczystych przekleństw.

– Zajebisty Domek z Drewna i Szkła – mruknęła Wenus, targając swoją walizkę pod stromą górę. Kiedy wcześniej Robin chciał ją wyręczyć, zbyła go opryskliwie, twierdząc, że sama potrafi zadbać o własny bagaż. Jak na razie konsekwentnie zaprzeczała własnym słowom. Nie widziałam jej twarzy, bo dziewczyny szły za mną, ale słyszałam, jak pociąga nosem, co jakiś czas spluwając w krzaki. – Pierdoleć takie wakacje.

Chciałam, żeby już przestała, jednak wyłącznie dlatego, że niewiele brakowało, żebym sama dołączyła do tych wyzwisk. Kryzys był już bardzo blisko.

– Daleko jeszcze? – spytał Robin, przystając na chwilę i ocierając pot z czoła. Twarz miał zupełnie czerwoną, ale i tak dobrze sobie radził. Lata treningów zrobiły swoje, z pewnością miał najlepszą kondycję z nas wszystkich.

– Nie pamiętam dokładnie – wysapał Kostek, oblizując wargi. – Ale wydaje mi się, że za tym wykręconym konarem jest ścieżka, która prowadzi prosto do

domku. Tam nie będzie już tak stromo.

– Kto idzie po rzeczy w drugiej turze? – Wiedziałam, że to pytanie nie podniesie niczyjego morale, ale marzyłam, żeby ktokolwiek się zadeklarował.

– Odpocznijmy trochę, a potem pójdziemy z Robinem – rzucił Kostek.

Miałam ochotę go wyściskać.

– Dostaniecie za to takie drinki, że nie pożałujecie! – krzyknęła Hanna zza naszych pleców. – Robię pyszną margaritę.

– Ja już mówiłam, że robię mojito – wydyszałam.

– Uwielbiam margaritę. – Kostek odwrócił się do nas na krótki moment.

Zastanawiałam się, czy nie usłyszał tego, co powiedziałam, czy może zranił mnie celowo, puściłam to jednak mimo uszu.

Przezwyliśmy kryzys, góra przed nami rzeczywiście złagodniała. Całe runo leśne pokrywały teraz paprocie, a gdzieś tam można było dostrzec fioletowe główki storczyków. Pomału zakochiwałam się w tym miejscu i kiedy kilkadziesiąt metrów dalej dostrzegłam w oddali drewnianą ścianę domu, ukrytą między drzewami, z zaskoczenia aż przystanęłam. Była jak dopełnienie rodzącego się we mnie uczucia.

– Jest! – krzyknął Kostek z nieskrywaną radością.

Teraz już wszyscy się zatrzymali. Nasze przyspieszone oddechy ginęły w bijącej z lasu ciszy wypełnionej jedynie szelestem liści w koronach drzew.

– Dobra, dopiero teraz czuję powagę sytuacji – powiedział Robin, głęboko nabierając powietrza.

– Nogi mam jak z waty, nie wiem, czy ze strachu, czy od tej pieprzonej góry. – Hanna poprawiła opadające na twarz włosy. Ich kolor przypominał leśną roślinność, a nie szczypiorek, jak wcześniej żartowałam; niemal zlewał się z krajobrazem.

– Błagam, chodźmy tam już i miejmy to za sobą – jęknęła Wenus, której policzki przybrały niepokojąco siny odcień.

– Chcesz wody? – spytałam.

– Chcę jak najszybciej wziąć prysznic.

– Idziemy – zarządził Kostek i ruszyliśmy gęsiego wąską ścieżką prowadzącą prosto do Domku z Drewna i Szkła.

Łatwo było wyczuć narastającą między nami elektryzującą atmosferę: mieszaninę napięcia, oczekiwania i frustracji (także tej najbardziej prymitywnej, wywołanej głodem i wycieńczeniem). Prosty grunt łaskawie złagodził ból moich nóg. Pod sportowymi butami chrzęściły drobne patyczki i kamienie.

Byliśmy coraz bliżej. Miałam wrażenie, że Kostek przedstawił nam Domek z Drewna i Szkła w tak idyllicznym świetle, że spodziewaliśmy się zobaczyć budynek zapierający dech w piersi – majestatyczny niczym gotycka katedra, a jednocześnie uroczy jak amerykański domek nad rozlewiskiem.

I wreszcie naszym oczom ukazała się boczna ściana budynku. Był drewniany, ale nie taki, jaki zazwyczaj spotyka się wysoko w górach (prażony i wyrwany z pocztówki, z grubymi poziomymi belami). Tutaj drewno było surowe, nowoczesne, tworzące szereg pionowych ciemnych pasów. Mimo że wyglądał nienagannie – i z pewnością był drogi – z boku wydawał się raczej zwyczajny.

– Przejdźmy na przód – wyszeptał Kostek, zakładając skręcony kosmyk włosów za ucho. Był podniecony jak chłopiec bawiący się w podchody. Wciąż prowadził i co chwilę zerkał na nas z wyczekiwaniem, jakbyśmy ustalali jakieś ważne strategiczne kroki.

Szliśmy wciąż osłaniany przez wysoką ścianę. Zaraz mieliśmy wychylić się zza rogu bez najmniejszego pojęcia co na nas czeka – zarówno przed domem, jak i w jego wnętrzu.

Właściwie mogło stać się wszystko.

Mogliśmy pocałować klamkę i zawrócić do samochodów z naszymi bagażami, wściekli i jeszcze bardziej zmęczeni. Mogliśmy zostać, żeby spędzić noc pod gołym niebem, do rana pijąc wino i zastanawiając się, czemu Domek z Drewna i Szkła stoi pusty. Mogliśmy się do niego włamać, wybijając kamieniem szybę, i imprezować w nim przez trzy następne miesiące jak przestępcy. Mogliśmy napatoczyć się na grupkę bezdomnych lub wędrowców, którzy także włamali się do domku podczas górskiej wycieczki i postanowili

w nim zamieszkać. Wreszcie w którymś z pomieszczeń mogliśmy znaleźć ciało Adama w stanie silnego rozkładu, a potem tłumaczyć się policji z szeregu kłamstw, którymi karmiliśmy swoich bliskich przez ostatnie tygodnie. Nie mogłam zdecydować, która z tych wizji przeraża mnie najbardziej.

Dopiero teraz dotarło to do mnie w pełni – uwierzyliśmy Kostkowi na słowo. Spakowaliśmy walizki i torby na trzy miesiące bez żadnych dodatkowych pytań. Okłamaliśmy rodziców; każde sprzedało swoim ojcom czy matkom historyjkę o bracie Kostka, który serdecznie zaprosił całą naszą grupkę do domku letniskowego. Tak, nie może się doczekać, aż przyjedziemy, mówiłam ojcu, wymyślając coraz to bardziej szczegółowe opisy miejsca, do którego miałam się udać. Najtrudniejsze okazało się nastawienie go pozytywnie na to, że nie będę miała zasięgu. Ostatecznie umówiliśmy się, że będę dzwonić dwa razy w tygodniu – we wtorki i piątki – z polany zapewniającej całe dwie kreski sieci komórkowej. W razie gdyby to on nagle czegoś potrzebował, cóż – byłam dla niego niedostępna, ale przecież miał Tamarę.

Znaleźliśmy się w ogrodzie przed domem, na wprost frontu. Zaczęłam rozumieć, o czym mówił Kostek – z przodu Domek z Drewna i Szkła robił dużo lepsze wrażenie. Miał oszkloną werandę, a za wielką ścianą czaił się salon. Ledwo dostrzegłam rzędy książek na regałach ciągnących się aż do sufitu; słońce odbijało się od szyby i oślepiło mnie. Serce zabiło mi szybciej na myśl, że spędzę w tym miejscu trzy miesiące. Oczami wyobraźni widziałam już, jak każdego poranka schodzę do domowej biblioteczki, wybieram jakąś sfatygowaną powieść, a później czytam ją w ogródku przy akompaniamencie szumu tańczącego lasu.

– Wow – powiedziała Wenus, taksując wzrokiem Domek z Drewna i Szkła, od drzwi wejściowych aż po poddasze.

– Rzeczywiście wygląda jak z katalogów mojej matki. – Hanna położyła na ziemi torby wypełnione zupkami chińskimi, oparła dłonie o biodra i zmarszczyła brwi. – Musiał kosztować fortunę.

– I kosztował. – Kostek wysunął koniuszek języka, wyraźnie zadowolony z naszej reakcji. Niespodziewanie uderzył Robina w nagie plecy, aż rozległ się

głośny plask. – Jak, stary? Podoba ci się?

– Ja już myślę o tej wannie z hydromasażem. – Robin pokręcił głową i pokazał rząd równych bielusiękich zębów. Potem zerknął na Wenus. – To co, ty przysznic, a ja wanna?

– Spieprzaj. – Skrzywiła się, wciąż próbując wyrównać oddech. Na jej dekolcie wykwitły wielkie malinowe plamy z wysiłku i gorąca. – Ja pierwsza muszę iść się umyć.

– Dla mnie nie ma zna... – zaczął Robin.

– Ej, ty! – wrzasnęła Hanna tak gwałtownie, że aż wszyscy się poderwaliśmy. Coś zaszeleściło w krzakach niedaleko domku, po lewej stronie. – Widzieliście? – Patrzyła na nas szeroko otwartymi oczami.

Wszyscy zamarliśmy w bezruchu. Nasłuchiwaliśmy przez chwilę, ale nie było słyhać nic oprócz naszych tłumionych oddechów i szelestu roślin.

– To chyba było jakieś zwierzę – powiedziałam cicho, czując, jak serce wali mi w piersi.

– Też tak myślę. – Kosek pokiwał głową, wciąż gapiąc się w ścianę lasu. – Czytałem, że jest tu sporo lisów, a czasem nawet zdarzają się wilki.

– Zajebicie – jęknęła Wenus. – Szkoda, że nie wspomniałeś o tym wcześniej.

– Mam gaz pieprzowy – rzuciła szeptem Hanna, zerkając na nią pocieszająco. – A nawet dwa, bo jeden jest po terminie. Ale na wilka z pewnością zadziała. Zresztą dam ci ten nowszy.

– Dzięki.

Robin podrapał się po ramieniu. Na jego skórze pozostał wyraźny czerwony ślad.

– Nie polecałbym używania gazu w lesie. – Skrzywił się. – Kiedyś testowałem taki na łące i wszystko dmuchnęło mi prosto w twarz.

– Ale wiesz, że to zależy od natężenia i kierunku wiatru, a nie miejsca? – Wenus spojrzała na niego z pogardą.

– No tak – odburknął bez przekonania. – Właśnie o tym mówię.

– Dobra, słuchajcie, chciałbym już się rozejrzeć – powiedział Kostek, któremu najwyraźniej kończyła się cierpliwość. – Wszyscy jesteśmy zmęczeni, a Adama może niepokoić grupa ludzi kręcąca się po jego posesji.

– Posesji – zaakcentowała z przesadą Wenus, unosząc brwi. – Dobrze, że nie jesteście w USA, bo moglibyśmy zarobić kulkę.

Kostek spojrział na nią z dezaprobatą i ponownie ruszył przodem, zostawiając torby i resztę bagaży w trawie.

Po chwili stanął przed drzwiami prowadzącymi na szklaną werandę. Tkwił w bezruchu przez kilkanaście sekund, jakby na coś czekał, aż wreszcie nacisnął okrągły włącznik umiejscowiony między drewnianymi panelami.

Wszyscy usłyszeliśmy znajomy, dość standardowy brzęczyk wewnątrz domu, stłumiony przez zewnętrzne ściany.

Przydługie *trrrrrrrr*.

Odpowiedziała nam głucha cisza, ciągnąca się jak karmel.

Dopiero teraz zauważyłam, że las dookoła jest mieszany i żadne drzewo nie przypomina drugiego; wysoko w koronach igły i liście niemal płątały się ze sobą. Na jednej z gałęzi dzięcioł zaczął stukać w korę, odłupując drzazgi. Gorące powietrze stało w miejscu, nie dopuszczając do nas nawet minimalnego powiewu niosącego chwilowe ukojenie. Podniosłam głowę z nadzieją, że zobaczę chociaż jedną chmurę, która mogłaby zwiastować deszcz.

Niebo było błękitne jak nigdy przedtem, bez najmniejszej cukrowej plamki.

– Mówiłem, że go nie ma – mruknął Robin. – To wydawało się zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

– Proszę, zamknij się – jęknęła Wenus, przyciskając palce do skroni. Niemal czułam, jak pulsują, widziałam nabrzmiałą żyłę na jej mokrym czole. Ciemnobrązowe kosmyki lepiły się do niego, tworząc poskręcane wzory. – Kostek! Błagam, zróbmy cokolwiek, żeby się ochłodzić.

Trrrrrrrrrrrrr.

– Nie otwiera – oznajmił Kostek, jakby zupełnie się tego nie spodziewał. Zajrzał przez szklaną ścianę do wnętrza salonu, osłaniając oczy daszkiem

Wnętrze było eklektycznie urządzone i przede wszystkim chłodne. W niektórych miejscach nawet zimne, jakby klimatyzacja skłębiła się na danej przestrzeni i nie mogła popłynąć dalej, zastygła w jakiejś bezkształtnej formie. Gdy byłam młodsza, wierzyłam, że takie nagłe i gwałtowne obniżenie temperatury świadczy o obecności duchów. Właściwie kiedy przestałam w to wierzyć?

Odłożyłam torby z jedzeniem na panele w salonie i potarłam rękami zmarznięte ramiona. Wenus zaczęła szczekać zębami, za to przestała najprawdopodobniej marzyć o orzeźwiający prysznicu.

Aura pustego obcego domu odebrała nam wszystkim mowę, milczeliśmy więc, niemal przytuleni do siebie. Kroczyliśmy powoli, jakby w każdej chwili podłoga mogła się pod nami zapaść.

Poczułam się jak w muzeum.

Nie było żadnego holu czy przedpokoju. Z oszklonej werandy wchodziło się prosto do dużego salonu połączonego z aneksem kuchennym. Granicę między jednym a drugim stanowiła nowoczesna wyspa, która wyglądała na niedawno użytkowaną. Na blacie z lastryko dostrzegłam cieniutką warstwę mąki, gdzieniegdzie niedbale przetartą, a na skraju, wystając nieco poza mebel, leżał obklejony zasuszonym ciastem wałek.

Kuchnia nie była może utrzymana w perfekcyjnym porządku, ale z pewnością nie panował tu bałagan. Przynajmniej na wierzchu nie poniewierało się żadne zepsute jedzenie, a w powietrzu nie latała chmara much (a przyznam, że byłam pewna, że to właśnie zobaczymy tuż po przekroczeniu progu domu). Pod wiszącymi lśniąco szafkami na kolejnych blatach o tym samym granitowym odcieniu co wyspa (kolor mebli w połączeniu z lastryko kojarzył mi się wyłącznie z cementarzem; ani wtedy, ani później nie potrafiłam odgonić od siebie tej myśli: że kuchnia wygląda jak wystawa nagrobków w firmie kamieniarskiej) leżały kartony i opakowania po płatkach śniadaniowych oraz kawie, a także deska do krojenia, pełna okruszków przypominających kruszonkę z chałki.

Zerknęłam na Kostka, który rozglądał się dookoła zupełnie tak jak my. Jakby nigdy wcześniej tu nie był.

– Padliny nie czuję – przerwała ciszę Hanna, ale nikt jej nie odpowiedział.

Jedynym dźwiękiem, który docierał do naszych uszu, był szum klimatyzatora gdzieś w głębi pomieszczeń.

Salon przeszedł moje najsmielsze oczekiwania. Wcześniej, jeszcze zanim zobaczyłam przez szybę wysokie regały wypchane po brzegi książkami, spodziewałam się w całym domu skandynawskiego, surowego stylu. Byłam przekonana, że będzie minimalistycznie, betonowo i lśniąco biało, z nielicznymi elementami drewna. Tymczasem to pomieszczenie zawierało w sobie wszystko to, o czym się mówi, że „ma duszę”, stanowiąc zupełne przeciwieństwo nowoczesnej kuchni.

Na panelach imitujących stary parkiet w jodełkę rozpostarty był wielki dywan w perskie wzory. Sprawiał wrażenie mocno wytartego, a frędzle na brzegach splątały się w supły. Całą jedną ścianę zastawiały regały w kolorze mlecznej czekolady – wszystkie, co do jednego, zapełnione. Książki nie zmieściły się na półkach, część leżała na stoliku kawowym, kolejne tworzyły niedbałe stosy porozstawiane po pokoju w przypadkowych miejscach. Stolik kawowy był szklany z drewnianą półką pod blatem, na której roilo się od kartek wszelkiej maści, niektórych zapisanych drobnym pismem. Nachyliłam się, by przeczytać chociaż fragment, ale jedyne, co byłam w stanie rozszyfrować, to: „Śmierć jest tym, co przez całe życie masz na końcu języka”.

Zmarszczyłam brwi, jednocześnie otwierając usta, żeby pokazać ten wers reszcie, ale ubiegł mnie Kostek.

– Adam! – zawołał, zadzierając głowę, stojąc u podnóża spiralnych czarnych schodów. – Wejść na górę, może śpi.

Dostrzegłam w nim jakąś niepewność. Ciężko było mu się dziwić – w jego doskonałym planie gwałtownie zaczęły pruć się nitki, tworząc dziury, których nikt z nas nie potrafił załatać. Czuliśmy się jak na szkolnej wycieczce, pozostawieni sami sobie, nieznaną godzinę i miejsca zbiórki.

Przysiadłam na brzegu ogromnego skózanego narożnika i uznałam, że chwilę poczytam, skoro i tak mamy beczynn timer czekać. Wyciągnęłam ze

swojego bagażu sfatygowane *Lśnienie* Kinga. Hanna klapnęła obok, a Wenus położyła się na dywanie. Robin podszedł do nieczynnego kominka i zaczął się bawić pogrzebaczem. Otwierał nim i zamykał ciężkie drzwiczki, które wydawały przy tym nieznośne jęki.

– Możesz przestać? – Wenus miała dość, widziałam to po jej minie. Głos przybrał niepokojąco dramatyczny ton. Wyglądała, jakby była na skraj rozpacz i wściekłości jednocześnie.

Robin chyba też o tym wiedział, bo tym razem nie droczył się z nią ani nie klócił. Odłożył pogrzebacz na miejsce i oparł plecy o ścianę. Jego naga, pozbawiona owłosienia klatka piersiowa wznosiła się i opadała.

Zaczęłam odczuwać coraz większe znużenie. Nie zdawałam sobie sprawy, że przesuвам wzrokiem ciągle po tym samym zdaniu. Odłożyłam książkę na stolik i opadłam powoli na zagłówek narożnika, nawet nie próbując utrzymać w górze powiek; te raz po raz zamykały się same. Przed oczami tańczyły mi pomarańczowe, pulsujące plamki, powidoki słońca, które odbijało się w szklanej ścianie domu, gdy chwilę wcześniej gapiłam się na salon.

Nie usiłując walczyć z ogarniającą mnie sennością, przyłożyłam głowę do ramienia Hanny. Było wilgotne od potu, a jednocześnie zimne od klimatyzacji. Jej skóra intensywnie pachniała kokosowym olejkiem do opalania.

Ocknęłam się, kiedy Kostek z impetem wrócił do salonu.

– U góry też pusto! – powiedział donośnym głosem, jakby chciał nas otrzeźwić.

Wyrwał mnie ze stanu zawieszenia między pojawiającymi się pierwszymi abstrakcyjnymi obrazami a coraz mniej licznymi próbami utrzymania zamkniętych ust. Czulałam w ich kąciku świeżą strużkę śliny. Szybko ją wytarłam, odrobina jednak zdążyła się odcisnąć na ramieniu Hanny. Ona też rozwarła powieki, ledwo przytomna.

– Mhm... – wymamrotała, po czym mlasnęła, jakby chciało jej się pić.

– Są tam jakieś jego rzeczy? – zapytał Robin.

– Tak – odparł Kostek. – Może pojechał do miasta po zakupy.

– Mówiłeś, że nie ma samochodu.

– Ani prawka – dodałam, ziewając.

Kostek rozłożył ręce.

– Nie wiem. Może już ma.

Podszedł do szklanej ściany wychodzącej na ogród i pewnym ruchem odsunął ją na bok.

– To są drzwi? – Wenus, unosząc się na łokciach, wybałuszyła oczy.

– Jak widać – mruknął Robin.

Kostek stał teraz jedną nogą w salonie, a drugą w ogrodzie. Tuż za nim, po prawej stronie, tkwiła kolejna szklana ściana, stanowiąca bok werandy.

– Proponuję po prostu rozpakować to, co mamy. – Zaciągnął się papierosem z wymalowaną na twarzy mieszaniną ulgi i rozdrażnienia. Nie palił od postoju w McDonalddie. – Na górze są trzy sypialnie, możemy wybierać. Adam sypia chyba w każdej po trochu, bo jego rzeczy walają się dosłownie wszędzie.

– Jesteś pewny, że to jego rzeczy? – Hanna wstała, zostawiając na skórzanej kanapie mokry ślad po pośladowkach. Podeszła do Kostka, po drodze wyciągając swoje papierosy, i bez pytania wsunęła dłoń w przednią kieszeń jego szortów. Wygrzebała zapalniczkę, użyła jej, a potem schowała z powrotem. Oparła się o drugą stronę futryny.

On nawet nie drgnął.

– Tak, niektóre poznaję. Widziałem też portfel, są w nim dokumenty.

– I myślisz, że nie zabrałby go ze sobą? – drążyła.

– Skąd mam to, kurwa, wiedzieć? – Oczy Kostka pociemniały, kiedy spojrzął na Hannę i wściekle wydmuchał dym niemal prosto w jej twarz. – Obrzucacie mnie gradem pytań, a ja jestem tak samo zmęczony i tak samo zdezorientowany jak wy.

– Spokojnie – odparła Hanna bez cienia skruchy. Zaciągnęła się kilka razy w ciszy. – Może wstrzymajmy się z tymi obiecanyimi drineczkami. Najpierw się umyjmy, zdrzemnijmy godzinę czy dwie, a potem pomyślimy co dalej. Dobra?

Kostek wzruszył ramionami i wcisnął peta do stojącej na ogrodowym stole szklanki.

– Róbcie, co chcecie.

– Ej, ej! – Wenus podniosła się z dywanu. – Tylko bez takich. Okej, jesteście wkurzony, ale to ty nas tu przywiozłeś, więc daruj sobie teksty, że mamy robić, co chcemy, w cudzym pustym domu. Ktoś musi wziąć za to wszystko odpowiedzialność i przykro mi, ale akurat w tym wypadku nie wyobrażam sobie, żeby był to ktokolwiek inny niż ty.

Oddech Kostka stał się głośny. Widziałam, jak przetyka ślinę. Myśli z pewnością kotłowały mu się pod czaszką, przez chwilę byłam niemal pewna, że wybuchnie, że powie coś, czego będzie później żałował. Nagle jednak jego twarz nieco złagodniała.

– Dobrze – oświadczył w końcu i sięgnął po plecak. Poczzerwieniał z wysiłku, zarzucając go ponownie na plecy. – Najpierw chodźmy się rozpakować.

Z ociąganiem zebraliśmy rzeczy i ruszyliśmy za nim na górę. Schody były spiralne i dość strome; od razu zaczęłam się zastanawiać, jak będziemy z nich korzystać po pijaku.

Sypialnie na górze były minimalistyczne, ale przytulne. Znajdowaliśmy się na poddaszu, więc duchota oklejała nasze nozdrza i płuca mimo szumiącego na parterze klimatyzatora. W każdym pokoju na podłodze leżał materac pełniący funkcję łóżka, było też kilka roślin doniczkowych, małe drewniane biurko z krzesłem oraz szafa.

Jeden pokój miał własną łazienkę.

– Czy to...

– Tak, tu jest ta wanna z hydromasażem. – Kostek wreszcie się uśmiechnął i pchnął białe drzwi.

Zajrzeliśmy jedno przez drugiego, ściskając się w wąskim przejściu.

– O kurwa! – Robin od razu wskoczył do narożnej wanny i wyciągnął przed siebie długie, wysportowane nogi. – Nie no, klasa. Ja tutaj śpię.

– Ej, no właśnie, kto będzie spał w tej sypialni? – zapytała Wenus, wskazując na przylegający pokój. – Czy na dole jest w ogóle druga łazienka?

– Chyba tylko toaleta. – Kostek się skrzywił. – Z tego, co pamiętam.

– Trochę nieprzemyślane. – Hanna, poprawiając zielone kosmyki przed lustrem nad umywalką, zmarszczyła brwi. – Będziemy po kolei włączyć komuś do pokoju, żeby się umyć, super.

– Czy tu w ogóle są pojedyncze łóżka? – Zawróciłam do sypialni, w której pod skośnym sufitem leżał duży materac, z pewnością przeznaczony dla więcej niż jednej osoby. Potem zajrzałam po kolei do dwóch następnych pokoi. – Wszystkie są podwójne!

Szybko policzyłam nas w głowie. Przy odrobinie perswazji mogłabym zdobyć pokój tylko dla siebie. Robin zapewne będzie spał z Kostkiem, Wenus może zgodzi się cisnąć z Hanną (w przeciwieństwie do mnie obie uwielbiały się przytulać do kogoś przez sen). Mój plan był prosty i w sumie wykonalny. Przynajmniej dopóki nie wróci Adam.

Poczułam ucisk w brzuchu, bo żadna inna konfiguracja nie wydawała się szczególnie dobra.

– To my zaklepujemy ten z wanną! – wrzasnął Robin; jego głos rezonował w wyłożonej portugalskimi płytkami łazience.

Kiedy wróciłam, Kostek leżał już na materacu. Za chwilę Robin dołączył do niego, zerkając na Wenus.

– Na pewno nie chcesz spać tutaj ze mną? – Wyszczерzył się.

– Nie, dzięki. – Wykrzywiła twarz w przerysowanym grymasie. – Już wolałabym spać na werandzie.

Wyszliśmy, a ona spojrzała na mnie błagalnie. Z jej oczu wyczytałam, że chciałaby mieszkać ze mną.

– Ale nie będziesz na mnie włączyć przez sen? – spytałam cicho, robiąc zrozpaczoną minę.

Pokręciła głową tak gwałtownie, aż burza jej loków podskoczyła.

Westchnęłam teatralnie, co chyba uznała za definitywną zgodę, bo rzuciła mi się na szyję. Moja asertywność kulą, ale cieszyłam się, że Wenus czuje się

lepiej.

Hanna wciąż stała u chłopaków, wlepiając wzrok w telefon.

– A ty co, szukasz wi-fi? – spytał Kostek.

– Szczerze mówiąc, miałam nadzieję, że ten twój Adam poszedł po rozum do głowy i jednak ogarnął jakiś internet – mruknęła, przesuważąc długim paznokciem po ekranie. – Ale tu naprawdę nie ma nic. Jak w tych horrorach. Zginiemy, to pewne.

Uśmiechnęła się, chociaż widziałam w jej oczach ten sam głęboko osadzony niepokój, z którego zwierzyła mi się w samochodzie. Wcześniej o tym nie myślałam, ale Hannie musiało być zdecydowanie najtrudniej odciąć się od social mediów. Te wszystkie platformy to było całe jej życie.

Nagle poczułam, że powinnam być dla niej miłsza, sprawić, żeby czuła się bezpiecznie.

– A może spróbujemy zmieścić się we trzy w jednej sypialni? – zaproponowałam, wiedząc, że pożałuję tego już pierwszej dusznej nocy.


Hanna pokiwała głową z entuzjazmem, a Wenus uniosła tylko kącik ust, jakby czytała mi w myślach.

Zaczęliśmy się wszyscy krzątać, zapelniać pokoje swoimi drobiazgami. Podczas gdy my, jedna po drugiej, brałyśmy szybki prysznic, Robin z Kostkiem poszli do samochodów po resztę bagaży. Wrócili skrajnie wyczerpani, więc kazaliśmy im jak najszybciej się położyć.

Same ostatnie resztki sił włożyliśmy w wypakowanie produktów spożywczych i wepchnięcie niektórych z nich do wysokiej lodówki. Poza naszymi rzeczami jej wnętrze było niemal zupełnie puste. Na półce stał tylko słoik przecieru pomidorowego.

Opróżniłyśmy torby w milczeniu, po czym niczym lunatyczki wróciliśmy do naszej sypialni.



 budził mnie przeszywający skurcz.

Leżałam na brzegu materaca, z nogami niemal na podłodze, bo całą pozostałą powierzchnię zajmowały dziewczyny, rozłożone na pościeli niczym rozgwiazdy.

Syknęłam z bólu, przyciskając rękę do podbrzusza. Przez okno w ukośnym dachu mogłam zobaczyć różowe plamy nieba. Światło zachodzącego słońca wlewające się do pokoju wydawało się wręcz nienaturalne; jakbym wciąż pozostawała w krainie snu.

Nie pamiętałam, czy coś mi się śniło. Upał przykleił się do mnie jak kurz i odebrał jasność umysłu.

Wsunęłam palce między uda i poczułam ciepłą wilgoć. Całe opuszki były we krwi. Przymknęłam oczy, zamroczona kolejną falą bólu, i jęknęłam cicho. Nie byłam na to przygotowana, ale najwyraźniej przez upały mój cykl żył własnym życiem. Teoretycznie powinnam dostać okresu dopiero za dwa tygodnie.

Tuż obok na podłodze leżała moja torebka. Wygrzebałam z niej chusteczki i tampon. Wstałam i zabezpieczyłam się pospiesznie. Na szczęście nie pobrudziłam prześcieradła. Chwiejnym krokiem ruszyłam do małego holu na piętrze, z którego można było wejść do innych sypialni.

Tutaj światło było jeszcze bardziej odrealnione. Dwa niskie fotele i monstere w donicy załała brzoskwiniowa poświata. Mimo rozpierającego mnie bólu uznałam, że to niesamowite obudzić się w samym środku złotej godziny, podczas kiedy cały dom śpi.

Już miałam wejść do pokoju chłopaków, żeby stamtąd dostać się do łazienki, kiedy przypomniałam sobie o toalecie na dole. Wolałam doprowadzić się do porządku bezstresowo i w samotności.

Kiedy stawiałam stopy na pierwszych rozgrzanych stopniach, zauważyłam, że w Domku z Drewna i Szkła jest nienaturalnie cicho.

Coś się zmieniło.

Mimo otwartych okien cisza wypełniała moje uszy jak wata. Czegoś ubyło, jakby realizator dźwięku wyłączył jedną ze ścieżek będących tłem filmu. Taką, która nie wydawała się istotna, a jednak gdy jej zabrakło, wszystko stało się dziwne.

Może jednak wcale się nie obudziłam?

Co to za dźwięk, który tak nagle umilkł?

– Klimatyzacja się zepsuła.

Byłam już prawie u podnóża schodów, kiedy usłyszałam nieznamy głos. Z przerażenia niemal spadłam z ostatnich stopni. Zaciśnęłam dłonie na poręczy w ostatniej chwili, tak mocno, że aż zbieleły mi knykcie.

W głowie miałam dziwną pustkę.

Przy stoliku kawowym, na narożniku – tym samym, na którym wcześniej przysnęłyśmy z Hanną – z wyciągniętymi przed siebie nogami i stopami opartymi o szklany blat siedział zupełnie obcy chłopak. Nie widziałam jego twarzy, ta była zwrócona w stronę ogrodu, ale odnotowałam czuprynę w kolorze mlecznej czekolady. Zachodzące słońce malowało na niej ciepłe refleksy. Sterczące na wszystkie strony włosy ewidentnie potrzebowały fryzjera, jednak miało to swój urok. Rzucała się w oczy ich różna długość, jakby wcześniej sam próbował ostrzyć się przed lustrem. Był szczupły, ale nie tak kościsty jak ja; nawet z tej odległości mogłam dostrzec jego cienkie nadgarstki i sieć wypukłych żył na dłoniach. Tak błękitnych, że przypominały mapę rzek.

Musiałam zastygnąć jak posąg, bo cisza się przedłużała. Chłopak trzymał książkę w sposób, który coś mi przypominał – dzierzył ją niczym insygnium w wyciągniętej przed siebie ręce, zupełnie wyprostowanej, zginając przy tym grzbiet okładki (ten musiał zostać złamany, skoro dało się ją tak ułożyć). W drugiej dłoni miał papierosa. Przytrzymał go z gracją między palcem wskazującym i środkowym.

Gdyby wcześniej nie odezwał się głosem, który z pewnością nie należał do mojego przyjaciela, byłabym przekonana, że widzę Kostka z nieco wyprostowanymi lokami.

– Adam? – To jedno słowo wydobyło się z moich ust samo, jakbym tuż po wgrzyzieniu się w miąższ wypuła pestkę czereśni. A potem poturlało się w stronę salonu, aż sylwetka chłopaka drgnęła.

Włożył papierosa do ust i odwrócił głowę tak, że mogłam zobaczyć jego twarz. Nasze spojrzenia się spotkały, a ja zapomniałam o oddychaniu.

Nie wiem, co mnie w nim tak uderzyło. Może było to podobieństwo do Kostka w drobnych gestach, a może rodzaj spojrzenia, którego nie umiem określić innym słowem niż „senne”. Chmurne tęczęwki jak dwa jeziora, lekko zmrużone, opadające powieki, jakby stale przysypiał lub dużo wypił. Jego brwi były grube i ściągnięte, a zarazem delikatne jak u modela. Pod lewym okiem, na kości policzkowej, tkwił pieprzyk wielkości główki zapalniczki.

Ta twarz wyglądała nieskazitelnie, wręcz nienaturalnie, dopóki nie odsłonił zębów; białych, zdrowych, ale delikatnie krzywych. Jedyne lekko nachodziły na siebie, a kły wydawały się dłuższe niż u większości ludzi. Te zęby sprawiały, że przestawał tak bardzo onieśmielać. Dawały plaskacza, który przypominał, że to zwykły człowiek ze zwykłymi wadami.

Dawały odetchnąć.

Dlatego kiedy szeroko uśmiechną się na mój widok tuż po wypuszczeniu chmury papierosowego dymu, wreszcie nabrałam powietrza i poluzowałam palce zaciśnięte na poręczy schodów. Niepewnie postawiłam stopy na parkiecie. Uniosłam rękę, jakbym chciała pokazać, że na górze są inni. Otworzyłam usta, ale nie wydobyło się z nich już nic więcej. Nie przychodziły mi do głowy żadne słowa, które mogłyby wytłumaczyć, dlaczego włamaliśmy się do jego domu.

Nie miałam też pewności, czy jestem bardziej zszokowana tym, że rzeczywiście tu żyje, cały i zdrowy, czy tym, że wygląda, jakby zupełnie nie był zdziwiony widokiem obcej dziewczyny na schodach.

– W twoich ustach zabrzmiało to dość biblijnie – powiedział nagle, po czym ponownie się zaciągnął.

Zamkną książkę i odłożył ją na stolik. Dopiero teraz mogłam zobaczyć znajomą okładkę.

Lśnienie.

Uniosłam brwi, a on zgasił papierosa i ku mojemu zaskoczeniu schował niedopałek do kieszeni białej lnianej koszuli. Tkwiła na wysokości serca. Po chwili dostrzegł moje spojrzenie i się zreflektował.

– Wybacz, zapomniałem, że jestem już w domu. – Wyciągnął peta, po czym wrzucił go do stojącej na blacie popielniczki. – Kiedy chodzę po górach, czasem nie mam przy sobie nic poza papierosami. Wtedy wrzucam wszystko do kieszeni, żeby nie śmiecić. Kostek jeszcze śpi?

– Chyba tak. Nie wiem – odparłam, mrugając szybko.

– Niech zgadnę, wziął sypialnię z łazienką?

– Tak.

Szeroki uśmiech Adama wskazywał na jakąś historię z tym związaną, ale nie doczekałam się wyjaśnienia.

– Powiedz mi, w czym mogę ci służyć? – zapytał, rozkładając ręce, jakby był kelnerem. – Napijesz się czegoś? Zaraz będę przyrządzał tartę z borowikami, mam nadzieję, że lubisz grzyby. Może mrożonej herbaty?

Wstał i zaczął krążyć po kuchni, otwierając kolejne szuflady, szafki i lodówkę.

Poczułam się zupełnie zdezorientowana. Może dalej śnię? – pomyślałam, przecierając oczy.

– Wiesz co, właściwie szłam tylko do łazienki. Nie czuję się zbyt dobrze.

Chyba właśnie dostrzegł tampon w mojej ręce.

– Powinienem mieć tu gdzieś nospę. – O nic nie pytając, wyciągnął z czeluści wysokiej szafki koszyk wypełniony lekarstwami. Podeszłam bliżej, gdy chwilę w nim grzebał. Miał bardzo długie rzęsy, tak jak Kostek, ale jednocześnie było w nim coś, co zupełnie go od niego odróżniało. Nie potrafiłam tylko stwierdzić co. – O, jest! Nawet ważna, do września.

Podał mi listek małych różowych tabletek, a ja sięgnęłam po niego tak, żeby nasze dłonie się nie zetknęły.

– Dzięki – powiedziałam i wycisnęłam jedną pigułkę prosto na język. – O Boże, zapomniałam, jakie to gorzkie.

Powstrzymałam odruch wymiotny, mamrocząc dalej, podczas gdy Adam szybko napełnił szklankę mrożoną herbatą prosto z dzbanka i niemal przytknął ją do moich ust.

Odetchnęłam z ulgą, gdy słodki zimny płyn spłynął mi do gardła.

– Jeszcze raz dzięki.

Nie wiedziałam, co zrobić. Już miałam ruszyć do łazienki, kiedy przypomniałam sobie o czymś.

– Jestem Fio.

– Fio – powtórzył przeciągle, wyciągając z zamrażarki zapakowane w folię grzyby. – To od Zofii?

– Jesteś chyba pierwszą osobą, która nie pomyślała, że mam na imię Fiona. – Uśmiechnęłam się ze zdumieniem. – Tak, od Zofii. Wszyscy nauczyciele się tak do mnie zwracali.

Adam milczał. Tym razem nie odwzajemnił uśmiechu. Wpatrywał się we mnie, jakby próbował coś sobie przypomnieć. Wręcz przesywał mnie wzrokiem, jego oczy błędziły po mojej twarzy.

Oczach, nosie, ustach.

Zaczęłam odczuwać dziwny niepokój. Może Kostek coś mu o mnie opowiadał? A może uderzyłam w jakiś czuły punkt? Już otwierałam usta, żeby zapytać, kiedy się odezwał:

– A już miałem nadzieję, że masz na imię Ewa i to wszystko wreszcie się skończy. Wiesz, taka ładna kłamra świata.

Zmarszczyłam brwi i parsknęłam cicho. Nie byłam pewna, czy żartuje, ale jeśli tak, był to średni żart. Nie uśmiechnął się jednak, tylko odwrócił do mnie plecami.

– Pójdę już do łazienki.

– Tylko wróć do mnie, Fio – powiedziały jego plecy, opięte lnianą koszulą.

Znowu nie wiedziałam, czy to sarkazm. Jeszcze chwilę patrzyłam na jego dłonie krzątające się po blacie.

Ten człowiek był jak Kostek w krzywym zwierciadle.

Jak Kostek podczas drzemki pewnego lepkiego, upalnego wieczoru.

Bo tak się właśnie czułam – miałam wrażenie, że dalej śnię na poddaszu.

Czekałam, aż się obudzę, ale tak się nie stało. W toalecie patrzyłam, jak strużka krwi spływa po nieskazitelnie białym wnętrzu muszli.

Zza drzwi dobiegło mnie nucenie i po chwili przez kratkę na dole wdarł się przyjemny, intensywny zapach leśnych grzybów.





dy wróciłam do salonu, miałam wilgotną twarz i włosy (w łazience opłukałam się zimną wodą, chcąc się pozbyć lepkiej warstwy opinającej całe moje ciało), ale powietrze stało w miejscu i nie czułam żadnej ulgi.

– Widziałem, że zaopatrzyliście lodówkę. Pożyczyłem masło. – Adam rozwałkował ciasto na wyspie kuchennej. – Dawno nie robiłem zakupów, jeszcze kończę zapasy, które mam w spiżarni.

Wskazał głową na drzwi, których wcześniej nie zauważyłam. Znajdowały się pod schodami, ukryte za spiralną poręczą.

– To piwnica?

– Tak. Jakby co, jest tam dużo chłodniej. – Potarł wierzchem dłoni policzek, jakby coś go zaswędziało, i na opalonej skórze został ślad z mąki. – I są pyszne wina. Możesz zejść i jakieś wybrać. Mocniejsze trunki też się znajdują. Bo masz skończone osiemnaście, prawda?

– Dwa miesiące temu, ale tak. – Przypomniałam sobie, że jest o sześć lat starszy, i nagle poczułam się strasznie niedojrzała. Cień pobłażliwego uśmiechu czający się w kącikach jego ust tylko pogłębił tę myśl.

– Nie zdawałaś teraz matury?

– Zdawałam. Poszłam rok wcześniej do zerówki.

– Czyli byłaś jedną z tych za mądrych na swój wiek. – Nie byłam pewna, czy to pytanie, czy stwierdzenie. Adam skupił się na wałkowaniu ciasta.

– Dokładnie, byłam.

– Myślę, że wciąż jesteś.

Nie odpowiedziałam, wpatrując się w biały półksiężyc powstały na jego twarzy. Chyba zauważył moje spojrzenie, bo jego dłoń znowu powędrowała w to miejsce.

– Tak, tutaj – powiedziałam i ślad zniknął. Podobnie jak ból brzucha; dzięki tabletkę pozostało tylko delikatne ćmienie. – A jeśli chodzi o piwnicę, chyba trochę się boję.

– Może za dużo horrorów, co? – Adam uśmiechnął się znów i wskazał głową na *Lśnienie* leżące na stoliku, grzbietem do góry. Tak jak myślałam, grzbiet był złamany. – Pozwoliłem sobie pożyczyć. Jest w niej dedykacja dla ciebie, dlatego...

– Dlatego wiedziałeś, że mam na imię Zosia. – Wycelowalam w niego palcem wskazującym z udawanym smutnym uśmiechem. – A już myślałam, że ktoś wreszcie zgadł sam z siebie. Swoją drogą dużo rzeczy pozwoliłeś sobie pożyczyć.

– Cóż, w tym pojedynku masło i książka wciąż przegrywają z pożyczaniem sobie domu.

Zarumieniłam się, ale Adam nie wyglądał na urażonego. W jego oczach błysnęły życzliwe ogniki.

– Może jednak pójdziesz po to wino? – zapytał. – Najlepiej jakieś czerwone wytrawne. Będzie pasować do tarty.

– Spróbuję zachować zimną krew.

W piwnicy okazało się tak przyjemnie chłodno, że miałam ochotę tam zostać. Zapasy zgromadzone przez Adama na wielkich stalowych regałach skojarzyły mi się właśnie z *Lśnieniem* i tamtejszą hotelową spiżarnią. Puszki z pomidorami, fasolą, marynowanymi warzywami, pudełka z kaszami, makaronami, ryżem, a wszystko ułożone w równych rzędach. Przy ścianie, na samym końcu, stała sporych rozmiarów zamrażarka – dokładnie taka, jaką widuje się w sklepach wypełnioną lodami na patyku. Podeszłam bliżej i zajrzałam do środka. Gdy buchnął we mnie arktyczny powiew, z ulgą zanurkowałam jeszcze głębiej, czując, jak igiełki mrozu wbijają się w moją rozgrzaną skórę. W powietrzu rozszedł się charakterystyczny zapach mrożonek. Było tu sporo pieczywa, mieszanek warzywnych i mięsa. I dużo, naprawdę dużo kostek lodu.

Nagle ogarnął mnie niemal euforyczny nastrój.

Po niepokoju i lęku o własne zdrowie nie było śladu, może dlatego, że wciąż podskórnie czułam, że jeszcze się nie obudziłam. Świat istniał, ale jakby jakąś setną część milimetra obok mnie.

Spełnił się najlepszy scenariusz, który był tak nieprawdopodobnie idealny dla nas wszystkich, że wydawał się co najwyżej halucynacją. Adam tu był, wydawał się odpowiedzialny życiowo, zaopatrzony we wszystko, czego potrzeba człowiekowi do codziennego życia poza cywilizacją (w dodatku do życia na wysokim poziomie), sympatyczny, może trochę dziwny, ale z pewnością niemający nam niczego za złe. Fakt, jeszcze wiele mogło się zdarzyć – najpierw musiał poznać całą resztę i skonfrontować się z Kostkiem po tak długim czasie bez kontaktu – ale wyglądało na to, że wszystko zmierza w dobrym kierunku.

Rozluźniona, schłodzona i po wygranej walce z bólem menstruacyjnym, ruszyłam w stronę wyjścia. Zatrzymałam się przy starym, peerelowskim barku, który zauważyłam dopiero przy schodach. Wybór alkoholi także okazał się imponujący. Kostek miał rację, kiedy nam o tym wspominał. Znalazłam nawet nalewki domowej roboty z ręcznie opisanymi etykietami. Było ich mnóstwo, ja jednak skupiłam się na winach. Wodząc wzrokiem po matowych naklejkach, zastanawiałam się, skąd Adam wziął na to wszystko pieniądze. Z pewnością wkrótce się dowiemy, pomyślałam i chwyciłam za szyjkę czerwonego caberneta (nie żebym znała się na winach – tak było na nim napisane).

Gdy wróciłam, Adam czekał już z korkociągiem. Na patelni błyszczącej od masła smażyły się grzyby wymieszane z cebulą. Zapach, który wypełniał kuchnię, wręcz odurzał.

– Uczyłeś się gdzieś gotować? – spytałam, podając mu zakurzoną butelkę.

– Testowałem na rodzicach. Wszystko metodą prób i błędów – oznajmił. – Parę ich płukań żołądka i w końcu doszedłem do wprawy.

Mówił z taką powagą, że mimowolnie wybuchnęłam śmiechem. Przyłapałam się też na tym, że – o, zgrozo – owijam kosmyk włosów wokół palca, po czym zakładam go za ucho i z powrotem. Szybko położyłam ręce na blacie.

– Rozumiem, że znajomość grzybów też testowałeś na nich?

– Tak, stąd tyle wizyt na OIOM-ie. – Popatrzył na mnie spod ciemnych rzęs, wyciągając z wina korek.

– A od jak dawna zbierasz grzyby? – dopytałam z grzeczności.

– Właściwie od dziecka. A odkąd mieszkam tu sam, stanowią moje główne źródło pożywienia, oczywiście w sezonie. Nie mogę się doczekać wrzeźnia, na razie zjadam zapasy z poprzedniej jesieni. Mrożone czy suszone to nie to samo. Te nadają się wyłącznie do wypieków, sosów albo zup.

Pokiwałam głową z udawanym uznaniem, zastanawiając się jednocześnie, czy poznałam kiedykolwiek kogoś, kto fascynuje się grzybami i nie jest w wieku mojej babci. Wychodziło na to, że Adam rzeczywiście jest dość wyjątkowy.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc wyciągnęłam rękę po lampkę wina, którą Adam dla mnie napełnił. Zakręciłam lekko zawartością kieliszka, podgrzewając jego spód wnętrzem dłoni, bo tak robiono na filmach. Czy powinnam jeszcze je powąchać, zanim się napiję?

– Wznieśmy toast za naszą znajomość. – Adam uprzedził mój ruch. Uniósł swój kieliszek i przyłożył do mojego.

Uśmiechnęłam się, gdy rozległ się miły brzęk. Przykładając usta do szkła, pomyślałam, że to wszystko przypomina tandetną scenę z komedii romantycznej.

Roześmiałabym się z zażenowaniem, gdyby nie jego wzrok – głęboki, pozbawiony wesołości, stanowczy.

Tak, „stanowczy” to było dobre słowo. Patrzył na mnie, jakby próbował wedrzeć mi się w duszę. Jego źrenice były w tym świetle tak duże, że oczy wydawały się niemal atramentowe.

Oddychałam najciszej jak umiałam, powstrzymując nerwowe przełykanie śliny. Żeby temu zapobiec, wzięłam głęboki łyk wina, po czym przypomniałam sobie, że przed chwilą zażyłam tabletkę.

– Nie powinnam pić – powiedziałam nieco drżącym głosem, tym samym odzierając ten moment z filmowości.

Spojrzenie Adama się zmieniło. Znów patrzył po prostu na mnie, na moją twarz; widział zapewne rumieńce wykwitłe na policzkach i kropelki potu na czole.

– Wiele razy mieszałam alkohol z nospą, nic się nie działo – odparł uspokajającym tonem, którego potrzebowałam. – Ale oczywiście nie

namawiam, mimo że przyjemnie byłoby wypić tak dobre wino z tobą.

Za oknem panował półmrok. Nawet nie zauważyłam, kiedy spomiędzy drzew zniknęło brzoskwińowe, dogasające słońce.

– Skoro tak mówisz – wymamrotałam, znów chowając wargi w kieliszku. Wypiłam niemal całą lampkę. Chciałam pozbyć się zdenerwowania, które odbierało mi rozum. – Może pójde obudzić Kostka? Był tak zmęczony, że nie wstanie do rana.

– A to źle? – Adam dopił resztkę wina i ponownie napełnił kieliszek. – Boisz się spędzić ze mną noc?

– Ja...

– Oczywiście nie w tym sensie. – Zaśmiał się perliście. Zdziwiło mnie, jak przyjemny ma śmiech. Nie było w nim nawet cienia czegoś nieprzeniknionego. Kiedy się śmiał, był niczym otwarta księga i chyba dopiero w tej chwili poczułam się przy nim naprawdę dobrze, mimo zdenerwowania. – Po prostu możemy sobie posiedzieć i pogadać, zanim zrobi się tłok. Ilu was przyjechało?

– Skąd wiesz, że przyjechało nas więcej? – zapytałam, drocząc się z nim. – Może jestem dziewczyną Kostka i jesteśmy tylko we dwoje?

– Nie jesteś. – Pokręcił głową, zagryzając bordową od wina wargę. Uśmiech nie schodził mu z twarzy.

Lekkie ukłucie. Zrobiłam skonsternowaną minę.

– Nie wiem, czy odebrać to jako obelgę, czy komplement.

– Wiedziałbym o tym.

Znowu spowaźniał. Nie odpowiedział na moje słowa, ale nie chciałam, żeby się zorientował, że znam ich wspólną historię, dlatego nie zaprzeczyłam ani nie drążyłam tematu.

Adam wyłączył palnik z gazem, zdjął z patelni gryzbowy farsz i przerzucił go do miski.

– To skąd wiesz, że jest nas więcej?

– Ślady na zewnątrz, mnóstwo jedzenia, bardzo zróżnicowanego, mieszanina różnych perfum – wymieniał niczym Sherlock. – Zostawiliście po sobie dużo śladów, jak w bajce o Złotowłosej i trzech niedźwiadkach.

– Bardzo cię przepraszamy – powiedziałam szczerze. – Kostek...

– Nie ma za co – przerwał mi, pokręcił głową i dolał wina do mojego kieliszka. – Przyjaciele Kostka są moimi przyjaciółmi i tak dalej. Mówię poważnie. Czujcie się jak u siebie.

Fala ciepła rozlała się po moim ciele. Nie wiedziałam, czy to wino zaczyna już krążyć w moich żyłach, czy to jego życzliwość tak na mnie działała.

Jego wzrok.

Jeszcze nigdy nie spotkałam kogoś, kto tak intensywnie patrzyłby mi w oczy. Obiektywnie nie było w tym nic niesamowitego. Ot, rozmawialiśmy i byliśmy we dwoje, więc na kogo miał patrzeć. Ja jednak doszukiwałam się czegoś jeszcze – jak zawsze.

Kostek też potrafił wymieniać ze mną takie spojrzenia, choć nieczęsto, ale po jakimś czasie zrozumiałam, że robi to z każdym. Był po prostu do bólu uprzejmy.

Robin niemal wcale nie patrzył w oczy. Zazwyczaj mrużył je od śmiechu, wpatrując się gdzieś wysoko albo wręcz przeciwnie – gapił się w telefon.

Hanna była wyrafinowana i patrzyła z wyczuciem godnym psychologów. Wiedziała, kiedy spojrzenie staje się kłepujące (po prostu wiedziała też, jak wygląda – że jej wielkie błękitne oczy okalane podkreconymi rzęsami potrafią wprawić w dyskomfort nie tylko zainteresowane nią osoby) i wtedy dyskretnie odwracała wzrok.

Wenus patrzyła, kiedy kogoś słuchała. Kiedy zaś mówiła, jej spojrzenie błędziło wszędzie, po całym pomieszczeniu albo po niebie, ale nie obejmowało swoim zasięgiem rozmówcy.

Adam nie spuszczał ze mnie wzroku niezależnie od tego, czy coś do mnie mówił, czy to ja mówiłam. Przerzywał tylko, kiedy skupiał się na czynnościach związanych z gotowaniem, ale i to potrafił robić, patrząc po prostu na mnie.

Nie byłam do tego przyzwyczajona.

Zakiełkowała we mnie dziwna, abstrakcyjna myśl, że to z pewnością zostawi po sobie jakieś ślady. Że boję się ludzi o takim spojrzeniu. Takie spojrzenie, gdy zatopi ostrze, może wyrządzić światu wiele niechcianych miłości.

Adam docisnął ciasto do ceramicznej formy, nakłuł wykałaczkami i włożył do lodówki. Potem włączył piekarnik i przestawił w nim półkę, używając do tego kuchennych rękawic. Wyglądał irracjonalnie. Dopiero teraz zauważyłam, że w pasie ma przewiązany fartuch.

Wyswobodził dłonie z rękawic i sięgnął po papierosa. Wsunął go do ust, po czym wyciągnął paczkę w moją stronę.

– Palisz?

– Nie, ale z tobą zapalę.

Nie wiem, czemu to powiedziałam. Chyba po prostu chciałam, żeby widział mnie taką, jaką pragnęłam być.

Znów ten uśmiech.

Uśmiechał się leniwie, jednym kącikiem ust. Nietrudno było zgadnąć, kogo mi wtedy przypominał. Czy to możliwe, że byli tylko przybranymi braćmi? Dałabym sobie uciąć rękę, że w ich żyłach płynie ta sama krew.

Kiedy przyłożył zapalniczkę do końcówki mojego papierosa, poczułam na palcach szorstkość skóry jego dłoni. To trwało tylko chwilę. Odsunął się, ale wciąż nie odrywał ode mnie wzroku. Objęłam ustami filtr i zaciągnęłam się. Powstrzymałam kaszel. Wypuściliśmy dym w tym samym momencie.

– Dobrze wyglądasz z papierosem – stwierdził, a mnie ścisnęło w brzuchu. I nie, nie chodziło o okres. Jego oczy błyszczały i tym razem włożyłam całą siłę woli w to, żeby nie odwrócić wzroku.

– Kostek też mi to mówi – odparłam prowokacyjnie.

Chciałam zobaczyć jego reakcję. Nie do końca byłam pewna, co to ma na celu, ale bardzo tego potrzebowałam.

Cały czas na mnie patrzył. Chyba jeszcze nigdy nie mierzyłam się z kimś spojrzeniem tak długo. Miałam ochotę przygryźć wargę, głęboko odetchnąć, zacisnąć powieki – cokolwiek, co przerwałoby to niemożliwe do zniesienia napięcie. Jednocześnie było to tak magiczne, niespotykane, nienazwane. Nie mogłam nic zrobić, więc raz po raz zaciągałam się papierosem, czując, jak coraz bardziej kręci mi się w głowie.

– Kostek mówi wiele rzeczy – skwitował Adam po dłuższej chwili.

I co z tego? – miałam ochotę spytać. Ale tak naprawdę dobrze wiedziałam, o co mu chodzi.

Kostek mówi wiele rzeczy.

Tak, Kostek mówi wiele, ale niewiele z tego wynika.

Zamiast tego wypaliłam:

– Skąd wiesz, jaki jest teraz?

Ciemne spojrzenie stało się jeszcze bardziej pochmurne. Przez moment wydawało mi się, że Adam zaraz parsknie śmiechem, tak groteskowa była jego powaga.

W domku zrobiło się już potwornie gorąco. Drzwi tarasowe (o ile można tak nazwać przesuwaną szklaną ścianę prowadzącą do ogrodu) były zamknięte, nie pomagała też temperatura bijąca z nagrzewającego się piekarnika.

– Masz rację – odparł. – Nie wiem, jaki jest teraz. Ale nie wiem też, jaka ty jesteś.

– A chcesz wiedzieć? – To pytanie, gdy pojawiło się w mojej głowie, było zupełnie szczere, bez drugiego dna. Co mogłam go obchodzić, skoro jeszcze chwilę wcześniej nawet nie wiedział o moim istnieniu? Kiedy je wypowiedziałam, zabrzmiało jednak jak najtańszy flirt.

– Nie wiem, czy w ogóle można dowiedzieć się w pełni, jaki ktoś jest.

Adam skończył palić, zgasił niedopałek w zlewie i znowu włożył papierosa do kieszeni koszuli. Tym razem nie wspomniałam mu o tym.

Wino uderzyło mi do głowy, moje policzki płonęły. Czulałam pot spływający po kręgosłupie, pod cienką warstwą topu z poliestru. Przyłożyłam kieliszek do twarzy, żeby jakkolwiek się ochłodzić, ale niewiele to dało.

Widząc, co robię, Adam minął mnie i podszedł do szklanych drzwi, żeby je rozsunąć. Przysiadł na podłodze, a nogi wystawił na trawnik. Wyciągnął kolejnego papierosa.

Palił jeszcze więcej niż Kostek.

Podeszłam do niego powoli, ostrożnie, bo wszystko dookoła mnie zdawało się lekko drgać. Parkiet się kołysał. Za szybko wypijałam pierwszą lampkę.

Usiadłam obok niego i oparłam głowę o framugę. Zamknęłam oczy, czując, jak chłodne powietrze przyjemnie owiewa moje rozpalone ciało. Wciąż nie mogłam uwierzyć, że oto jestem w tym niemalże mitycznym Domku z Drewna i Szklą. Las dookoła, coraz mniej widoczny na tle granatowego nieba, wydawał się rozciągniętą na stelażu scenografią.

– Jeszcze jeden? – Adam wyciągnął paczkę w moją stronę, ale potrząsnęłam głową. Dopiero kończyłam poprzedniego.

Wydmuchiwaliśmy dym prosto w noc. Zazwyczaj stresowałam się momentami pełnymi ciszy przy ludziach, których nie znałam, ale Adam wydawał się taki zrelaksowany, tak bardzo oderwany od myślenia o tym, co powinniśmy, a co nie, że ja także czułam spokój.

Palił, a drugą ręką gładził trawnik wymagający skoszenia. Pojedyncze źdźbła owijał między długimi palcami. Niemal czułam, jak są miękkie i ostre zarazem.

Każdy jego ruch nadawał prozaicznym gestom jakiegoś patosu – w innych okolicznościach może czułabym rozbawienie lub nawet złość (jak w przypadku Kostka z jego megalomańskimi pobudkami), ale teraz, wstawiona i nieco odrealniona po wieczornej drzemce, uważałam to za detale godne uwiecznienia w filmie. Żałowałam, że moje oczy nie mogą zapisywać obrazów, które mają przed sobą, a z drugiej strony czułam, że i tak nigdy nie zapomnę tego widoku.

Twarzy Adama: jego prawego profilu, długich rzęs, pełnych ust, nieco wydętych, jakby się delikatnie złościł albo martwił. Włosów opadających mu na czoło; niektóre przykleiły się do skroni i zwinęły w niesforne wzory. Żaru tańczącego na końcu papierosa, gdy się zaciągał. Wydawał się taki stanowczy, mimo ogarniającego go spokoju, a jednocześnie tak kruchy, że bałam się przypadkiem go dotknąć. Miałam wrażenie, że wtedy okaże się nieprawdziwy i rozpadnie pod moimi palcami, zostawiając po sobie tylko to potworne uczucie tęsknoty za czymś, czego nigdy się nie miało.

– Opowiedz mi, dlaczego tu przyjechałeś. – Mój głos przeciął nocną ciszę. Im większa zapadała ciemność, tym bardziej milczący był las. – Wybacz, że tak prosto z mostu, ale czy jesteś tutaj... szczęśliwy?

Adam tym razem patrzył przed siebie. Chwilę nie odpowiadał i już myślałam, że zbędzie mnie jakimś żartem. Kiedy nagle zaszeleściły drzewa, a w głębi lasu krzyknęła sowa, zaczął jednak mówić:

– Cierpię na bezsenność, odkąd tu jestem. Potrafię do rana siedzieć właśnie w tym miejscu i myśleć. Im dłużej tak myślę, tym mniej wiem. A im mniej wiem, tym jestem szczęśliwszy. – Zerknął na mnie z ukosa i zamoczył usta w winie. – Pewnie masz mnie za kompletnego świra i pustelnika. Nie zamierzam temu zaprzeczać. Nie wiem, co Kostek ci o mnie mówił, czy cokolwiek mówił. Właściwie sam nie miałem okazji mu wszystkiego wytłumaczyć. Bo wiesz, odkąd świadomie odciąłem się od świata, zacząłem ten świat lepiej rozumieć. Dostrzegać. Ale to nie wszystko, świat zaczął dostrzegać mnie. Wcześniej chodziłem na studia, których nienawidziłem, mieszkalem z ludźmi, których nienawidziłem, w mieście, którego nienawidziłem. Wydawało mi się, że choćbym codziennie przechodził samego siebie, nie wiem, wygłosił najlepszy referat na roku, ba, choćbym napisał najlepiej sprzedającą się powieść w tym kraju, nie miałyby to żadnego większego znaczenia. Przeczytałbym o sobie na kilku portalach, w lokalnej prasie i może przespał się z paroma osobami, które bym zafascynował. Może ojciec przelałby mi na konto nieco więcej niż zwykle, a matka powiedziała by wreszcie, że coś mi się udało. Ale ciągle się zastanawiałem, jakie miałyby to realne znaczenie dla świata? Odkąd żyję tutaj, widzę, że każda najmniejsza rzecz, którą robię, ma ogromne. Kiedy idę do lasu, nad rzekę, na łąkę, każdy mój ruch ma tam swój niemal natychmiastowy skutek. I nie mam wcale na myśli samych dobrych rzeczy. Gdy w mieście odpalałem papierosa, w chmurze smogu i chemikaliów, paliłem bez zastanowienia, czując się zupełnie bezkarnie. Gdy pierwszy raz zapaliłem tutaj, na oczach tych wszystkich drzew, mchów, zwierząt, które czają się gdzieś głębiej, ale patrzą... poczułem ogromny wstyd. Każdy wydmuchiwany przeze mnie buch to oddech zbliżający te istnienia do śmierci. Je i mnie. – Zgasił papierosa i potrząsnął głową. Posmak tytoniu na języku zaczął mnie niemal parzyć. – Któregoś dnia rzucę ten syf – podjął. – Natura ma co do nas swoje plany. A my mamy czelność myśleć, że jest odwrotnie. Jedno jest pewne, Fio: zostaniemy za to ukarani.

Dreszcz przeszedł mi po plecach i poczułam się, jakbym wpadła do zimnego jeziora. Nieco wytrzeźwiałam, ale nie było to przyjemne. Wyciągnęłam w jego stronę rękę z pustym kieliszkiem, a Adam od razu go napełnił. W butelce zostało już niewiele, tę resztkę dołał sobie. Widząc moją minę, zaśmiał się chrapliwie.

– Bardzo cię przepraszam. – Podrapał się po szyi, po czym zmierzwił włosy. Wilgotne, przyklejone do skroni kosmyki sterczały teraz nad jego czołem niczym postawione na żel. – To taki piękny wieczór. To, co chciałem ci powiedzieć, też miało mieć pozytywny wydźwięk.

– A wyszło jak zwykle – odpowiedziałam, siląc się na żart.

Wywołało to kolejną salwę jego śmiechu.

– Chciałem ci wyjaśnić to w wielkim skrócie, bo może trudno w to uwierzyć, ale tak: jestem tu szczęśliwy. Teraz twoja kolej. Dlaczego ty tu przyjechałaś?

– A musiałam mieć jakiś powód? – spytałam, chcąc zabrzmieć nonszalancko, ale nie mogłam powstrzymać uśmiechu, który mimowolnie pojawił się na mojej twarzy.

– Wszystko ma swój powód.

– Kostek wychwalał to miejsce i robił to tak regularnie oraz tak upierdliwie, że nie mieliśmy wyjścia. – Wzruszyłam ramionami. – No i to nasze pierwsze wspólne wakacje. Kto wie, czy nie ostatnie. – Zabrzmiało ponuro i złowrogo, aż się wzdrygnęłam. A może to od cierpkiego posmaku wina, bo znów wzięłam za duży łyk.

– Ilu was jest? Powiesz mi wreszcie?

– Ze mną piątka. Wenus, Hanna, Robin i Kostek.

– I ty. – Mówiąc to, Adam opierał głowę o szklaną szybę za sobą i nie odrywał ode mnie wzroku. Jego oczy błyszczały.

– I ja – powiedziałam, znów próbując wytrzymać to spojrzenie. Serce biło mi bardzo szybko i miałam wrażenie, że musi to słyszeć. Rozsądek podpowiadał jednak, że nie ma takiej opcji. Upiłam kolejny łyk wina, żeby zatuszować napięcie. Nic dziwnego, że tak szybko się upiłam, jeśli podnosiłam kieliszek za każdym razem, gdy spoglądał na mnie w ten sposób.

– Chodźcie do jednej szkoły?

– Do jednej klasy. Właściwie to chodziliśmy. – Pierwszy raz powiedziałam o tym na głos. Kiedy zdanie wybrzmiało i usłyszałam je, stało się prawdą. W gardle zaczęła mi rosnąć gula. Zamrugałam szybko. – Zdaliśmy maturę, dostaliśmy się na studia i każde z nas wyprowadza się gdzie indziej. Chcemy spędzić całe lato razem. Nie wiadomo, czy później... – Przełknęłam ślinę. – Czy taka okazja jeszcze nam się przytrafi.

Przekłęłam w duchu, bo głos zaczął mi się łamać. Zamilkłam, czekając, aż fala smutku odejdzie. W mojej głowie, jak na złość, zaczęły się pojawiać, niczym we wzruszającej kompilacji na TikToku, szybko zmontowane przez umysł scenki, które razem przeżyliśmy. Wiedziałam, że jest po mnie, kiedy doszło do najbardziej wyraźnego wspomnienia: Kostek leży obok na kanapie na domówce Hanny, gdy wszyscy tańczą, a my liczymy, ile razy każde z nas powiedziało tego wieczoru „mam dość”. Popłakaliśmy się wtedy ze śmiechu, później ja zaczęłam szlochać, a Kostek nie wiedział, o co mi chodzi, i zaczął głaskać mnie po włosach. Gdy łkałam coraz głośniejsze, podniósł się na łokciach i przywarł do mnie całym ciałem, przytulając i kołyszając mnie. A ja płakałam, bo już tęskniłam. Płakałam, bo wiedziałam, że ta chwila zaraz przeminie i stanie się wspomnieniem, slajdem, który będę odtwarzać w myślach, dokładnie tym, czym teraz już była. Nie potrafiłam się cieszyć, gdy trwała, więc ją niszczyłam. „Cichutko, no już”, wyszeptał Kostek w moje włosy i byliśmy wtedy najbliżej siebie, bliżej niż kiedykolwiek wcześniej. Czułam, jak bije jego serce, kołatało tuż przy mojej klatce piersiowej, i chciałam, żeby to trwało wiecznie. Zaledwie kilkanaście sekund później Hanna podbiegła do nas i zaczęła wrzeszczeć coś niezrozumiałego, żeby wyciągnąć Kostka do tańca.

– Ej, co się dzieje? – Usłyszałam głos Adama i zorientowałam się, że znowu to robię. Łzy płynęły mi po policzkach strumieniami, a ja miałam ochotę wstać i uciec prosto w ciemność, między drzewa.

– Boże, przepraszam... – Przyłożyłam dłonie do mokrej twarzy. – Teraz to ja zepsułam cały nastrój.

– Przynajmniej jesteście kwita.

– To żenujące – mruknęłam, wciskając pięści w zagłębienia oczu. Zacisnęłam powieki, próbując się uspokoić. – Wiem, że jestem infantrylna.

– Od kiedy wyrażanie emocji jest infantrylne?

Wzięłam głęboki wdech. Wiedziałam, że mój nos jest już cały opuchnięty i czerwony.

– Mówisz jak mój ojciec. – Zdobyłam się na uśmiech przez łzy.

– Mam nadzieję, że chociaż nie wyglądam jak on. – Skrzywił się Adam. – To byłoby wysoce niewskazane.

Potrząsnęłam głową, śmiejąc się i wydychając nos jednocześnie. Dobrze, że miałam przy sobie chusteczki.

– On... On ciągle namawia mnie na terapię – powiedziałam, chociaż wcześniej nie chciałam poruszać tego tematu. – Moja mama zginęła pięć lat temu i do teraz średnio sobie radzę. – O dziwo, to zdanie wypowiedziałam ze spokojem, głos mi się nie załamał. Musiałam uznać to za mały sukces.

– Ten wyjazd będzie dla ciebie terapią. – Uśmiech Adama zniknął i zrozumiałam, że nie żartuje.

– Może tak. – Mówiąc to, naprawdę tak myślałam.

Potem opowiedziałam mu pokrótce o śmierci mamy, bez wdawania się w te najbardziej bolesne szczegóły, ze zdumieniem odkrywając, że jest pierwszą osobą, z którą tak swobodnie o tym rozmawiam. Nie próbował mnie pocieszać, mówić, że mu przykro. Widziałam jednak po każdej jego minie, po każdym skinięciu głową, że rozumie mój ból. A nawet jeśli nie rozumiał, akceptował go, a ja nigdy nie potrzebowałam niczego innego. Mój ojciec nie chciał mi tego dać.

Kiedy skończyłam mówić, a łzy zdążyły już wyschnąć, Adam przechylił pustą już butelkę i jedna smutna czerwona kropla skapnęła do mojego kieliszka.

– Jesteś bardzo dzielna – powiedział tylko.

Przez chwilę myślałam, że wyciągnie dłoń i pogłodzi mnie po policzku, ale nie zrobił tego. Wciąż po prostu na mnie patrzył. Stwierdziłam, że ma jakiś nadprzyrodzony dar. Potrafił patrzeć na tyle sposobów i chociaż nie

rozumiałam każdego z jego spojrzeń, czułam wyraźnie, co chce mi przekazać. Jego współczucie i empatia nie wymagały słów, biły z niego, a potem otulały mnie, kojąc jak balsam.

– Dziękuję, że mogłam to z siebie wyrzucić. Jesteś bardzo dobrym słuchaczem.

– Zawsze do usług. A wiesz, kiedyś wcale nie byłem.

– Ciężko mi to sobie wyobrazić.

– To miejsce. – Skierował palec wskazujący w ziemię i ściszył głos, jakby mówił o czymś świętym. – To miejsce nauczyło mnie wszystkiego, co najlepsze.

– Powinieneś zostać agentem nieruchomości. – Zaśmiałam się, ale on tylko delikatnie uniósł kącik ust, więc wróciłam do poprzedniego tonu. – Kiedy tak mówisz, naprawdę zaczynam wierzyć, że i ja coś z niego wyciągnę. Zobacz, już mówię o nim jak o osobie.

– A co robią wszyscy wyznawcy religijni?

Zmarszczyłam brwi.

– W jakim sensie?

– Wszyscy mówią o naturze jak o osobie.

Otworzyłam usta, żeby wdać się w dyskusję, ale ostatecznie uznałam, że to nie jest dobry moment na rozmowy o religii.

– Właściwie, jeśli tak na to spojrzeć – powiedziałam tylko, dopijając ostatni łyk wina. – Wszystko, co dobre, szybko się kończy.

– Mogę otworzyć następne.

– O, nie, nie – jęknęłam. – Musiałbyś mnie zanieść do łóżka.

– Myślisz, że bym tego nie zrobił? – Uśmiechnął się, a ja razem z nim.

– Powinam się wyspać, żeby zacząć nowy dzień z przytupem.

– Właśnie zaczynasz nową noc. – Adam odgarnął z twarzy wilgotne włosy. – Nie myśl tutaj w sposób, w jaki myślisz na co dzień. Czas jest tu dla ciebie, nie ty dla niego.

Zamilkłam, a po moim żołądku rozlała się kolejna fala przyjemnego ciepła. Czułam lekkie zawroty głowy, ale właściwie nie było aż tak źle. Nie chciałam

jeszcze iść spać.

– To może teraz białe? – spytałam. – Czerwone miało być dobre do tarty.

– Tarta! – zawołał Adam, a jego oczy na chwilę zrobiły się większe niż zwykle.

Wstał pospiesznie, zabierając nasze kieliszki.

– Czas jest tu dla ciebie, nie przejmuj się tak! – krzyknęłam za nim.

Usłyszałam stłumione przekleństwo dobiegające ze strony aneksu kuchennego.

– Na szczęście zapomniałem o wyjęciu ciasta z lodówki, a nie z piekarnika. Chociaż ten ciągle się nagrzewa i jest tu już absolutna sauna... – jęknął Adam. – Dobra, jeszcze chwilę forma musi się zagrzać, żeby nie pękła od różnicy temperatur. A potem wstawiam i niedługo będziemy się zajadać.

Kiedy to powiedział, usłyszałam burczenie we własnym brzuchu. Dopiero teraz wino zaostrzyło mój głód. Czułam się przyjemnie wyluzowana, wyplakana i... pusta – w najlepszym tego słowa znaczeniu.

– Biegnę do piwnicy!

Skinęłam głową, chociaż nie mógł mnie widzieć, i zapatrzyłam się w las. Wielka ściana drzew otulała nas z każdej strony.

Nagle przypomniałam sobie *Until dawn*, w które graliśmy kiedyś u Robina na PlayStation (właściwie on grał, a my pomagaliśmy mu podejmować decyzje). Była tam grupa nastolatków na wyjeździe w górskiej chacie i każdy wybór dialogowy lub sytuacyjny wpływał na dalszą fabułę.

Efekt motyla.

Odpowiadasz przyjaciółce, że jest wredna, zamiast przytaknąć jej dla świętego spokoju, a za godzinę z tego powodu – mniej lub bardziej bezpośrednio – wasz wspólny przyjaciel ginie. Pamiętam, że krzyczeliśmy wtedy ze zdumienia, bo w naszej rozgrywce przeżyła tylko jedyna osoba.

A mogli przeżyć wszyscy.

Mogli też wszyscy zginąć, więc nie wyszło najgorzej. Nie mówiłam o tym reszcie, ale kupiłam tę grę (ojciec oczywiście miał PlayStation, którego używał wyłącznie do oglądania Netflix) i próbowałam przejść ją samodzielnie, tym

razem stawiając sobie za cel uratowanie całej grupy. Ostatecznie skończyłam tego samego dnia, zalana łzami, bo zginęła dwójka, mimo mojej pewności, że powiedziałam i zrobiłam wszystko, co najlepsze.

Tam też był taki las i dom schowany pośrodku drzew, wysoko w górach. Zupełnie bezwiednie przyszła do mnie myśl, że teraz muszę mówić i robić wszystko, co uważam za najlepsze, bo może mieć to wpływ na przyszłe wydarzenia. Zadrżałam delikatnie, gdy tuż za mną rozległ się brzęk kieliszków.

– Białe wytrawne dla pani, proszę.

Siedzieliśmy tak jeszcze niecałą godzinę, pijąc i paląc. Robiło się coraz chłodniej, nasze ruchy były coraz wolniejsze, a śmiechy głośniejsze i częstsze. Nie wiedziałam, jakim cudem reszta nie obudziła się od naszych rozmów.

Adam opowiedział mi całą swoją historię, która w większości pokrywała się z tym, co mówił nam Kostek. Udałam zdziwioną, ale moje zainteresowanie jego słowami było oczywiste – wszystko, co mówił, chłonęłam jak gąbka.

Powiedział, że pisze powieść, ale raczej nigdy jej nie skończy, chociaż miejsce jest do tego idealne.

– Może wydadzą ją kiedyś pośmiertnie – dodał znużonym głosem.

– O czym jest?

– O wszystkim.

– Wszystkim?

– Tak. O miłości, smutku, szczęściu. O życiu, ale chyba jeszcze bardziej o śmierci.

– Brzmi bardzo enigmatycznie. Dasz mi ją kiedyś przeczytać?

– Przykro mi, ale nie. – Pokręcił głową, a ja próbowałam doszukać się w jego minie czegoś, co wskazywałoby, że żartuje. – Chyba że umrę.

– Przestań już z tym umieraniem – powiedziałam wesoło, a przynajmniej chciałam, żeby tak to zabrzmiało. Gdzieś w moim głosie czaiła się nuta rozdrażnienia, ale on mógł jej nie wyczuć. Nie chciałam myśleć o śmierci, nie tutaj i nie teraz, kiedy było mi tak przyjemnie. Atak paniki mogło wywołać każde niefortunne słowo, tak jak maleńki kamyk wywołuje lawinę.

Adam najwyraźniej miał silną potrzebę kierowania rozmowy w te najciemniejsze rejony, na szczęście udało mi się zmienić temat i zaczął opowiadać mi o swoich wyprawach w góry, nad jezioro, o robieniu różnych naparów leczniczych z roślin dostępnych w lesie. Mówił też o tym, jak robi zakupy, co spędzało nam wszystkim sen z powiek, zanim tu przyjechaliśmy. Rozwiązanie było prostsze, niż mogło się wydawać. Adam zamawiał wszystko online, kiedy tylko złapał zasięg na polanie, później paczki odbierał z parkingu i nosił je po kolei na górę. Nigdy nie dopłacał kurierom za targanie ich do domu, mimo że zawsze mu to proponowali. Nie chciał, żeby ktokolwiek się tu kręcił. Czemu wcześniej nie wpadliśmy na pomysł zakupów online, tylko obstawiliśmy same idiotyczne rozwiązania? Umysł w miejsce niewiadomych wstawia sobie najbardziej niestworzone obrazy, tymczasem rzeczywistość okazała się – jak to rzeczywistość – dość przyziemna i mało filmowa.

Potem zjedliśmy tartę. Byliśmy tak głodni, że dla reszty nie został ani kęs.

– Miało wystarczyć dla wszystkich – parsknął Adam, oblizując widelec z kruchego ciasta.

– To jest tak obłędnie pyszne – powiedziałam z pełnymi ustami, zamykając oczy i rozkoszując się smakiem borowików. Nigdy wcześniej nie jadłam czegoś podobnego. – Pisanie, gotowanie, zbieranie grzybów... Ile jeszcze masz ukrytych talentów?

Adam uśmiechnął się, przeżuując. Jego spojrzenie było coraz bardziej senne. Mnie też opadały powieki.

– Nie umiem już nic więcej, przysięgam. – Teatralnie przyłożył dłoń do piersi, a drugą, tę z widelcem, podniósł jak do ślubowania. Mówił wolno i trochę bełkotliwie.

Zerknęłam na zegar przy piekarniku. Dochodziła czwarta nad ranem. Rzeczywiście niebo zaczynało szarzeć. Boże, kiedy to zleciało?

Wcześniej chciałam iść spać, a teraz zrobiłabym wszystko, żeby ta noc się nie kończyła.

– Położę się na moment – powiedziałam, odkładając pusty talerz na blat wypy. – Potrzebuję tylko chwili regeneracji, żeby dalej rozmawiać.

Rzuciłam się na narożnik z głośnym westchnieniem. Ciepło po pysznym jedzeniu rozlało się po całym moim ciele. Zdążyłam tylko zarejestrować kątem oka, jak Adam sięga po jakiś koc, a potem poczułam miękkość tkaniny na stopach i łydkach.

Chwilę później zapadłam w głęboki, nietrzeźwy sen.

Brzęk uderzających o siebie sztuców. Świergot ptaków. Słumione rozmowy dochodzące gdzieś z daleka. Donośny śmiech Wenus. Potem Hanny. Okrzyki Robina, przerywane trajkotaniem dziewczyn. Irytujący dźwięk przesuwanego stolika. Zapach jajecznicy i pomidorów ze szczypiorkiem. Świeżo zmielonej kawy.

Dopiero to ostatnie sprawiło, że otworzyłam oczy. Mdłości walczyły we mnie z ssącym uczuciem głodu (jak to jest, że im więcej i później zjem przed snem, tym bardziej głodna się budzę, choć na co dzień niemal nie mam apetytu?). Chciało mi się pić. Oślepiły mnie promienie ostrego słońca wpadające do salonu. Leżałam na narożniku, przyklejona do jego tapicerki. Gdy próbowałam się podnieść, moja skóra oderwała się od kanapy z głośnym młaśnięciem; zabolalo prawie jak depilacja woskiem. Czułam lekkie zawroty głowy, serce waliło mi jak młotem.

– Kurwa... – Przyłożyłam dłoń do wilgotnego czoła. Klimatyzacja wciąż nie działała, a z otwartego tarasu bił tylko jeszcze większy gorąc. Na zewnątrz zanośliło się na upał stulecia.

Na stoliku kawowym leżała pełna popielniczka, na wyspie kuchennej pusta forma po tarcie i dwie butelki po winie.

A więc to nie był sen.

Wstałam, czując pustynię w ustach i coraz mocniej pulsujący ból w podbrzuszu. Szłam nieco niepewnym krokiem, aż wyjrzałam do ogrodu. Na pierwszy rzut oka nie zobaczyłam nic poza znajomą już ścianą drzew i kawałkiem czystego, bezchmurnego nieba. Dopiero po chwili, kiedy dźwięki rozmów zaczęły dobiegać do mnie z lewej strony, odwróciłam głowę i dostrzegłam fragment altany, której wczoraj nie zauważyłam, skrytej na uboczu. Boso, czując pod stopami palące kamyki, ruszyłam w tamtym kierunku.

Moim oczom ukazała się sporych rozmiarów altanka. Obok stał nieużywany grill. W środku, pod drewnianym dachem, siedzieli przy sporym stole Hanna, Wenus, Robin i Kostek. Tyłem do mnie, nakładając na czyjś talerz

jajecznicy prosto z patelni, stał Adam. Miał na sobie inną niż w nocy, ale wciąż lnianą koszulę z podwiniętymi rękawami i dżinsowe szorty.

Na mój widok wszyscy umilkli, urwały się śmiechy i pobrzękiwania towarzyszące jedzeniu. Przystanąłam, wsłuchując się w bicie własnego serca. Był to typowy przyspieszony puls na kacu, ale w tej sytuacji waliłoby nawet, gdybym nie wypila wczoraj ani kropli.

Adam, czując, że coś się zmieniło, odwrócił się w moją stronę. Uśmiech rozjaśnił mu twarz, a ja, zapominając o paskudnym samopoczuciu, odwzajemniłam go.

– Dzień dobry – powiedział. – Nie czekaliśmy na ciebie, bo...

– Bo wiedzieliśmy, że potrzebujesz odespać. – Hanna wyszczerzyła zęby, przesuając się gwałtownie i niemal zrzucając Wenus z drugiej strony ławki. – Siadaj.

– Uważaj, kobieto! – krzyknęła Wenus, przytrzymując się stołu.

Mijając Adama, musnęłam bezwiednie palcami jego plecy. Poczułam bijący od niego świeży, drzewny zapach żelu pod prysznic.

– Cześć. – Mój głos był zachrypnięty i musiałam odchrząknąć, co wywołało ogólną wesołość.

– No to mieliście niezły wieczorek zapoznawczy – rzucił radośnie Robin siedzący naprzeciwko. Na nosie miał złote okrągłe oprawki.

– Ty nosisz okulary?

– Na co dzień mam soczewki, ale tu muszę oszczędzać, bo zabrałem za mało – wymamrotał, jakby to było coś wstydlivego.

– Wyglądasz zajebiście – stwierdziła Wenus.

Zerknęłam na nią ze zdumieniem. Najwyraźniej się pogodzili.

– Nie musisz mi tego mówić. – Robin poprawił oprawki zalotnym gestem. – Ale nie zmieniaj tematu, Fio. Coście wczoraj narozrabiali?

Chciałam spojrzeć na Adama, który odłożył patelnię i usiadł przy stole, ale mój wzrok zatrzymał się na Kostku, wciśniętym między niego i Robina. Miał podkrążone oczy i jako jedyny się nie uśmiechał. Próbowałam wyczytać

cokolwiek z jego twarzy, ale nawet na mnie nie spojrział. Gapił się w swój talerz, grzebiąc widelcem w jajecznicy.

– Kostek, co z tobą? – spytałam.

Hanna od razu kopnęła mnie pod stołem.

– Znowu zmieniasz temat! – zawołała. – Opowiadaj, bo Adam nie chce puścić pary z ust. Chyba poznaliście się lepiej, niż to było konieczne, co?

Splonęłam rumieńcem, mając nadzieję, że nikt tego nie zauważy.

– Dajcie spokój – rzucił Adam. – Wy macie dużo tajemnic między sobą, a my możemy mieć jakieś z Fio, prawda? – Mrugnął do mnie, gdy uniosłam głowę. – Kawy?

– Boże, tak – jęknęłam, dziękując mu w duchu za opanowanie sytuacji. – Czuję się beznadziejnie.

– A to nowość – powiedziała Wenus z pełnymi ustami. – Wiesz co, gdybyś któregoś dnia czuła się dobrze, zaczęłabym się poważnie martwić. – Na dowód, że żartuje (choć miała świętą rację, każdy wiedział już, że jestem w naszej paczce główną hipochondryczką), wyciągnęła rękę przez Hannę, położyła mi na udzie i pogłaskała.

– Po irlandzku? – spytał Adam, sięgając po butelkę whisky, której wcześniej nie zauważyłam.

– Żartujesz? – Skrzywiłam się. – Wy pijecie?

– Jesteśmy na wakacjach życia. – Robin uniósł filiżankę kawy. Dopiero teraz dostrzegłam wypieki na jego policzkach. Chowały się pod warstwą dwudniowego jasnego zarostu. – Nie pierdol, tylko pij.

– Nie chcę. – Pokręciłam głową i nawet ten ruch wywołał zawroty. – Poproszę czarną kawę.

– Bardzo proszę. – Adam podał mi filiżankę. – *A damn fine cup of coffee.*

Aż zamrowiło mnie w stopach, kiedy usłyszałam cytát z ukochanego *Twin Peaks*, ale nie zdążyłam nic odpowiedzieć, bo Hanna zaczęła swój monolog:

– Słuchaj, budzimy się z Wenus dzisiaj po dziesiątej, patrzę na telefon i myślę: niemożliwe. Przespałyśmy pieprzone szesnaście godzin! Na poddaszu była taka sauna, że łało się z nas strumieniami. Patrzę, ciebie nie ma. Trochę się

przestraszyłam, ale potem pomyślałam, że pewnie jesteś u chłopaków. No to idę do nich, a ci też dopiero się budzą. Mieliśmy niezły timing. Potem poszliśmy wszyscy na wspólną kąpiel do wanny z hydromasażem...

– Chciałabyś – prychnęła Wenus, przegryzając pomidora. Malinowy miąższ trysnął na talerz. – O rany, obrzydliwe.

– No dobra, ja poszłam się wykąpać, a reszta zaraz po mnie. – Hanna przewróciła oczami. – Chciałam dodać tej historii odrobiny pikanterii, bo pewnie u was było jej sporo.

Westchnęłam, sięgając po pieczywo. Znów zerknęłam na Kostka, który zdawał się w ogóle nie słuchać, ale przynajmniej powoli zaczął jeść.

– No i schodzimy wreszcie na dół, a tu Adam pali sobie w ogrodzie, ty leżysz cała w negliżu na kanapie...

– W jakim negliżu? – przerwałam jej, krzywiąc się. Posmarowałam bułkę masłem. – Co ty wygadujesz?

– Dobra, widać ci było tylko kawałek majtek. Dostałam zawału, jak zobaczyłam tego typu. – Wycelowła w Adama palcem, uśmiechając się szeroko. On też uśmiechnął się pod nosem, popijając kawę. – Wrzesczę do niego: „Kurwa, ty żyjesz?!”. A on tylko spokojnie odpowiada, że w sumie to nie był pewny, ale skoro tu jesteśmy, to chyba tak. Czaisz?

Cały Adam. Poczułam jakieś świdrujące poczucie wyższości, przewagi o tę parę spędzonych z nim sam na sam godzin.

Mogłam już myśleć o nim w ten sposób: cały Adam.

Nieświadomie przygryzłam wargę, nim wzięłam spory łyk kawy. Okazała się mocna i dobra w ten obrzydliwy, dający popalić, a jednocześnie przynoszący gorzką satysfakcję sposób. Niemal od razu poczułam się lepiej.

– No i nasz Adam wybaczył nam wtargnięcie, a nawet zaproponował śniadanie. Z Kostkiem padli sobie w braterskie objęcia, a resztę już znasz. Ominęło cię tylko żmudne przedstawianie się i opowiadanie o swoich pasjach.

Kostek przeżuwał beznamiętnie jajecznicę, ale na chwilę spojrzął na Hannę.

Jednak słuchał.

– Dobra, trochę przesadziłam z tymi objęciami, wiem. – Uniosła rękę w obronnym geście. – W każdym razie było to całkiem wzruszające.

Adam odchrząknął, odkładając z łoskotem filiżankę. Trochę kawy rozlało się na stół, tuż obok talerza Kostka. Kostek sięgnął po serwetkę i zaczął flegmatycznie wycierać plamy.

– Przepraszam – wymamrotał Adam. – Obląłem cię?

Kostek pokręcił tylko głową, dalej wpatrując się w stół.

– Ej, co się dzieje? – zapytałam odrobinę głośniejszym głosem, niż planowałam. – Powiesz wreszcie czy znów będziesz czekał parę lat, żeby wyjaśnić, o co ci chodzi?

Zapadła cisza. Tylko las żył już pełnią życia, jego dźwięki dobiegały do altany ze wszystkich stron.

– Nic się nie dzieje. – Kostek spojrzał mi prosto w oczy. – Ty czujesz się beznadziejnie po nieprzespanej, pełnej wrażeń nocy, a ja po zbyt długim śnie na dusznym poddaszu. Nie musisz wszędzie szukać niedopowiedzeń. Boli. Mnie. Głowa. – Ostatnie słowa dosłownie wycedził, akcentując przesadnie pauzy między nimi.

Przełknęłam ślinę. Na szczęście szybko spuścił wzrok, z powrotem skupiając się na dłubaniu w jajecznicy. Czy naprawdę wyczułam w jego głosie nutę zazdrości? Nie, to nie mogła być prawda.

Zerknęłam na Adama, który patrzył na mnie z troską. Nie wiedziałam, czy bardziej jest mi przykro, czy wreszcie, pierwszy raz, odkąd zadaję się z nimi, czuję się po prostu widzialna. Wywołująca jakiegokolwiek emocje u innych.

Nieobojętna.

– Mam na górze aspirynę, chcesz? – zwróciłam się do Kostka mimo rozgoryczenia, starając się przybrać swobodny ton.

Skinął niechętnie głową. Patrzyłam na niego z pełną oczekiwania miną, licząc na choćby minimalny grymas. I chyba dostrzegłam ledwo zauważalny cień półuśmiechu.

– Zaraz po nią pójde – dodałam.

– Ale jesteście pospinani – westchnęła głośno Wenus. – Ja piję sobie pyszną kawkę z whisky w samo południe, wiem, że nigdzie nie muszę iść, nie muszę zakuwać pieprzonego modernizmu i mogę przeleżeć cały dzień w altanie, w wannie, w bibliotece, gdzie tylko chcę.

– Pierwszy raz ktoś nazwał mój salon biblioteką – powiedział Adam, patrząc na nią z wdzięcznością. – To najpiękniejsze, co usłyszałem dzisiejszego dnia.

– Poza powitaniem Kostka – mruknęła Hanna, przelżykając kawę.

– Tak, poza tym. – Adam pokiwał głową z pobjażaniem, znów zerkając na mnie i ukradkiem przewracając oczami.

Uśmiechnęłam się do niego szeroko.

– Czyli nic dzisiaj nie robimy? – upewnił się Robin, ściągając okulary i wycierając szkła o podkoszulek. Wciąż nie mogłam się przyzwyczaić do tego widoku.

– Błagam, nie planujmy nic na zapas – jęknęła Wenus. – Marzę o braku presji. Proszę, proszę, proszę.

– Dobra, spokojnie.

– Ja myślę, że spacer nad jezioro dobrze by wam zrobił – rzucił Adam. – Możecie tam sobie leżeć do woli, ale w taki upał jak dzisiaj...

– I pewnie przez całe lato – wtrącił Robin.

– ...tak, w taki upał jezioro jest jedynym wytchnieniem, zaufajcie mi.

Wenus schowała twarz w dłoniach, ale już po chwili się rozpromieniła.

– Nie no, dobra, nie mogę się z tobą nie zgodzić. Idziemy.

Uniosłam brwi i wymieniliśmy z Hanną ostentacyjne spojrzenia. Przekonanie Wenus do czegokolwiek, co kłóciło się z jej wizją, granoczyło z cudem. Zazwyczaj chodziła potem obrażona przez parę godzin, w najlepszym wypadku zgryźliwa. Rzadko kiedy udawało się ją skłonić do zmiany zdania, a w tak krótkim czasie – dosłownie jednym argumentem – nigdy.

– No i to mi się podoba. – Robin obdarzył Wenus uśmiechem, jakiego także na próżno było szukać u niego na co dzień.

Czy oni wszyscy się czegoś nałykali? A może właśnie tak działały na ludzi wyjazdy i związana z nimi zmiana otoczenia? Zaczynałam się utwierdzać w przekonaniu, że był to absolutnie najlepszy pomysł.

Nawet Kostek trochę się rozchmurzył.

– Dolejesz mi jeszcze kawy? – poprosił Adama.

Adam uniósł dzbanek, a drugą ręką złapał za butelkę whisky i spojrzał na Kostka pytająco. Ten skinął głową z wymuszonym uśmiechem.

– To pewnie jedyny czas w moim życiu, kiedy mogę pić od rana bez wyrzutów sumienia. – Wzruszył ramionami.

Adam dolał szczodłą porcję whisky do filiżanki Kostka.

– Ja w tym czasie spróbuję naprawić klimatyzację.

– Nie idziesz z nami? – Zaskoczył mnie pełen rozczarowania ton, jakim zadałam to pytanie. Aż zakłuło mnie w mostku.

– Może później dołączę. – Adam się uśmiechnął. – Lepiej, żebyście wrócili do chłodnego domu, uwierz mi. Nie wyobrażam sobie egzystować w takim skwarze.

– Super, będziesz naszym bohaterem. – Hanna złączyła dłonie jak do modlitwy. – Właściwie już nim jesteś!

– To się jeszcze okaże. Proponuję wznieść toast, z niektórymi już kolejny... – Zerknął na mnie i znów poczułam się wyjątkowa. – Cóż, za wakacje waszego życia!

– Waszego? – Wenus uniosła swoją filiżankę. – Uważasz, że jesteśmy za nudni i nie możemy ci zafundować najlepszych wakacji twojego życia?

– Tego nie powiedziałem. – Adam pokręcił głową. – Masz absolutną rację. Za wakacje naszego życia!

Wenus uwielbiała mieć rację. Uwielbiała też, gdy ktoś jej ją przyznawał. Na jej twarz natychmiast wypłynął dziecięcy rumieniec ekscytacji.

Wzięliśmy po solidnym łyku, po którym ja poczułam jedynie dreszcz wywołany kofeiną.

I może czymś jeszcze.

Gdy tak siedzieliśmy, Hanna zaczęła namawiać Kostka na zabranie pontonu, a Wenus przechylała się ponad stołem, majstrując coś przy okularach Robina, rozejrzałam się po nich wszystkich i dostrzegłam na sobie pogodny wzrok spod niesfornych kosmyków.

– Lepiej? – zapytał Adam, wskazując podbródkiem na moją filiżankę.

– Tak, ale twoje słowa o tym, nie masz więcej talentów, okazały się wierutnym kłamstwem. Robisz genialną kawę.

– A może zaliczymy to po prostu do gotowania? – Skrzywił się z udawaną skruchą.

– No nie wiem, nie wiem... – Pokręciłam głową, czując coraz mniejsze zawroty, coraz mniejsze mdłości i coraz mniejszą niewidzialność.

Przypomniałam sobie rozmowę na wzgórzu przy naszym liceum tuż po odebraniu wyników matury. Coś się zmieniło od tamtej pory.

Nie byłam już kołem zapasowym.



Nie powinno się wchodzić do wody po alkoholu – powiedziałam do Wenus, która zdjęła szorty i top, żeby do mnie dołączyć.

– Jesteś typową zrzedą, która psuje każdą zabawę – jęknęła, przeskakując po nagranych od słońca kamieniach. – Tylko tu przysiądę, żeby się ochłodzić.

Przyjrzałam się jej. Byłam z niej dumna. Jeszcze parę tygodni temu nie rozebrałaby się przy nas. Dziś miała na sobie dwuczęściowy butelkowitzelony strój kąpielowy w retro groszki. Obfity biust niemal wylewał się z miseczek, czego oczywiście skrycie jej zazdrościłam. Gdzieś tam na śniadej skórze dostrzegłam rozdrapane ukąszenia po komarach.

– Posmarujesz mnie? – Robin podszedł do nas i podał Wenus tubkę kremu z filtrem.

– Musisz usiąść, bo nie dosięgnę – rzuciła, a kiedy kucnął, zaczęła kolistymi ruchami rozcierać balsam na jego szerokich plecach.

Egzotyczny zapach rozniósł się nad wodą.

– Dzięki. – Robin cmoknął powietrze i wyszedł z wody.

– Hej, a co ze mną?! – krzyknęła za nim Wenus. – Fio ma mi to zrobić?!

Udałam oburzoną, ale w duchu byłam zadowolona. Im mniej kłótni między nimi, tym lepiej dla wszystkich.

Robin zawrócił, przewracając oczami.

Po rytuale wzajemnego smarowania się Wenus zaległa tuż przy brzegu, obok moich stóp.

– Jak dobrze. – Głośno wypuściła powietrze z płuc i zamknęła oczy. Jej ciało do połowy zanurzone było w chłodnej wodzie. – Idziesz popływać?

– Chyba tak.

Zerknęłam na kamienisty brzeg, gdzie w cieniu skały spoczywała Hanna z Kostkiem. Jej smukłe blade ciało, krągłejsze tylko w biodrach, pośladkach i piersiach, leżało rozpostarte na dużym ręczniku. Kostek siedział na krawędzi ręcznika, oparty o skalistą ścianę, i czytał książkę. Jak zwykle żuł jakieś

źdźbło. Robin robił pompki niedaleko nich, zapewne rozgrzewając się przed pływaniem.

Słońce nad nami było niczym ogromna lampa, nie pozwalało na chwilę wytchnienia. Jednym ratunkiem było jezioro i drzewa oraz skały dające cień. Byłam przyzwyczajona raczej do piaszczystych plaż w takich miejscach; tu panowały warunki zbliżone do tych nad naszym Cudem. Wszędzie tylko trawa, kamienie i drzewa. Żałowałam, że w pobliżu nie ma kawałka równej powierzchni, na której można by się płasko rozłożyć i opałać, bez kamieni wbijających się w ciało nawet przez ręcznik.

Ledwo o tym pomyślałam, dostrzegłam pomost, nieco dalej przy brzegu. Mocno porośnięty trzcinią z obu stron, w samym słońcu, stanowił idealne miejsce do wygrzewania się po kąpieli.

– Patrzcie! – Pokazałam palcem. – Idziemy tam?

Wenus i reszta wychylili głowy za ruchem mojej ręki.

– Może jak słońce trochę się przemieści i będzie tam więcej cienia? – Hanna odwróciła się na brzuch, jej wystające pośladki z odbitymi na skórze śladami ręcznika wypięły się w stronę nieba.

Widziałam nawet stąd, że Kostek obrzucił je długim spojrzeniem.

– Ja się tam przepłynę – postanowiłam i powoli zaczęłam zanurzać się w wodzie. Chłodna obręcz zaciskała się na mnie coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie linia jeziora sięgnęła mojej szyi.

Wybiłam się stopami od gruntu i popłynęłam w stronę pomostu. Objawy kaca ustępowały, jakby woda obmywała z nich całe moje ciało. Ważka ze szmaragdowym odwłokiem przeleciała tuż obok, zupełnie bezgłośnie. Jedyne powietrze dookoła zdawało się wibrować. Woda pachniała mułem i siarką, była dość mętna, o turkusowym odcieniu.

Kiedy dopłynęłam do celu, wdrapałam się na kładkę, wkładając w to całą siłę ramion. Wreszcie opadłam na zmurszałe drewno i ociekając wodą, odwróciłam się na brzuch, żeby spojrzeć z daleka na miejsce, w którym się rozłożyliśmy. Wszyscy byli teraz mali, zupełnie jak figurki w domku dla lalek. Znowu pomyślałam, że to tak bardzo nierzeczywiste – fakt, że jestem tu z nimi. Że moje życie przez ostatnie trzy lata uległo tak dużej zmianie.

Przypomniałam sobie, jak to było być samą, jedynie obserwować ludzi z daleka – dokładnie tak, jak robiłam teraz. Przed nimi (bo tak nazywałam okres swojego życia przed poznaniem Wielkiej Czwórki) spędzałam czas głównie w domu. Dopóki żyła mama, niekiedy wyjeżdżaliśmy na rodzinne wyjazdy, ale to wszystko. Skłamałabym, mówiąc, że po jej śmierci straciłam swoje życie towarzyskie.

Ja nigdy nie miałam życia towarzyskiego.

Pisałam wiersze, czytałam horrory i dużo spacerowałam, słuchając podcastów kryminalnych i muzyki. Nic innego nie miało dla mnie znaczenia. To było coś, do czego uciekałam za każdym razem, kiedy ludzie mnie zawodzili.

Nie byłam szkolnym popychadłem.

Nikt mnie nie wyzywał.

Nikt nie wytykał mnie palcem.

Nikt mnie nie widział.

Czasami marzyłam, żeby ktoś rzucił w moją stronę jakiś wredny żart. Mogłabym wtedy uśmiechnąć się szyderczo i poczuć jak bohaterka serialu. Tymczasem nikt nie zwracał na mnie większej uwagi, chyba że trzeba było pożyczyć długopis albo zapytać o termin sprawdzianu, bo ktoś nie dosłyszał słów nauczyciela.

Byłam nijaka, niewidzialna, mdła i letnia. Nie istniał powód, dla którego ktokolwiek chciałby ze mną przebywać. Dlatego tak trudno było mi uwierzyć, kiedy nagle, w drugiej klasie liceum, ni stąd, ni zowąd, podeszła do mnie Hanna.

Oczywiście kojarzyłam ją i całą Wielką Czwórkę. W naszym liceum nie byli żadną wyjątkową elitą, bo takich grupek utworzyło się przez pierwszy rok o wiele więcej. Wszystkie dobrze się ubierały, przyciągały uwagę. Wielka Czwórka była po prostu jedną z nich.

Hanna podeszła do mnie, kiedy jadłam kanapkę, siedząc na ławce rezerwowych podczas WF-u. Nie ćwiczyłam przez okres, co było mi bardzo na rękę.

– Mogę tu usiąść? – spytały jej usta pociągnięte lśniąca warstwą błyszcząca z drobinkami. Mieniły się w słońcu wpadającym przez okna sali gimnastycznej jak małe diamentki.

– Jasne – odpowiedziałam, cały czas przeżuując, przez co zrobiło mi się głupio i poczerwieniałam.

Mimo że miała mnóstwo miejsca – ławki ciągnęły się przez całą długość sali i nie było na nich nikogo – usadowiła się tuż obok mnie. Wyciągnęła z kieszeni mundurka telefon i przeciągle westchnęła. Oparła plecy o ścianę i zaczęła scrollować jakąś konwersację z Messengera, trochę roztrzęsiona. Nie mogłam się powstrzymać i wiedząc, że zasłaniają mnie włosy, zerknęłam na jej smartfona.

Zobaczyłam nazwę grupy prowadzącej rozmowę i niemal parsknęłam.

STOWARZYSZENIE UMARŁYCH PETÓW.

Dobre.

Już nakreśliło mi to klimat panujący w tej paczce – intelektualne nawiązania w zwyczajnych rozmowach, ciągłe palenie papierosów, zapewne jakiś związek ze sztuką, choćby luźny, swego rodzaju dekadentyzm i zblazowanie.

Jak miało się okazać, niewiele się pomyliłam, choć wszystkie te cechy prezentował wyłącznie Kostek.

Kostek, który każdą wolną chwilę przeznaczal na doksztalcanie swoich przyjaciół, żeby lepiej wpasowali się w jego gust i poczucie estetyki.

– No nie... – jęknęła wtedy Hanna, podkurczając nogi w półprzezroczystych rajstopach z wzorkami. – Żartujecie?

Nie wiedziałam, czy powinnam zareagować. Gdy skończyłam jeść, zwinęłam papier śniadaniowy w kulkę i wepchnęłam go do kieszeni. Ponownie zerknęłam na ekran jej telefonu. Ktoś w najnowszej wiadomości konwersacji napisał caps lockiem:

PRZESTAŃ SIĘ NAKRĘCAĆ I WRACAJ.

Dopiero potem miałam się dowiedzieć, że to Wenus. Pokłócili się, Hanna przybiegła na salę gimnastyczną, a reszta czekała na nią na dziedzińcu. Mieli uciec z historii i wyrwać się nad Cud, ale Hannie z jakiegoś powodu to nie pasowało.

Otworzyłam usta, żeby jednak o coś zapytać, bo zaczęła chlipać, ale zanim to zrobiłam, potok słów wylał się z niej samoistnie. Mówiła, mówiła i mówiła, aż zaterkotał dzwonek, a my bezwiednie ruszyliśmy wzdłuż korytarzy, żeby wyjść na zewnątrz. Nim się zorientowałam, stałam przed naburmuszonymi przyjaciółmi Hanny, a ona odetchnęła głęboko i z rozmazanym dookoła oczu tuszem uśmiechnęła się przez łzy.

– To jest Zofia – powiedziała. – Ona mnie rozumie.

Nie zdążyłam wtedy nic powiedzieć, po prostu postawiona przed tym faktem, który zmusił mnie do skinięcia głową. Od tej pory zupełnie naturalnie uznawali mnie za część swojej grupy, czego do dziś nie pojmuję.

Myślę, że lubią mnie tak bardzo, bo myślą o mnie jak o lustrze. Zwierciadło, które samo w sobie jest niczym i nic w nim nie widać, ale gdy przed nim stanąć, można się w nim przejrzeć.

Wróciłam myślami do rzeczywistości – do pomostu, na którym leżałam i który zaczął parzyć mi skórę. Z głową wychyloną poza jego krawędź spojrzałam w taflę jeziora na swoje odbicie.

A potem powoli i ociężale odwróciłam się na plecy, nasłuchując. Woda uderzała o drewniane pale z przyjemnym chłupotem. Gdzieś w szuwarach kotłowały się jakieś płazy, wydając przy tym dźwięki jak nie z tego świata.

To był nasz pierwszy dzień tutaj, ja a już myślałam o tym, że nie chcę wracać. Jeszcze nie zdążyłam nacieszyć się przyjaźnią, a okazało się, że zaraz muszę się żegnać.

Powrót do samotności wydawał mi się o wiele trudniejszy niż dawna samotność.

Adam dołączył do nas po kilku godzinach. Miałam spalone plecy, odpoczywałam więc w wodzie, Robin spał po przepłynięciu całego jeziora wzdłuż i wszerz, Hanna wciąż chowała się przed promieniami, pielęgnując

bladość skóry, a Wenus i Kostek rozwiązywali wspólnie krzyżówkę, sącząc herbatę mrożoną z termosu.

– Przyniosłem trochę kanapek – rzucił Adam, kładąc pod skałą duży wiklinowy kosz.

Rzuciliśmy się na jedzenie niczym dzieci po całym dniu spędzonym na plaży. Nawet Robin obudził się na dźwięk rozpakowywania papieru śniadaniowego.

– To nazywasz kanapkami? – zapytała Hanna. – Jeśli tak, powinna być jakaś bardziej prymitywna nazwa opisująca chleb z... czymkolwiek.

Ciężko było się nie zgodzić. W papierze były maślane bułeczki o lśniącej skórce (zapewne Adam sam je upiekł) z żółtym serem i podsmażonymi pieczarkami, a to wszystko obficie posypane szczypiorkiem, z kroplą octu balsamicznego.

Brałam wielkie kęsy, nie potrafiąc się powstrzymać. Mój apetyt tutaj mnie zadziwiał, na co dzień nie potrafiłam wmusić w siebie w całości żadnego posiłku.


Adam nie pływał, puścił tylko parę kaczek po nieruchomej tafli jeziora. Wkrótce zarzuciliśmy na plecy ręczniki i ruszyliśmy w stronę Domku z Drewna i Szklą.

Całą drogę szedł przodem razem z Kostkiem. Rozmawiali o czymś bez cienia napięcia, które wcześniej wisiało między nimi. Kostek wydawał się wyluzowany i pijany słońcem.

Truchtałam za grupą na samym końcu, a Adam co jakiś czas odwracał się w moją stronę i sprawdzał, czy jestem.

Byłam.



 proponuję zagrać w jakąś grę, żeby się lepiej poznać – powiedziała Hanna, spryskując odsonięte ręce sprayem na komary. W powietrze wzbija się chmurka o ostrym zapachu olejków eterycznych; wyczułam nutę mięty i wanilii.

– Nie znoszę tych wszystkich gier towarzyskich. – Kostek przewrócił oczami.

– Nie masz jakichś planszówek, Adam? – zapytał Robin.

Adam przełknął ostatni kęs grillowanej cukinii i pokręcił głową.

– Niestety, mam tu same książki. Granie w pojedynkę w planszówki jest dość dołujące.

Kostek niespodziewanie się roześmiał.

– Ale przecież graliśmy kiedyś w warcaby, pamiętasz?

– Tak, a twój ojciec kłócił się ze mną o zasady, które sam wymyślił.

– Pomieszało mu się z szachami. – Kostek machnął ręką.

– To wyciągaj te warcaby – rzucił Robin, popijając piwo z puszki. – Dobre i to.

– A co z naszym wieczorkiem zapoznawczym? – Wenus zrobiła przesadnie smutną minę. Mimo parnego wieczoru siedziała z bluzą narzuconą na ramiona, które spaliła dzisiaj na słońcu. – Zagrajmy w Nigdy przynigdy!

– O nieee... – Kostek schował twarz w dłoniach. – To jest tak kretyńskie.

– Dla ciebie wszystko jest kretyńskie – rzuciła Wenus. – Zawsze możesz używać przykładów typu „Nigdy nie przeczytałem horroru klasy B”; „Nigdy nie oglądałem durnej komedii romantycznej”; „Nigdy nikt nie zobaczył mnie z czasopismem popula...”.

– Dobrze, wszyscy zrozumieli. – Uniósł ręce w obronnym geście, chociaż w jego głosie słychać było rozdrażnienie.

Adam zaniósł się śmiechem.

– Rzeczywiście, brzmi jak cały ty – powiedział, odkładając pusty talerz na stos innych.

– Ciekawe, kto mnie tego nauczył – wypalił Kostek.

– Wyolbrzymiłeś wszystko, co ci opowiadałem, i przerobiłeś na swój sposób.

– Ach, tak?

– Nie jestem tak radykalny, a nawet jeśli takie sprawiam wrażenie, zawsze akceptuję wybory innych.

– Czyżby?

– Czy kiedykolwiek cię zawstydziłem, jeśli chodziło o tytuły, po które sięgałeś?

– No nie, ale czytamy i oglądamy podobne rzeczy.

– Boże. – Adam otworzył teatralnie usta, rozbawiony. – Ty naprawdę nie pamiętasz, jak pierwszy raz byłem w twoim pokoju i pokazywałeś mi kolekcję swoich komiksów?

Panował półmrok (tylko ciepłe światło małych latarenek tuż obok altany padało miękko na nasze twarze), ale i tak widać było, że Kostek poczerwieniał.

– Kiedy to było...

– Nieważne kiedy! Każdy może czytać, co chce. Albo nie czytać wcale.

– Nie wydaje mi się, żebyś naprawdę tak myślał – burknął Kostek.

Nasze spojrzenia nad stołem się spotkały i posłałam mu pełen satysfakcji uśmiech.

– Dobra, moi drodzy, zacznijmy grę, a wyjdą ciekawsze brudy niż czytanie komiksów. – Hanna uniosła spray na komary. – Chce ktoś?

Wszyscy po kolei użyliśmy aerozolu, aż cały wysikaliśmy. Powietrze wibrowało od owadów.

– To kto zaczyna? – spytałam.

– Najlepiej najstarszy, czyli nasz gospodarz – powiedziała Wenus, klaszcząc w dłonie.

– Czy przypadkiem nie zaczyna się od najmłodszej osoby? – Adam zmarszczył brwi, rzucając mi rozbawione spojrzenie.

Pokręciłam głową.

– Na pewno nie.

Nikt z nas nie miał pojęcia, kto powinien zacząć.

– No dobra. – Adam rozłożył ręce. – Czekajcie, jak to było? Mówię „Nigdy nie...” w przypadku rzeczy, których naprawdę nie robiłem, i co dalej?

– Rozgrywający może mówić prawdę lub kłamać, ale reszta musi być stuprocentowo szczerą – wyjaśniła Hanna z pełną powagą. – Ten, kto zrobił kiedykolwiek to, o czym powiesz, pije łyk alkoholu.

– I tyle?

– Tyle. A co byś chciał?

– Kto wygrywa? – wtrącił się Kostek. – Może nie grajmy na picie, tylko na punkty.

– Daj spokój. – Tym razem Robin przewrócił oczami. – Nie po to przyjechałem na to zadupie, żeby grać w gry na punkty, popijając herbatę. – Gdy zauważył spojrzenie Adama, zreflektował się. – Sorry za to „zadupie”, wiesz, że tu jest zajebiście. Taki skrót myślowy.

Kostek westchnął.

– Dobra, ja zacznę. Chcę to mieć za sobą.

Spojrzał w atramentową ciemność skłębioną w lesie i zaczął się bawić papierosem. Zastanawiał się jeszcze przez chwilę, po czym zdecydowanym ruchem sięgnął po zapalniczkę leżącą między nimi.

– Nigdy nie miałem nikogo na jedną noc.

Piwo wystrzeliło z ust Wenus z donośnym parsknięciem, rozpylając drobne kropelki w powietrzu.

– Fuj! – wrzasnął Robin. – Co ty robisz?! I dlaczego pijesz, zanim padnie pytanie?

Odsunął się od niej, a ona próbowała przestać się śmiać. Serwetką wytarła krople piwa ze stołu, jej ramiona unosiły się i opadały.

– Zapomniałam, że pije się dopiero później. – Pokręciła głową, ocierając łzę, która spłynęła jej po policzku. – Kostek po prostu mnie rozbawił.

Adam uniósł swoją szklaneczkę whisky do ust i napił się, Robin podobnie. Wenus ostentacyjnie wychyliła ogromny łyk piwa, przełykając je głośno. Zerknęłam na Hannę niepewnie.

– Nie pijesz? – szepnęłam, a ona zacisnęła wargi w dziwny sposób.

– Jak widać. – Wzruszyła ramionami i wbiła wzrok w swoją puszkę.

Poczułam się nieswojo, gdy Kostek patrzył na mnie z oczekiwaniem, zaciągając się papierosem. Obok niego Adam także odpalał swojego. Wyglądali tak filmowo, że na chwilę zamarłam w bezruchu, próbując zapisać ten kadr w głowie.

Nie zrobiłam zupełnie nic. Ścisnęłam tylko mocniej puszkę z owocowym piwem bezalkoholowym (wciąż trzymał mnie delikatny kac).

– Okej, czyli lecimy dalej? – zapytał Kostek niewzruszonym tonem.

– Czekaście, czekajcie! – Wenus uniosła dłoń. Wciąż pokastywała. – Może rozwiemy swoje odpowiedzi? Z kim ty niby spędziłeś jakąkolwiek noc? – rzuciła do Robina i zrozumiałam, że musiała wypić za dużo. Na trzeźwo nigdy nie zapytałaby go o coś takiego.

– Nie twoja sprawa – odburknął, poprawiając okulary, w których odbijało się światło latarenek. – A ty niby z kim?

– Też nie twoja sprawa – wypaliła, od razu zmieniając ton na oschły. Przyłożyła dłoń do spoconego czoła. – Rzeczywiście, same „tak” albo „nie” wszystkim wystarczą.

– Zgadza się – powiedziała Hanna odrobinę za szybko. Ponownie na nią spojrzałam. Bardzo nietypowo zareagowała na temat, który zawsze wzbudzał w niej największe emocje. Byłam przekonana, że uraczy nas pikantnymi historiami, tymczasem ona uniosła rękę, chcąc go zakończyć. – Mogę teraz? – Nie czekając na odpowiedź, zmrużyła oczy, jakby chciała podsyć atmosferę. Zaczęła bardzo powoli: – Nigdy nieeee... – przesunęła spojrzeniem po naszych twarzach – uciekłam z domu.

Rozległ się przeciągły jęk, jakby większość rozczarowało to stwierdzenie. Tym razem napili się wszyscy poza Wenus, która otworzyła kolejną puszkę i postawiła ją przed sobą.

– Czy ucieczka ze szkoły się liczy? – zapytała.

– Nie – uciął Kostek. – Ucieczka z domu, jak sama nazwa wskazuje...

– Dobrze, Kostek, pojęłam. Teraz ja.

Wenus wreszcie zrzuciła z ramion bluzę. Miała na twarzy wypieki, które dodawały jej oczom niezdrowego blasku.

– Nigdy nie posikałam się ze śmiechu – powiedziała.

Nikt nie wykonał żadnego ruchu, jedynie Kostek zgasił papierosa. Adam zrobił to chwilę po nim.

– Serio? – jęknęła Wenus, wyraźnie rozczarowana. – Jesteście tacy nudni.

– Przepraszam, że nigdy się nie zlałem w gacie, naprawdę – oświadczył Robin, przybierając skruszoną minę. – Za to ty chyba nie raz. Pijesz, droga damo.

– Dlaczego? – oburzyła się. – Nie wiesz, czy to zrobiłam!

– Ale kiedy nikt inny nie pije, rozgrywający już tak, niezależnie od tego, jaka jest prawda – wyjaśniła Hanna.

Wenus wymamrotała coś niezrozumiale i wzięła kolejny, długi łyk.

– Może weź sobie bezalkoholowe, co? – zasugerował Robin. – Wyglądasz, jakbyś...

– Jakbym piła z bandą nudziarzy? Czyli wyglądam tak, jak się czuję.

– Może rzeczywiście powinnaś... – zaczęłam, widząc, jak jej oczy zachodzą szklaną powłoką. Nie dokończyłam jednak, bo zgromiła mnie spojrzeniem. Wenus miała jeszcze słabszą głowę niż ja, potrafiła upić się dwoma piwami, ale zdecydowanie nie znała swoich granic. Nie żebym ja była jakąś ekspertką w tej dziedzinie. Po prostu się martwiłam, że powie za dużo i rano będzie płakać w poduszkę.

– Teraz ty. – Wbiła palec wskazujący w pierś Robina, który westchnął i schował jej dłoń w swoich.

– Już dobrze, dobrze – powiedział zaskakująco łagodnie. – No to może... Nigdy nie całowałem się z kimś w wannie z hydromasażem?

Wenus potrząsnęła głową.

– Ty jesteś głupi, naprawdę.

– Po prostu nie chciałem, żebyś musiała więcej pić. – Wzruszył ramionami, szczerząc się.

Adam zerknął na mnie, jakby oczekiwał, że coś zrobię, po czym przyłożył szklankę do ust. Uniosłam bezwiednie brwi, usiłując się uśmiechnąć. Chyba nie do końca mi to wyszło, zwłaszcza że chwilę później Kostek też pociągnął łyk.

– Jacuzzi się liczy? – zapytał tuż po tym.

– A to nie to samo? – spytałam, próbując udawać, że nie robi to na mnie żadnego wrażenia. – I tak już za późno.

– Kurwa, widzę, że niezłe imprezy się tu odbywały – zauważyła Hanna. – Ja znów nic. Nuda. Teraz czas na ciebie, Fio.

Odchrząknęłam, wciąż nie mogąc zebrać myśli. Może jednak mogłam się napić; gra przy zachowaniu pełnej trzeźwości umysłu sprawiała mi wyraźny dyskomfort, a nie chciałam psuć nikomu zabawy i rezygnować. Długo myślałam nad swoim zdaniem, chcąc się dowiedzieć czegoś ciekawego o moich przyjaciółkach, ale właśnie teraz miałam pustkę w głowie.

Jak zawsze.

– Nigdy nie brałam żadnych narkotyków, twardych ani miękkich – powiedziałam zgodnie z prawdą. Miałam nadzieję, że chociaż się zawahają, ale wszyscy naraz unieśli swoje napoje, doprowadzając mnie do głębokiego westchnienia. – Tym razem samotnie jestem nudziarą.

– Nie musiałaś się przyznawać. – Hanna poklepała mnie po ramieniu. – Żarcik, Fio. Jesteś chodzącym niewiniątkiem, a to jest najbardziej hot.

– Jasne. – Pokiwałam głową. – Teraz Adam.

Uśmiechnęłam się do niego zachęcająco, a on z pewnym ociąganiem zapalił kolejnego papierosa. T-shirt opinał jego tors, tak że widziałam każdy ruch mięśni na klatce piersiowej.

– Zaczynaj! – ponagliła go Wenus.

– Nigdy nie zabiłem człowieka.

Cisza zawisła między nami jak ciężka zasłona, a powietrze zgęstniało, tak że dałoby się zapewne rysować po nim wzory czymś ostrym. Zauważyłam, że Hanna ścisnęła swoją puszkę piwa odrobinę za mocno, a Kostek wziął głęboki wdech, starając się zrobić to zupełnie bezgłośnie.

– I co teraz? – spytał Adam, uśmiechając się nieporadnie. – Mam się napić?

– Jeżeli kogoś zabięś, to tak – powiedziała Wenus, chichocząc nerwowo. – Albo jeśli żadne z nas się nie napije. Jak już powiedzieliście wcześniej, rozgrywający i tak musi się napić.

Widząc, że wciąż tkwimy w bezruchu, Adam uniósł swoją szklankę z whisky i wypił duszkiem bursztynową zawartość. Kostki lodu pobrzękiwały o siebie, a ja poczułam, jakby ktoś wrzucił mi je za koszulkę i przesunął nimi po kręgosłupie.

– Kto teraz? – zapytał wesoło.

Rozejrzeliśmy się po sobie.

– Może jednak zagramy w coś innego – rzuciła Hanna. – Strasznie drętwe wychodzą nam te pytania. Jestem za grą w butelkę.

– A może po prostu, kurwa, porozmawiamy? – Wenus głośno czknęła. Widziałam, że Robin jednym palcem próbuje odsunąć od niej piwo. – Adam, z czego ty się tu właściwie utrzymujesz? Cały czas się nad tym zastanawialiśmy, non stop kminiliśmy, a Kostek traktuje cię jak jakiegoś boga i nic nie dał powiedzieć na...

– Co ty pieprzysz? – Kostek z łoskotem odłożył swoją szklankę na drewniany stół. Spojrzał na Wenus gniewnym wzrokiem. – Nie chcesz przypadkiem iść już spać?

– Nie będziesz mi mówić, co mam robić! – wypaliła, wypluwając przy tym kropelki śliny, widoczne w smudze światła. – Jestem na wakacjach.

– To nie psuj tych wakacji innym, dobrze?

Ja, Hanna i Robin milczeliśmy. Zagryzłam wargi, zerkając na Adama. Miał rozchylone usta, jakby chciał coś powiedzieć, a jednocześnie czekał, żeby przestali.

– Ja psuję wakacje, chcąc poznać zajęcia naszego nowego znajomego? Przepraszam najmocniej. – Pochyliła głowę, jakby kłaniała się Adamowi. – Adam, przepraszam, że zadałam ci pytanie. Nie przeczytałam wystarczająco dokładnie regulaminu, który Kostek nam wydrukował i kazał podpisać przed przyjazdem tutaj. Żadnych pytań. Żadnych pytań.

– Wenus – szepnął Robin, obejmując ją ramieniem. – Pójdziemy już na górę, co? Obejrzymy sobie *The Office*.

– Tu nie ma internetu – przypomniała sucho Hanna.

Robin zamilkł. Oczy Wenus błyszcząły ze złości.

– Myślę, że cała ta dyskusja jest kompletnie niepotrzebna – odezwał się nagle Adam. – Nie mam żadnego problemu z tym pytaniem. Ani z tym, ani z żadnym innym.

– O kurwa, to dopiero suspens! – zawołała ironicznie Wenus, patrząc na Kostka. – Widzisz? Zmiana regulaminu.

– Nie było żadnego regulaminu – wymamrotał Kostek, przecierając twarz dłonią. – Adam, przepraszam cię, po prostu nie wszyscy powinni pić. Ona nie jest...

– Ona ma imię! – Wenus nagle wstała, a krzesło z głośnym szumnięciem odsunęło się od stołu. Puszka spadła na ziemię i cuchnąca chmielem kałuża zaczęła wsiąkać w trawnik.

– Dobra, słuchajcie, idziemy na górę. – Robin też się podniósł, wcześniej sięgając po zrzucone piwo. – Ten dzień był męczący przez upał. Po prostu sobie odpoczniemy, a jutro będzie okej. Kostek, może będziesz spać z Adamem? Ja wezmę Wenus do nas.

– Luz. – Kostek wzruszył ramionami.

Adam westchnął.

– Strasznie mi przykro. – Obdarzył Wenus jednym z tych swoich intensywnych spojrzeń. – Jeśli chcesz, pogadamy jutro przy śniadaniu o moich sposobach na utrzymanie.

Jego poważną i smutną twarz rozjaśnił powolny uśmiech, a kąciki ust Wenus lekko drgnęły. Nic już nie odpowiedziała. Ze spuszczoną głową, ledwo trzymając się na nogach, dała się poprowadzić do domu. Posłała jeszcze przez ramię ostatnie rozjuszone spojrzenie w stronę Kostka, a potem odwróciła się i więcej nie obejrzała za siebie. Sięgała Robinowi do połowy ramienia i gdy tak szli, nieco niezdarne objęci, pierwszy raz pomyślałam, że wyglądają całkiem uroczo.

– Kostek... – zaczęła Hanna, ale przerwał jej gestem dłoni, jakby prosił o ciszę. Zamknęła oczy i potarła palcami powieki. – Dobra, w takim razie ja też się położę. Idziesz ze mną, Fio?

Zerknęłam na chłopaków. Palili w milczeniu, wpatrując się w swoje szklanki wypełnione topniejącymi kostkami lodu. Talerze upačkane sosem barbeque i resztki przypalonych warzyw leżały spiętrzone na brzegu stołu. Pod światłem lampek zebrała się chmara ciem. Obijały się o szkło z nieprzyjemnym odgłosem, a kilka z nich zostało uwięzionych wewnątrz. Zapewne spaliły się żywcem.

Bardzo chciałam zostać.

Ale nie chciałam być kimś niewygodnym. Czułam podskórnie, że Adam i Kostek potrzebują rozmowy. Że pomimo wcześniejszych dobrych nastrojów jakiś ciężar niedopowiedzeń wisi nad nimi od początku naszego przyjazdu i może to odpowiedni moment, żeby sobie coś wyjaśnili.

– Tak, idę z tobą – powiedziałam w końcu i zaczęłam zbierać sztućce.

– Zostaw. – Adam położył dłoń na widelcu, po który sięgałam. – Ja to posprzątam, nie przejmujcie się.

– Na pewno?

– Jasne. – Wbił we mnie szkliste od alkoholu oczy i nagle wibrująca fala przelała się przez moje podbrzusze. Zaskoczona własną reakcją, odwróciłam szybko wzrok i dostrzegłam minę Kostka, który bacznie przyglądał się tej wymianie spojrzeń. – Na razie.

Adam pomachał do nas.

Kostek nie powiedział ani słowa, wydmuchał tylko dym prosto na mnie.

Tym razem przespałam prawie całą noc. Miałam dużo miejsca na materacu, bo Wenus spała z Robinem. Hanna co rusz oplatała mnie przez sen swoimi łydkami, ale za każdym razem udawało mi się wyswobodzić.

Dzień zaczął się podobnie jak poprzedni. Kiedy zeszliliśmy wszyscy po porannym prysznicu, Adam już szykował śniadanie. Hanna i Kostek palili pierwsze papierosy, Robin poszedł do ogrodu się rozciągać, a Wenus powoli zmierzała w stronę aneksu kuchennego; miała spuchnięte i zaczerwienione oczy.

– Wszystko okej? – spytałam cicho.

Pokiwała głową i przetarła rękami twarz.

– Tak, to tylko moje typowe jazdy.

– Nie mów tak. – Zmarszczyłam brwi, chociaż sama często tłumaczyłam w ten sposób własne lęki. – Może mogłabym...

– Kawy? – przerwał mi Adam, przekrzykując skwierczenie bekonu na patelni.

Postanowiłam nie drążyć tematu. Wenus usiadła przy wyspie kuchennej i przeciągnęła się, ziewając ostentacyjnie. Dołączyłam do niej i obie dorwałyśmy się do dzbanka.

– Dalej nie działa? – spytała markotnie, wskazując brodą na klimatyzator.

– Muszę wezwać jakiegoś specjalistę. – Adam odwrócił się do nas i zaczął wyciągać talerze z szafki. – Przyznaję z wielkim bólem, że tym razem nie poradzę sobie z tym sam.

– Miałam nadzieję, że lista twoich umiejętności musi się gdzieś kończyć – powiedziałam z udawaną ulgą, biorąc łyk gorącej kawy.

Uśmiechnął się szeroko. Jego śnieżnobiała koszula podkreślała opaleniznę w odcieniu karmelu.

– Nie chcę cię martwić, ale do tej pory wszystko naprawiałem tu tymi oto rękoma.

– Kto by się spodziewał! – Gwizdnęłam.

Wenus zerknęła na mnie z ukosa. Dostrzegłam, że unosi kąciki ust w porozumiewawczym grymasie. Kiedy znów ukazały nam się plecy Adama, przymknęła oczy, zatrzepotała rzęsami i wysunęła język, po czym zaczęła zataczać nim kółka w powietrzu.

Szturchnęłam ją w ramię.

– Zostawiłyście mi coś? – Zza nas wyłonił się Kostek, pachnący szamponem rumiankowym. Pochylił głowę nad wyspą, sięgając po dzbanek z kawą; kropelki wody z jego loków kapnęły nam na uda.

– Zimne! – wrzasnęła Wenus.

– Przed chwilą narzekałaś na klimatyzację – powiedział do niej.

Wstrzymałam oddech, czekając na ostrą wymianę zdań, ale ona niespodziewanie zaczęła tarmosić go po świeżo umytych włosach.

– Rzeczywiście, to lepsze od klimy – westchnęła przeciągle. – Dawaj mi tego więcej!

– Ma ktoś pożyczyć ładowarkę do telefonu? – Hanna bez pardonu podeszła do Adama i położyła mu obie dłonie na ramionach. – Adam? Moja się zepsuła.

– A po co ci telefon? – spytał ze szczerym zdumieniem.

Patrzyłam, jak jej palce, ozdobione licznymi pierścionkami, oplatają jego barki. Nie wyglądał na zmieszanego, ale też nie odwzajemnił jej gestu w żaden sposób.

– Jak to po co? Nagrywam filmiki na pamiętkę.

– Ach tak, TikTok, te sprawy. – Adam machnął ręką i wyłączył gaz pod patelnię. Zapach smażonego bekonu wypełnił już cały domek.

– Boże, brzmisz jak totalny boomer! – Hanna się skrzywiła. – Jesteście z Kostkiem identyczni. Dziewczyny, macie ładowarki?

– Moja jest na górze – powiedziała Wenus między jednym łykiem kawy a drugim. – Poszukaj w walizce. Pierwszy raz nie patrzyłam na telefon od doby.

– A nawet dłużej – mruknęłam, zerkając na wyświetlającą się na piekarniku godzinę. – Dwie doby bez kontaktu ze światem.

– I jak jest? – spytał Adam.

– Dla mnie idealnie – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. Nawet przez chwilę nie kusiło mnie, żeby sprawdzić, co się dzieje na socialach czy w wiadomościach. – Nie masz tu nawet radia?

– Jeśli nic się nie zmieniło, razem z telewizją są na równi w jego umyśle – rzucił Kostek, patrząc na Adama z rozbawioną miną. – Pamiętasz, jak wyrwałeś radio z mojego samochodu?

– Serio? – Wenus wybałuszyła oczy.

– Było coś takiego... – Adam potarł dłonią szyję, jakby był zakłopotany, ale wiedziałam, że nie jest. – Wkurwiały mnie te idiotyczne reklamy o zaparciach wciśnięte po każdej piosence.

– Naprawdę jesteście identyczni – powtórzyła po Hannie Wenus, zerkając to na Kostka, to na Adama.

Nie wiedziałam dlaczego, ale poczułam się nieswojo. Chyba jednak nikt inny nie wyczuł napięcia w powietrzu, więc piłam dalej kawę, nie zwracając uwagi na to, że głośno siorbię. Chciałam po prostu nie musieć się odzywać.

– Dalej nie mam tego radia. – Kostek wzruszył ramionami. – I wcale nie brakuje mi piosenek Nirvany, kiedy jadę gdzieś nocą, albo audycji z polskimi smutnymi piosenkami, które puszczają, kiedy odsypiam gdzieś na parkingu na kacu.

– Mogę ci je znowu zamontować. – Adam przewrócił oczami. – Chyba że je wyrzuciłeś.

– Ty je wyrzuciłeś. Do rzeki przez barierkę.

– Racja.

– Dobra, to już jest nieekologiczne! – zaakcentowała z emfazą Wenus. – Pewnie jakaś rybka zadławiła się przyciskiem „stop”.

– Moja nienawiść do wszelkich technologii okazała się silniejsza. Co zabawne, samochodów też nienawidzę. Ale fakt, to było bardzo głupie – przyznał Adam bez cienia żartobliwego tonu. – Ja byłem wtedy dość głupi.

– No tak, bo tutaj zmądrzałeś. Przy takich możliwościach kształcenia i rozwoju... – rzucił Kostek.

Chyba nikt nie był pewny, czy to żart, w każdym razie nikt się nie zaśmiał. Adama pochłonęło wykładanie na talerz grzanek, pomidorów w oliwie i bekonu.

– Mam! – zawołała Hanna, schodząc ze schodów. W jednej ręce trzymała ładowarkę i telefon, w drugiej przenośny głośnik Marshalla. – Pomyślałam, że skoro już jesteśmy odcięci, możemy przynajmniej posłuchać dobrej muzyki.

Jak miało się później okazać, mieliśmy zupełnie różne definicje dobrej muzyki. Skończyło się na tym, że każdy po kolei puszczał jedną wybraną przez siebie piosenkę. W ten sposób przez cały dzień z głośnika, który niemal wszędzie zabieraliśmy ze sobą, sączyły się naprzemiennie stare rockowe kawałki, popularne polskie utwory, które każdy znał (oczywiście poza Adamem), choć na co dzień się do tego nie przyznawał, klubowe techno i muzyka klasyczna. W końcu byliśmy tak znużeni wymyślaniem coraz to nowych tytułów, że ostatecznie słuchaliśmy już tylko klasyki.

Przez to tym bardziej miałam wrażenie, że oglądam film.

Po śniadaniu Adam zaskoczył nas wszystkich – rozłożył wielkie prześcieradło na stelażu w ogrodzie, po czym wygrzebał z czeluści jednej z szaf rzutnik.

– Dawno nic nie oglądałem – przyznał, zdmuchując z jego powierzchni drobinki kurzu. – Ale mam tutaj DVD i sporo filmów do wyboru. Kiedy zrobi się ciemno, możemy zrobić sobie kino plenerowe.

Niemal nie pamiętałam już, jak wyglądają płyty DVD – ostatnio korzystałam z nich, kiedy jeszcze żyła mama.

Niczym podekscytowane dzieci rzuciliśmy się do jednej z półek na regale. Spora część tytułów była nam dobrze znana; zdałam sobie sprawę, że Adam miał na Kostka dużo większy wpływ, niż wydawało mi się na początku. Te wszystkie „kostkowe” artystyczne filmy w stylu *Marzycieli*, *Wyśnionych miłości* czy *Na śmierć i życie* – widniały teraz przed naszymi oczami.

Zerknęłam na niego. Z papierosem w ustach i w wędkarskim kapeluszu, próbował przymocować prześcieradło do metalowej rurki. Adam tuż obok majstrował przy kablach, przypinał wtyczki do przedłużacza, ciągnącego się przez cały salon aż do ogrodu.

Wcześniej widziałam jedynie jego podobieństwo do mojego przyjaciela. Teraz zaczęłam rozumieć, że to on ukształtował Kostka – zapewne cały jego gust, poczucie estetyki, a nawet drobne gesty, którymi posługiwał się na co dzień. Mimo że mieszkali razem jedynie przez rok, musiało to być na tyle intensywne i fascynujące, że Kostek przejął sposób bycia przybranego brata. Olśnienie przyszło nagle i musiałam zapytać o to Hannę.

– Od kiedy dokładnie znacie się z Kostkiem? – Wyciągnęłam sfatygowane pudełko z trylogią Kieślowskiego *Trzy kolory*.

Hanna odgarnęła zielony kosmyk włosów za ucho i przestała na chwilę żuć gumę.

– Od początku liceum – odpowiedziała wolno, jakby się zastanawiała. – Chociaż Robin podobno grał z nim w piłkę jeszcze w podstawówce.

– Poważnie? Wszyscy poznaliście się dopiero w liceum?

– Tak, a czemu pytasz?

Nie mogłam uwierzyć, że znam ich jedynie rok krócej, niż reszta zna siebie nawzajem. Nie wiem, dlaczego nigdy wcześniej o to nie spytałam – od samego początku byłam przekonana, że są przyjaciółmi przez całe życie, a ja wtargnęłam do ich paczki niczym przybysz z obcej planety.

– Po prostu wyglądacie, jakbyście znali się o wiele dłużej.

– Spędziliśmy razem tyle czasu, że zapewne znamy się lepiej niż większość ludzi – powiedziała Hanna, wzruszając ramionami.

Wenus rechotała z Robinem; pochłonęło ich szukanie erotycznych okładek. Pokazywali sobie palcem niektóre z nich i parskali śmiechem z dłońmi przy twarzach – jakby to było zabronione i ktoś miałby ich zaraz uciszyć.

– Robin? – Postukałam go palcem w bark. Dalej się śmiał, poprawiając druciane oprawki, ale wreszcie na mnie spojrział. Jego wzrok mówił, że wcześniej kompletnie nas nie słuchał. – Czy Kostek w podstawówce też był taki ę-ą?

– Od zawsze wrywał laski na czytanie, jeśli o to pytasz – rzucił między salwami śmiechu, bo Wenus wciąż podsuwała mu pod nos kolejne płyty. – Chociaż wtedy były to *Kamienie na szaniec*.

– Naprawdę pamiętasz taką książkę?

Kostek ni stąd, ni zowąd pojawił się za naszymi plecami. Bez agresji, ale dość gwałtownie zdzielił Robina w potylicę otwartą dłonią.

– Wcale cię nie obgadujemy – mruknęła Hanna, przesuwając długim paznokciem po grzbietach okładek płyt. – Pozwól, że dziś my wybierzemy film.

– Proszę bardzo. Jak dla mnie możemy oglądać nawet *Titanica*.

– No nie, do *Titanica* też coś masz? – jęknęła Wenus, ocierając łzę, która spłynęła jej po policzku. Była cała czerwona od śmiechu. – Kurwa, to mój ulubiony film! Pewnie nawet nie ma tu takich cudów.

– Nic nie mam do *Titanica* – powiedział z powagą Kostek, po czym nagle spojrzął mi prosto w oczy. – Fio, na co ty masz ochotę?

– Ja... – Zupełnie zbita z tropu, usiłowałam przypomnieć sobie na poczekaniu jeden ze swoich ulubionych horrorów, ale wciąż trzymałam w dłoniach Kieślowskiego. – Dopasuję się, bardziej zależy mi na popcornie z masłem.

– Tak myślałam. – Mrugnął do mnie i otarł z czoła kropelki potu. – Adam pyta, czy chcecie się czegoś napić.

– Znowu będziemy chlać w samo południe? – spytał Robin. – Ja idę zaraz biegać.

– Idę z tobą – rzuciła Wenus.

– Ty ze mną?

– A co, masz monopol na bieganie?

– Będziesz mnie spowalniać.

Wenus nawet nie udawała obrażonej. Miała błyszczące oczy i znów wyglądała na szczęśliwą.

– Może zrobimy lemoniadę? – spytała Hanna.

– Właśnie o to mi chodziło, alkusy. – Kostek zerknął jeszcze na trzymane przez nas tytuły i pokręcił głową z dezaprobatą. – Tu też wybierzcie mądrze.

Z tymi słowami zostawił nas, wychodząc na zewnątrz. Chyba skończyli przygotowywać wieczorne kino, bo Adam leżał już na leżaku z zamkniętymi

oczami. Nawet stąd widziałam jego długie rzęsy z lekko wywiniętymi końcówkami. Kiedy Kostek coś mu powiedział, rozchylił powieki i zrobił z dłoni daszek, osłaniając twarz. Wstał powoli i niezdarne, po czym się przeciągnął.

Wszedł do domku, obrzucając nas sennym spojrzeniem.

– Ktoś tu sobie życzył lemoniady?

Przygotował dwa duże dzbanki – jeden pełen słodkiego, drugi kwaśnego napoju. Wypiliśmy wszystko duszkiem. Słońce zaczynało prażyć coraz mocniej, znów nie dając nam chwili wytchnienia.

Posmarowaliśmy się olejkim do opalania (pachniał intensywnie kokosem) i w strojach kąpielowych położyliśmy się na leżakach, które wieczorem miały się stać namiastką kinowych foteli.

– Adam? – zagaiła Wenus, wciskając na nos ogromne okulary przeciwsłoneczne. – Pamiętasz, na czym wczoraj skończyliśmy?

Zerknęłam na Adama ukradkiem, otwierając jedno oko. Wciąż kierował twarz ku słońcu; z grzbietu nosa schodziła mu skóra.

– Na tym, z czego się utrzymuję? – Jego uśmiech stawał się coraz szerszy, aż jego zęby ukazały mi się w pełnej krasie. – Ciężko o tym zapomnieć, musiałem całą noc myśleć, jakimi pikantnymi historiami mogę was nakarmić.

– I co wymyśliłeś? – Hanna przybrała swój typowy, flirciarski ton.

– Napisałem kiedyś serię książek dla dorosłych – powiedział Adam, odpalając papierosa.

– Harlekinów?

– Coś w tym rodzaju, ale jeszcze bardziej poczytnych.

Wenus aż usiadła na leżaku.

– To pytanie było totalnie poważne! – oburzyła się i wymusiła na nim wymianę spojrzeń. – Na czym zarabiasz?

– Totalnie poważnie ci odpowiedziałem.

Zapadła cisza wypełniona jedynie dźwiękami lasu. To były kojące dźwięki, dające złudne poczucie, że choćby padły najgorsze słowa, wszystko poza nimi i tak jest piękne, wręcz radosne. Las miał gdzieś nasze sprzeczki

i przekomarzania. Ptaki wciąż ćwierkały, drzewa wciąż szumiały, spokojne, niczym niezmaczone.

– Powiedz im, bo nie dadzą ci spokoju – mruknął Kostek.

– Cały czas żyję z tantemów. – Adam nie dawał za wygraną. – Piszę pod pseudonimem, bo nie chcę, żeby mnie z tym kojarzono, ale to prawda.

– Pieprzysz – skwitowała Wenus, coraz bardziej rozdrażniona. Marszczyła brwi, jak miała to w zwyczaju, kiedy Kostek doprowadzał ją do szału. – Obiecałeś, że o tym pogadamy.

Adam na dobre otworzył oczy i także usiadł. Spojrzał na Wenus, zaciskając szczękę. Nie miałam pojęcia, gdzie kończy się żart, a gdzie zaczyna normalna rozmowa. Nie podobało mi się to wypytywanie o jego finanse. Zagładanie komukolwiek do talerza, portfela i łóżka nie leżało w moim zwyczaju. Myślałam, że ta zasada obowiązuje powszechnie.

– Wenus, a z czego ty się utrzymujesz? – palnęłam, chcąc rozluźnić atmosferę, ale gdy tylko wypowiedziałam te słowa, wiedziałam już, że to zły kierunek. – No daj już spokój, proszę.

– Wszystko okej. – Adam uniósł dłoń w moją stronę, wciąż patrząc na Wenus. – Jeśli mi nie wierzysz, mogę pokazać ci raporty sprzedaży od wydawnictwa.

Zerknęłam na Hannę, która z uniesionymi brwiami wpatrywała się to w niego, to w Wenus i Kostka. Widziałam, że jest w szoku, a z drugiej strony sama chce poznać odpowiedź na to pytanie.

– Pokaż – wypaliła Wenus bez cienia zażenowania.

– Nie no, to już przesada – wymamrotałam pod nosem, czując coraz większą chęć zapadnięcia się pod ziemię.

Adam jednak już wstał z leżaka, zgasił w szklance po lemoniadzie ledwo rozpoczętego papierosa i zniknął w czeluściach domu.

– Co ty wyprawiasz? – syknął Kostek. – Wiesz, że to zwyczajnie niegrzeczne?

– Niegrzeczne jest nieodpowiadanie na zadawane pytania – wycodziła Wenus, celując w niego palcem. – Wolałabym wiedzieć, skoro spędzę tu trzy

miesiące. Może to wszystko jest nielegalne?

– Boże, w tym momencie wychodzi z ciebie twoja rodzinka i jej teorie spiskowe. – Kostek wcisnął pięści w oczy.

– Odpierdol się od mojej rodziny. Ty za to jesteś naiwny jak dziecko we mgle.

Westchnęłam głośno i spojrzałam porozumiewawczo na Robina. Tylko on mógł jakoś wpłynąć na Wenus, choćby jednym ze swoich głupich żartów. Tym razem jednak nie palił się do tego i sam patrzył na wejście do domku przez salon, jakby czekał, aż wszystko się wyjaśni.

Siedzieliśmy w nieznośnej ciszy przez ciągnące się w nieskończoność minuty, aż wreszcie Adam wrócił, trzymając w dłoni plik kartek.

– Proszę. – Wręczył Wenus wydruki gestem pilnego stażysty. Poczułam zapach świeżo wypłutego przez drukarkę papieru i tuszu. – Zamazałem tytuł, bo naprawdę nie chcę, żeby ktokolwiek o tym wiedział, ale tu masz wszystko. Rozliczenia sprzedaży z tego kwartału i pozostałe z poprzednich dwóch lat. Tutaj jeszcze poprzednie, za pierwsze części. Łącznie napisałem ich jedenaście. W ostatniej kolumnie masz kwotę brutto mojego honorarium.

Wenus rozchyliła usta, jakby znów chciała coś powiedzieć, ale tylko uważnie przeglądała kartki, jedną po drugiej. Jej oczy robiły się coraz większe.

– Gdzie jest nazwa wydawnictwa? – wykrztusiła wreszcie. – Kurwa, chyba odpuszczę sobie te studia i zostanę pisarką.

Adam zaśmiał się perliście.

– Nazwy nie ma w raportach. Jeśli wciąż mi nie wierzysz, mogę jeszcze poszukać umów wydawniczych, ale i tak nie pokażę ci nazwy, bo łatwo dojdiesz do tego, jaka to seria.

Mówił z takim ciepłem i spokojem, że byłam pełna podziwu dla jego cierpliwości. Gdyby ktoś, kogo ledwo znam, zachowywał się jak urzędnik skarbowy, wpadłabym w szal.

– Poza tym – ciągnął Adam – pisanie książek to mało intratne zajęcie. Musiałem się sprzedać, ale nie chciałem robić tego pod swoim nazwiskiem. Jeśli zobaczysz półki w księgarniach, książki erotyczne z wątkiem mafijnym mają się bardzo dobrze. Pisałem taką jedną część w kilkanaście dni, bez

większego zastanowienia. Tylko gatunek i łut szczęścia sprawiły, że te kwoty są, jakie są. No i liczba książek w serii. Jak pierwsza przypadkiem staje się bestsellerem, jest niemal pewne, że kolejne także nimi będą.

– Czyli jakby pogrzebać w internecie na stronach księgarni, znajdziemy te powieści? – Wenus nie dawała za wygraną.

– Jeśli złapiesz tu internet, to pewnie tak. – Adam się uśmiechnął.

Znowu zapadła cisza. Oczy Kostka pociemniały, nie mogłam odgadnąć tej miny. Czy wiedział o tym wcześniej?

– Chcesz nam powiedzieć, że ogarniałeś wszystkie te rzeczy na polanie, z marnymi dwiema kreskami zasięgu? – Wenus oddała mu plik kartek, ale widziałam, że już nieco ochłonęła. Może nawet była lekko zawstydzona, bo jej głos wyraźnie przycichł.

– Słuchajcie, wiem, że jesteśmy na zadupiu, ale ja mam ręce i nogi. – Adam rozłożył ramiona. Nie przestawał uśmiechać się z rozbawieniem. – Zdradzę wam sekret: w piwnicy trzymam nawet rower. Jak mam pilną potrzebę, jeżdżę do miasta. Rzadko, jednak czasem nie ma innego wyjścia. Tak samo jak nie używam na co dzień laptopa czy drukarki, ale je mam. Nie żyję pod kamieniem i jak widać, radzę sobie.

Chyba wszystkim brakowało już słów, bo z każdym kolejnym wypowiedzianym zdaniem zdawaliśmy sobie sprawę, że zaszło to za daleko. Nawet Hanna, która wcześniej emanowała niepokojem, teraz wbijała wzrok w trawę i skubała źdźbła nerwowymi ruchami.

– Stary, nikt cię o nic nie posądza – powiedział Robin, przecierając twarz. – Wenus jest dość... Jesteś dość narwana, wiesz o tym przecież.

– Wiem, może za bardzo na ciebie naskoczyłam – przyznała Wenus ze skruchą. Było to do niej tak niepodobne, że każdy bał się odezwać, żeby nie zburzyć tej niemal magicznej chwili. – Ja po prostu lubię wiedzieć. Kiedy nie mam poczucia kontroli nad sytuacją, nie mogę się skupić. A chciałabym skupić się już tylko na odpoczywaniu.

– Myślę, że dobrze to znam – powiedział Adam. – No nic, jeśli ktoś ma jeszcze do mnie jakieś pytania, słucham. Odpowiem na wszystkie.

Miałam wiele pytań.

Myszę, że każdy z nas miał ich wiele, ale nikt nie odważył się już żadnego zadać.

Resztę dnia spędziliśmy na leżakach, pijąc hektolitry lemoniady. W którymś momencie Wenus rzeczywiście poszła pobiegać z Robinem, ale szybko wróciła, zdyszana i spragniona chłodnej kąpeli. Kostek i Adam czytali książki, Hanna rozwiązywała jakieś setne sudoku z rzędu, a ja usiłowałam pisać. Poszłam nawet po swojego laptopa – pod rozbawionym spojrzeniem Kostka posłanym znad grzbietu opasłego tomu. Tym razem połykał *Hrabiego Monte Christo*.

Patrzyłam to na migający kursor, to na las, usiłując czerpać jak najwięcej ze wszystkiego, co mnie otacza. W rezultacie minęły trzy długie godziny, a jedyne, co udało mi się z siebie wykrzesać, to tytuł wiersza.

Pod gołym piekłem.

Miałam już wysypkę od słońca, co chwilę odganiałam też muszki, które siadały mi na skórze, przyklejając się do warstwy tłustego olejku. Wreszcie dałam za wygraną, zamknęłam komputer i przymknęłam oczy. Dopiero kiedy przestałam myśleć i zahipnotyzowały mnie czerwone przelewające się pod czaszką plamy, różne wersy i słowa pojawiły się samoistnie. Postanowiłam ich nie zapisywać; pozwoliłam im naturalnie przypływać i odpływać.

Nieważne, czy je zapamiętam, czy nie.

To odpuszczenie wydało mi się kojące jak balsam z aloesu. Kiedy pozwala się odejść czemuś z pozoru ważnemu, nagle się okazuje, że dalej oddychasz, słońce dalej praży ci policzki i świat ani trochę się nie zmienił. Możesz kontynuować życie bez większego szwanku. Czy było to zatem aż tak ważne?

Rozchyliłam jedno oko i spojrzałam na Kostka. Tym razem żuł zwyczajnie źdźbło trawy. Wyobraziłam sobie, jak ostra krawędź przecina mu język, aż skrapla się na nim krew. Czy to jest aż tak ważne? Czy w październiku będę mogła dalej oddychać i świat się nie zmieni?

Chyba wyczuł, że na niego patrzę, bo jego oczy zwróciły się w moją stronę. Uniósł pytająco brodę, a ja tylko się uśmiechnęłam i znów zamknęłam powieki.

Dam temu odpłynąć. Jeśli okaże się ważne, może po prostu nie odpłynie.



Hanna nie wytrzymała detoksu od sociali i już po dwóch tygodniach poszła na polanę.

– Muszę wiedzieć, jakie są trendy, żeby ponagrywać na zapas coś dobrego – jęknęła, kiedy początkowo protestowaliśmy.

– Przecież w październiku nie będą już trendami – zauważył Robin.

– Kurwa – mruknęła zawiedziona. – To chociaż pooglądam.

Wzruszyłam ramionami, przewracając stronę *Lśnienia*. Zostało mi tylko parę rozdziałów do końca. Szalejąca w książce zima dawała mi odrobinę wytchnienia, rekompensowała zepsutą klimatyzację, do której naprawy wciąż nikogo nie sprowadzono.

Nie chciało mi się towarzyszyć Hannie w wyprawie na polanę, mimo że był wtorek i powinnam zadzwonić do ojca. Mieliśmy za sobą już kilka lakonicznych rozmów. Zasięg był jednak na tyle fatalny, że nawet nie musiałam udawać, że przerywa. Słyszałam co drugie jego słowo, przez co upewnialiśmy się tylko, czy wszystko u nas w porządku, i kończyliśmy. Za każdym razem mówił, że za mną tęskni. Nie odpowiadałam, po prostu się rozłączałam.

Hanna wróciła po godzinie, wyraźnie rozdrażniona.

– Nigdzie nie ma sieci komórkowej. Adam, w którym miejscu ją łapiesz?

Adam, który rozkładał właśnie grilla na wieczór, zerknął na nią w przelocie.

– Ciężko będzie podać współrzędne. – Uśmiechnął się. – Następnym razem pójde tam z tobą. Chociaż rzeczywiście nie jest to łatwe. Raz łapie, raz nie.

– Chciałabym powiedzieć, że nie na to się pisałam – westchnęła, niemal rzucając telefonem na ogrodowy stół – ale przecież właśnie tak było.

– Jeszcze dwa tygodnie i będziesz wolna – powiedział Kostek, pobrzękując kostkami lodu w szklance. – Potrzeba mniej więcej trzydziestu dni, żeby pozbyć się starych nawyków.

– To nieprawda – rzuciła Wenus. Siedziała na trawie i zrywała płatki drobnych kwiatków rosnących dookoła. – Kiedy próbowałam pić codziennie

szklanke wody przed snem, po dwóch miesiącach dalej nie mogłam do tego przywyknąć.

– Twój organizm po prostu odrzuca wszystko, co chociaż trochę kojarzy mi się z czymś zdrowym. – Robin napił się piwa z puszki.

– Odezwął się – prychnęła Wenus. – Przed chwilą robiłeś cardio, a teraz chlejesz piwsko.

– Lepiej pić i ćwiczyć, niż pić i nie ćwiczyć? – Udał zamyślonego.

– Znam maratończyka, który palił papierosy po każdym biegu – wtrącił Kostek. – Wiadomo, że to idiotyczne, ale racja: lepiej dbać o zdrowie przynajmniej w dwudziestu procentach niż w ogóle.

– Często mamy poczucie, że jeśli nie zrobimy czegoś do samego końca i na sto procent, nie ma sensu w ogóle zaczynać, żeby nie odbębnić na pół gwizdka – odezwął się Adam, nawet na nas nie patrząc. Z zaangażowaniem czyścił grilla z resztek spalonych warzyw. – A to kompletna bzdura. Przykładowo: u osób z ciężką depresją, które często nie mają nawet siły wstać, żeby umyć zęby, mycie ich przez przynajmniej dwadzieścia sekund ratuje jakkolwiek rutynę. Lepiej myć zęby przez chwilę codziennie, niż nie myć ich wcale. To tylko przykład.

Zamknęłam książkę, myśląc o jego słowach.

– Ale do takiego odbębniania można za bardzo przywyknąć – powiedział Robin. – Możesz całe życie zaczynać i niczego nie kończyć. Nie mówi się o mistrzach sportowych, którzy trenowali godzinę dziennie, tylko o tych, którzy trenowali osiem godzin, rzygając w międzyczasie, a potem dalej robiąc swoje.

Pokręciłam powoli głową.

– Słyszysz tylko o tych, którzy osiągnęli sukces – stwierdziłam. – Nie słyszysz o tych wszystkich, którzy i tak próbowali, przeszli dokładnie taką samą drogę, ćwiczyli każdego dnia, ale po prostu zabrakło im szczęścia.

– Bardzo motywujące, Fio – mruknęła Wenus.

– Taka prawda. – Wzruszyłam ramionami.

– Dlatego kiedy mówi do ciebie wygrany i przegrany, zawsze powinieneś posłuchać wygranego.

– Nawet jeśli szedł po trupach do celu? – Spojrzałam na Robina.

– Według mnie na tym polega sukces.

– Daj spokój. – Kostek odpalił papierosa. – Naczytałeś się za dużo coachingowych poradników od typów, którzy osiągnęli tyle, że napisali coachingowe poradniki sprzedane w milionach egzemplarzy. To ich jedyny sukces.

– Obaj jesteście zbyt radykalni – stwierdził Adam, a kosmyk włosów opadł mu niesfornie na czoło. – Tutaj waszą największą wygraną będzie odcięcie się od bodźców świata zewnętrznego. Każdy z was może dojść do tego inną drogą. Krok po kroczku albo całkowity detoks od razu.

– Wreszcie ktoś, kto mądrze mówi – westchnęła Hanna. – Połać temu panu.

– Ja już piję. – Adam uśmiechnął się i podniósł szklankę z bursztynowym płynem.

– No tak, pan zwycięzca.

– A czy alkohol i inne wspomagacze nie są bodźcami ze świata zewnętrznego? – spytała kwaśno Wenus.

Adam wzruszył ramionami.

– To chyba dość względna kwestia. Używki pomagają osiągać różne stany, ale żeby to poczuć, nie potrzebujesz do tego innych ludzi.

– Czy to nie brzmi już jak alkoholizm?

– Cóż, jeśli tak uważasz. I tak wolę być alkoholikiem tutaj niż tam – powiedział poważnie Adam i unióś szklaneczkę na znak toastu.

– Obyś tylko nie skończył jak Jack Torrance. – Zamiast kieliszka uniosłam *Lśnienie*, puszczając mu oko.

Uśmiechnął się rozbajająco.

– Och, a zimy bywają tu bardzo mroźne – odparł.

– O tak, powinnaś zobaczyć, jaki labirynt robi się z tego lasu, kiedy wszystko jest białe – dodał Kostek.

– A ty skąd o tym wiesz? – spytała Hanna. – Byłeś tu tylko latem.

Kostek powiódł dookoła błędnym wzrokiem.

– Adam mi opowiadał – rzucił oschle.

Dostrzegłam ledwo widoczną zmarszczkę między jego brwiami. Zerknęłam na Adama, ale on właśnie odłożył z brzękiem szklankę i klasnął w dłonie.

– To kto jest chętny na krwistego steka?

Wszyscy unieśli dłonie, więc ja też niemrawo wystawiłam palec wskazujący, chociaż nie przepadałam za mięsem. Zwłaszcza takim, z którego cieknie jeszcze krew.

Jak miało się okazać, talent kulinarny Adama był tak wybitny, że kiedy wgryzłam się w gotowego steka, moje kubki smakowe niemal eksplodowały. Bardziej czułam posmak masła i dymu z grilla niż smak mięsa, dzięki czemu mogłam rozkoszować się każdym kęsem. Co jakiś czas trafiałam na kawałki rozmarynu albo kryształki grubo mielonej soli.

Jedliśmy w ciszy, popijając cierpkim czerwonym winem. Kiedy skończyliśmy, Adam wstawił naczynia do zmywarki i zaproponował, żebyśmy przenieśli się do salonu.

Zaopatrzeni w dwa przenośne wiatraczki, które udało nam się znaleźć w szafie na poddaszu, i w kilka dzbanków mrożonej lemoniady (niektórzy, jak zwykle, z mocniejszym trunkiem niewidocznym gołym okiem), rozsiedliśmy się niczym w kręgu dookoła ogniska. W tym wypadku ogniskiem był stolik kawowy.

Hanna siedziała tuż przy wiatraku i jej zielone włosy powiewały nienaturalnie jak źdźbła wiosennej trawy.

– Przypomniało mi się, jak na jednej z pierwszych domówek wymyślaliśmy założenia na swój temat – powiedziała rozmarzonym głosem, wodząc wzrokiem po Wenus i Robinie. – Powiedziałas mi, że wyglądam ci na introwertyczkę, która na starość skończy z kotami.

Wenus wybuchnęła śmiechem.

– A ty uznałaś, że jestem odważna i jako pierwsza skoczyłabym ze spadochronem z samolotu.

– Wszystko się zgadza. – Robin wyszczerzył się, poklepując ją mocno po plecach, jakby była jego kumplem z drużyny.

Żałowałam, że spóźniłam się ten jeden rok. Kilkanaście miesięcy, które mogły sprawić, że czułabym się bardziej ich częścią. Niczego nie chciałam bardziej.

W oczach Kostka pojawił się nostalgiczny, nieco pijacki błysk.

– Teraz nie musimy robić żadnych założeń. – Uśmiechnął się sennie. – Może powiemy po prostu kilka faktów, których już jesteśmy pewni, każdy o osobie obok?

– Z twoją nienawiścią do gier społecznych brzmi to jak żart – zauważyłam. – Pierwszy fakt o tobie.

– Potraktujmy to jako sentymentalną rozmowę. I okazję, żeby Adam lepiej was poznał.

– Dobra! – podeksycyowała się Hanna. – To ja zacznę. Zgodnie z ruchem wskazówek zegara.

Zamoczyłam usta w zimnej lemoniadzie. Była tak kwaśna, jakby nie rozcieńczono jej wodą, a po prostu wyciśnięto sok z kilograma cytryn.

– Moja kochana Fio. – Spojrzała na mnie i chcąc dodać czułości nieco ironicznie brzmiącym słowem, przykryła moją dłoń swoją. – Fio jest hipochondryczką, największą, jaką znam.

– Widzę, że zaczynamy od najlepszych cech – mruknęłam.

Wszyscy parsknęli chichotem. Poczulałam się jak na przyjęciu urodzinowym, kiedy grupa ludzi śpiewa *Sto lat* na twoją cześć – z zażenowania nie wiesz, co ze sobą zrobić, a jednocześnie łaskocze cię w brzuchu sam fakt, że wszystkie oczy wreszcie zwrócone są w twoją stronę z uwagą, choćby najbardziej wymuszoną.

Albo jak na stypie, gdyby zamienić czas terażniejszy na przeszły.

„Fio była hipochondryczką, największą, jaką znałam”.

Ta myśl nie chciała wyjść z mojej głowy od momentu, w którym się pojawiła.

– Fio zna wszystkie działania niepożądane leków, a z drugiej strony panicznie boi się je zażywać – ciągnęła Hanna, patrząc na mnie z mieszkanką rozbawienia i pieśczołliwości. – Przed połknięciem każdej tabletki czyta całą ulotkę, łącznie z informacjami o adresie producenta.

– Bez przesady – jęknęłam, ale rzeczywiście kiedyś przeczytałam przy nich na głos nawet i to, więc po chwili sama parsknęłam.

– Dlatego nigdy nie spróbowała dragów – dorzucił swoje trzy grosze Robin. – Uważa, że po jednym buchu zioła przestanie czuć swoje ciało i wyłączy jej się ośrodek oddychania w mózgu.

– Tobie chyba rzeczywiście coś się wyłączyło, więc to nie tak bezpodstawny lęk. – Wenus nawet na niego nie spojrziała, ale oddał jej kolejnym dziecinny kuksańcem w samo żebro. – Hanna ma opowiadać, nie ty!

– W sumie to lepszy pomysł, żeby każdy powiedział coś o każdym – rzucił Kostek, odpalając papierosa. W niemym porozumieniu przekazał zapalniczkę Adamowi siedzącemu tuż obok, na krawędzi narożnika. – Zmieniamy zasady.

– Nie... – jęknęła Wenus.

– Fakt o Wenus: nienawidzi zmieniać zasad – odparła Hanna.

– Skupmy się na Fio! – Adam uderzył zapalniczką w swoją szklanekę. W jego głosie nie było cienia złości, ale stanowczość, z jaką to powiedział, sprawiła, że po moim podbrzuszu rozlało się ciepło. Nie potrafiłam nad tym zapanować.

Wzięłam kolejny łyk kwaśnej lemoniady.

– Nie znosi przytulania – powiedział Kostek. – Chyba że jest bardzo wstawiona.

Chciałam zaprzeczyć, ale Hanna podjęła wątek:

– W ogóle nienawidzi dotyku. – Pokiwała głową. – Ale musiała się przyzwyczaić, bo ciągle ją obmacujemy.

Wenus przysunęła się bliżej mnie i objęła z całych sił.

– Nieprawda! – zawołała, przyciskając mi twarz do ucha. Poczułam jej lekko alkoholowy oddech. – Fio uwielbia się przytulać, tylko nie chce się do

tego przyznać.

– To trochę rozbieżne wersje – zauważył Adam, nie odrywając ode mnie wzroku. – To jak jest?

Nie mogłam zebrać myśli, kiedy cała uwaga była skupiona na mnie.

Nie chciałam tłumaczyć, że po prostu nikt przed nimi tego nie robił i nie przywykłam do czucia na sobie czyichś dłoni. Nie chciałam tłumaczyć, że kiedy Kostek przytulał mnie z całych sił wtedy, na kanapie u Hanny, świat mógł przestać istnieć. Nie chciałam tłumaczyć, że w niektórych aspektach przypominam dzikie, dopiero od niedawna oswojone zwierzę.

Odchrząknęłam.

– Wszystko zależy od tego, kto mnie dotyka. Ale to prawda, że nie jestem faną dotyku samego w sobie.

Opuściłam ramiona wzdłuż ciała i Wenus się odsunęła, wciąż jednak ściskając mnie za rękę.

– To może teraz ja powiem. Fio jest naszym małym światełkiem.

Spojrzałam na nią w osłupieniu.

– Naszą ostoją – dodała. – Kiedy wszyscy chcemy się wzajemnie pożreć, ona zawsze zrobi coś, co ugasi pożar. Nigdy nie chce, żeby ktokolwiek poczuł się źle, i czasem nawet nie musi powiedzieć nic odkrywczego, po prostu samą swoją reakcją sprawia, że możesz być przy niej sobą i nie czuć się jak freak.

Z przerażeniem zdałam sobie sprawę, że wielkie, ciepłe łzy zbierają mi się pod powiekami.

– Boże, przestań... – Zaśmiałam się nerwowo, ocierając szybko twarz, żeby nie zdążyły spłynąć po policzkach.

– To prawda – przytaknął Kostek, unosząc jeden kącik ust, z papierosem wetkniętym między zęby. – Myślę, że gdyby zaszła taka potrzeba, oddałaby życie za każdego z nas.

Zapadła cisza, którą zakłócał tylko szum wiatraków i pobrzękiwanie kostek lodu w szklankach.

Poczułam się dziwnie – jakbym stała przed nimi obnażona bez możliwości zakrycia się.

Nagle Hanna pociągnęła nosem; był lekko zaczerwieniony. Patrzyła na mnie ze smutnym uśmiechem.

– To prawda – powtórzyła i roześmiała się. – Ale się zrobił dziwny vibe! Dawajcie teraz o mnie, tu nic patetycznego się nie wydarzy.

– To, że jesteś uzależniona od telefonu, to już wszyscy wiemy – rzuciłam, usiłując zabić patos, który zawisł w powietrzu. – Ale mało kto wie, że jesteś straszną mitomanką. Za każdym razem, gdy Hanna opowiada jakąś historię, w której też brałam udział, mam wrażenie, że uczestniczyłyśmy w zupełnie innym wydarzeniu.

Hanna wzruszyła ramionami, niewzruszona i radosna.

– Lubię ubarwiać, bo życie jest strasznie nudne.

– Ale racja, Hanna kłamie jak z nut i nawet się nie zająknie – odezwał się Kostek. – Ma też najgorsze pomysły na świecie, żeby tylko zwrócić na siebie uwagę.

– Boże, pamiętacie, jak kiedyś na lekcji o pierwszej pomocy przelizała się z fantomem szkoleniowym? – Wenus otworzyła szeroko oczy. – Ten facet od EDB wyglądał, jakby miał zemdleć.

Kostek schował twarz w dłoniach i zaczął się śmiać do rozpuku. Jego policzki widoczne między palcami były całe czerwone.

– I jeszcze każdy, dosłownie każdy widział, że mu stanął.

– Wpakowałam mu język do ust tak głęboko, że nie dało się tego wytrzeć i cała klasa musiała dmuchać w to potem razem z moją śliną – wykrztusiła Hanna.

– Facetowi czy fantomowi? – spytałam z poważną miną, co spowodowało pozostałych do jeszcze większej wesołości.

– O tak, Fio jest największą hipochondryczką, a Hanna największą nimfomanką – przyznał Robin.

Hanna niemal się zapowietrzyła, ale nie wytrzymała długo, już po chwili jej chichot niósł się po całym domku.

Zerknęłam na Adama, znów czując lekkie ukłucie w brzuchu.

Ale on nawet na nią nie spojrział. Cały czas wpatrywał się we mnie, jedną ręką trzymając papierosa, drugą bawiąc się zapalniczką. Ocknął się, dopiero gdy Kostek go szturchnął i zapytał:

– Zauważyłeś to?

– Co? – Adam rozciągnął usta w nagłym uśmiechu.

– Że Hanna jest nimfomanką!

– Jeszcze nie miałem okazji.

Hanna zrobiła typową dla siebie, lubieżną minę i przejechała językiem po górnej wardze, niby od niechcienia, jakby to był zwykły, nieprzemyślany gest.

– Musisz to kiedyś sprawdzić – mruknął Kostek obniżonym głosem.

– Już nie róbcie mi takiej reklamy. – Przeczesała włosy i znów roześmiała się o wiele głośniejszym, niż było to konieczne.

A potem wymieniła z Kostkiem spojrzenia, których tak bardzo nie znosiłam.

Nawet nie zauważyłam, jak mocno wbijam sobie paznokcie we wnętrza dłoni.

– Hanna ma też zdecydowanie najbardziej pojemny żołądek – dodał Robin. – I portfel.

– Oj tam, polemizowałabym z tym pierwszym – parsknęła Wenus, ale pełna radość ulotniła się z jej uśmiechu. – Okej, teraz ty, kochaniutki. – Położyła dłoń na klatce Robina. – Największy debil w paczce.

– Nie używa się słowa „debil”! – obruszył się Kostek. – To obraźliwe.

– Niech debile o tym zadecydują, dobra? – Robin uniósł ramiona. – Mnie to nie obraża. Nadrabiam innymi cechami.

– Robin napisał maturę lepiej niż ja – powiedziałam. – Nie jest głupi, tylko mało myśli na co dzień.

– Dziękuję. – Cmoknął powietrze w moim kierunku. – Poza tym okulary z pewnością poprawią mój wizerunek na uniwerku.

– Możemy nie rozmawiać o studiach? – Hanna przycisnęła palce do skroni. – To strasznie dołujące.

– Wybacz.

Znów zapadła cisza. Hanna poprosiła Adama, żeby nalał jej trochę whisky.

– Robin wewnątrz jest tak naprawdę małym szczeniaczkiem, który nie wierzy w siebie – powiedziała słodko Wenus.

– Wierzę w siebie! – zachnął się.

– Pod taką klątą i brzuchem muszą zcaić się jakieś kompleksy – dodała Hanna, stukając swoją szklanką o szklankę Adama po tym, jak zrobił jej drinka.

– To bardzo stereotypowe myślenie. – Kostek pokręcił głową. – A prawda jest taka, że wszyscy jesteśmy niepewni siebie. Każdy ma takie miejsce, że gdy w nie trochę połaskotać, zaczyna się płakać, zamiast śmiać.

– Coś w tym jest – mruknęła Wenus. – Ja mam tak tutaj, pod żebrami.

Kostek spojrział na nią gniewnie.

– Żartuję! Wiem, o co ci chodzi. – Przewróciła oczami. – Te twoje wyszukane metafory nie są tak wyszukane, jak ci się wydaje. A ja chciałam powiedzieć, że Robin jest po prostu bardzo wrażliwy. Tylko że też mocno to ukrywa. Prawda?

Robin wzruszył ramionami i poprawił okulary.

– Wolę mówić o swojej klacie.

– Dobrze, Robin ma najlepszą klątę! – zawołała Hanna. – I to jest niezaprzeczalny fakt. Oczywiście, jeśli chodzi o męską wersję. – Mówiąc to, wypięła piersi do przodu.

– Wybacz, ale Wenus chyba z tobą wygrywa – powiedział Robin.

Wenus aż otworzyła usta. Widziałam po niej, że stara się udawać niewzruszoną tym, co usłyszała.

– Mówimy tylko o rozmiarze? – Hanna uniosła brew, ale się wyszczerzyła i zerknęła na mnie porozumiewawczo.

– O całokształcie. – Robin lekko poczerwieniał. Wiedząc, że zabrnął za daleko i że Wenus mu się przygląda. – Albo po prostu nie chcę dawać ci satysfakcji.

– Jasne. Rozumiemy.

Adam ciągle milczał. Przyglądał się nam spod firanki ciemnych rzęs, raz na jakiś czas uśmiechając się szeroko. Gdybyśmy byli teraz na zwyczajnej domówce, pewnie siedzieliby w telefonie. Pewnie wszyscy siedzielibyśmy z telefonami w dłoniach i co chwilę robili relacje, oznaczali się nawzajem albo przeglądali stories innych, obgadując każdego po kolei.

Tutaj czuć było każdą emocję, nikt nie chował się za ekranem w niewygodnych momentach, a w chwilach nudy trzeba było po prostu czekać. Słuchać, obserwować innych, przeżywać.

Adam roześmiał się niespodziewanie i głośno, słuchając Robina i Wenus. Wziął długi łyk szkockiej. Zastanawiałam się, czy czuje się przy nas niekomfortowo, czy wydajemy mu się młodzi i naiwni, czy nudzą go nasze głupie żarty. Czy jest szansa, że czuje się po prostu kołem zapasowym, jak ja wcześniej?

Przez ostatnie lata cały czas chciałam być ich częścią, robiłam wszystko, żeby się dopasować, choć nie zawsze się udawało. Niektóre rzeczy mówiłam tylko po to, żeby ktoś na mnie spojrział, żeby ktoś się roześmiał.

Adam taki nie był.

Nie był też jak Kostek, który stara się często być ponad nami i udaje, jak bardzo go nie obchodzimy.

Adam naprawdę wydawał się być ponad tym. Jakby równie dobrze bawił się tu cały czas zupełnie samotnie, a teraz także i przy nas.

– To co, fakty o Kostku? – zapytał, przerywając dyskusję o piersiach Wenus.

Ta, wyraźnie zadowolona i zarumieniona, klasnęła w dłonie jak dziecko.

– O Kostku mogę mówić godzinami! – zaczęła z zapałem. – Kostek jest największym snobem, jakiego znam, mimo że nie ma w sobie nic, co mogłoby usprawiedliwiać jego snobizm. Kostek jest...

– Chyba poleciałś z grubej rury. – Kostek zerknął na nią z ukosa. Poczęstował Hannę swoim papierosem. – Chce ktoś jeszcze?

Poprosiłam o jednego. Kiedy się zaciągnęłam, tak głęboko, że aż gryzło mnie w płuca, przypomniała mi się moja pierwsza noc tutaj.

– Może dla odmiany coś miłego o Kostku? – spytał Adam, litując się nad nim. – To jedyna osoba, o której i ja mogę cokolwiek pewnego powiedzieć.

– Zamieniamy się w słuch – powiedziała zgryźliwie Wenus.

– Też cię kocham – rzucił Kostek w jej stronę.

Pokazała mu język.

Hanna oparła się o moje ramię i nagle poczułam ciepły oddech na swoim uchu.

– Spójrz, jaki on jest hot. – Ustami musnęła moje włosy, aż poczułam na karku gęsią skórkę. – Mogłabym go zjeść.

Odsunęła się niezauważalnie i patrząc dalej w kierunku Adama i Kostka, upiła łyk whisky.

Sama już nie wiedziałam, którego miała na myśli, ale jeśli miałam być szczerą, żadna z tych opcji nie byłaby dla mnie lepsza.

Zacisnęłam szczękę, nie wiedząc, o co mi chodzi. Czemu nie mogłam zwyczajnie się wyluzować i być taka jak ona? Przecież nic nie robiła, po prostu piła drinka i paliła papierosa, dokładnie jak ja. Też mogłabym nachylić się do niej czy do Wenus i powiedzieć:

Ale on jest przystojny.

Ale robi mi wodę z mózgu.

Ale nie mogę się przy nim skupić.

Ale nie mogę się zdecydować, którego bym wołała.

Poczułam, że oddycham coraz szybciej i krew napływa mi do twarzy. Wreszcie Adam przerwał swój monolog o cechach Kostka (wszystkie już doskonale znałam, nie dowiedzieliśmy się niczego nowego) i spytał:

– Wszystko dobrze, Fio?

Kostek też zerknął na mnie niepewnie.

– Jesteś jakaś... rozpalona.

– A może napalona – rzucił Robin.

– Wszystko okej. Muszę się tylko przewietrzyć – powiedziałam cicho. – Strasznie tu gorąco.

– Lepiej usiądź przy wiatraku. – Hanna przesunęła go w moją stronę, robiąc przy tym sporo hałasu.

Skłębione, chociaż wciąż ciepłe powietrze dmuchnęło mi w twarz i poczułam nieznaczną ulgę.

– Na dworze i tak jest skwar. Zrobić ci drinka?

Potrząsnęłam głową.

– Jest w porządku.

– Po prostu nie może już o mnie słuchać – powiedział Kostek, posyłając mi jeden ze swoich leniwych uśmieszków. – Pewnie wolisz fakty o Adamie?

Poczułam, jak kręci mi się w głowie.

– Wolę chyba się położyć – odparłam niezgodnie z prawdą.

Wolałam wyjść do lasu i krzyczeć najgłośniej, jak tylko się da. Wykrzyczeć wszystko, czego nie umiałam powiedzieć.

Mimo to zostałam, bo zaczęli mnie namawiać, a Adam uśmiechał się szerzej niż zwykle.

– Mogę wymienić fakty o Adamie w pięć sekund – stwierdził Kostek. – Szczerze nienawidzi samochodów, telefonów, radia, internetu, ma świra na punkcie grzybów, zachowuje się jak stary dziad w ciele młodzieńca i wierzy w reinkarnację.

– Reinkarnację? – zdziwiła się Wenus. – O tym nam nie opowiadałeś.

Dostrzegłam dziwny błysk w oczach Adama. Zerknął na Kostka, po czym wybuchnął gromkim śmiechem.

– Kiedyś wam opowiem.



Był środek nocy, kiedy odkryłam, że Adam też pisze wiersze. Wiedziałam od niego samego, że pracuje nad powieścią, ale nie spodziewałabym się po nim tworzenia poezji. To były wersy zupełnie inne od moich.

Zeszłam do kuchni, żeby zrobić sobie herbaty. Maratony filmowe stały się naszym wieczornym rytuałem, przez co większość przysypiała na leżakach w trakcie seansów, żeby później w sennym amoku przenieść się na górę do sypialni. Spędziliśmy tutaj już ponad pół miesiąca i każdy dzień wyglądał niemalże tak samo. Wspólne śniadanie, wylegiwanie się na słońcu, kąpiele w jeziorze, spacer po lesie i obfite kolacje z grzybowych dań Adama, zakrapiane winem albo whisky.

Noce były tak upalne, a dziewczyny tak przyciskały się do mnie przez sen, że nie potrafiłam znaleźć sobie miejsca. Dusiałam się na poddaszu.

Dlatego zasypiałam na górze, po czym budziłam się po zaledwie godzinie wilgotnego półsnu i schodziłam do salonu – kilka ostatnich nocy spędziłam na narożniku, w mroku rozświetlonym jedynie chłodnym światłem księżycy wdzierającego się do środka przez gałęzie drzew. Pijąc mocnego rooibosa, wpatrywałam się w stolik kawowy. Pod szklanym blatem roіło się od odręcznych notatek, które znalazłam tutaj już pierwszego dnia.

Śmierć jest tym, co przez całe życie masz na końcu języka.

Przypomniałam sobie o tym fragmencie i powoli sięgnęłam po plik niedbale rozrzuconych kartek. Większość z nich zawierała gęsty tekst, ale pomiędzy wypadały pomniejsze karteczki, na których nabazgrano pojedyncze wersy – budową przypominały wiersze.

Przyjrzałam się dokładnie jednemu z nich.

droga bez końca

w środku niczego

uśpiona w bezruchu my dziko w jej brzuchu

jedziemy przed siebie nie wiedząc

dlaczego

droga bez końca
i już tak nie boli
serce żołądek ostrych słów wrzątek
gdy niebo asfalt wypija
powoli

zostaje radio
i głosy zza świata
i noc taka ciemna że zdejmuję śmiało skórę gorącą
od pokrzywy lata
z lasu mnie woła
echo tętniące
i wabi śpiewami czarami tańcami
gdy ciemność przeszywa nam oczy
gasnące

czy słyszysz to też?
szelest szum olch obcy śpiew
te głosy wśród drzew
to nie jest sen
czy słyszysz to też?

droga bez końca
trawi nas ciężko
i końca nie widać końca nie będzie
las się nie skończy już wiem to
na pewno

to takie proste
na takich drogach
pamiętasz o grzechach o wszystkich uciechach
gdy piekło się skrada tu na czterech nogach

– Wymiana? – Usłyszałam dobiegający z ciemności głos.

Drgnęłam, kartki wypadły mi z dłoni i rozsypały się po stoliku, kanapie i podłodze. Dłonie Adama zaczęły zbierać je delikatnie, jedną po drugiej, po czym układać w równy stos.

– Przepraszam – wymamrotałam. – Nie mogłam spać.

– Mówiłem ci, że tutaj ciężko się śpi.

Kiedy odłożył swoje zapiski, otworzył szklane drzwi i zapalił ze wzrokiem wbitym w las.

– Pokażesz mi swoje wiersze? – zapytał, tym razem zupełnie na mnie nie patrząc.

– Skąd wiesz, że...

– Kostek mi powiedział.

Mięłam w palcach skraj swojego T-shirtu do spania z takim zaangażowaniem, jakby od tego zależało moje życie.

– Moje są strasznie pretensjonalne – powiedziałam wreszcie. – Ten twój, o drodzo i lesie... jest bardzo dobry.

– Naprawdę tak myślisz? – W jego głosie nie było cienia wdzięczności. To pytanie zabrzmiało surowo, podchwytliwie, jakby zadał je nauczyciel testujący mój gust lub wiedzę.

– Tak – odparłam niepewnie.

Adam zaciągnął się papierosem i dalej patrzył w rozgwieżdżone niebo.

– Chciałbym przeczytać to, co piszesz.

Przełknęłam ślinę i położyłam stopy na dywanie.

– Musiałabym iść po laptopa, tam mam wszystko.

– Poczekam.

Zmarszczyłam brwi, ale w tym mroku nie mógł zobaczyć mojej miny. Zresztą i tak nie patrzył w moją stronę.

Było coś dziwnego w tonie tej rozmowy.

Jego prośby nie brzmiały, jakby był ciekawy. Wciąż mówił jak profesor, który w jakimś celu chce ocenić czyjeś prace.

Starając się nie narobić hałasu, dopiłam herbatę i przyniosłam laptopa. Jasna poświata zalała salon, a ja zmrużyłam powieki, jednocześnie zmniejszając na klawiaturze natężenie światła ekranu. Odszukałam plik z najnowszymi wierszami i długo przewijałam dokument, zastanawiając się, co mu pokazać. Kiedy teraz przesuwałam spojrzeniem po własnych wersach, wszystkie wydawały mi się do bólu żenujące. Policzki płonęły mi na samą myśl, że on miałby to zobaczyć. Wzięłam głęboki wdech, wybierając krótkie coś, co napisałam przed samym naszym wyjazdem – w dniu, w którym się pakowałam, po sprzecze z ojcem.

– Przeczytasz na głos? – zapytał, widząc, że jestem gotowa.

Potrząsnęłam głową z przerażeniem.

– W życiu. Umarłabym ze wstydu.

Adam wreszcie zdobył się na cień uśmiechu. Dogasił papierosa, wrócił do środka i usiadł tuż obok mnie. Stykaliśmy się udami, czułam każdy milimetr jego skóry, parzący mnie jak pokrzywa. Usiłowałam oddychać jak najciszej.

Kiedy czytał, patrzyłam naprzemiennie na tekst i jego rzęsy.

Rzęsy, tekst.

tak bałam się Twojej śmierci, że oplakiwałam Cię za życia

utknęłam w tym mieszkaniu

jak w grobie

codziennie przynosiłam świeże znicze

do Twojej sypialni

tak bałam się Twojej śmierci, że

kiedy odeszłaś

byłam już po żałobie

Wiedziałam, że skończył, ale o nic nie zapytałam. Miałam wrażenie, że ciągle wraca do początku i czyta jeszcze raz.

I jeszcze raz, i jeszcze raz.

– Kurwa – powiedział w końcu i spojrzał na mnie. Jego źrenice wydawały się ogromne w niebieskim świetle laptopa. Cień rzęs padał pod nienaturalnym kątem na policzki. Lustrował mnie wzrokiem, jakby chciał sprawdzić, czy naprawdę byłam w stanie napisać ten wiersz.

Znowu to robił.

Badał moje oczy, nos, usta, a ja czułam, że ponownie wstrzymuję oddech.

– I jak? – wykrztusiłam, chcąc wrócić do normalności.

Zauważyłam już, że to zawsze na niego działa. Wystarczyło przerwać ten osobliwy moment i jego oczy niemal natychmiast przybierały normalny wyraz, przestawał patrzeć tak intensywnie, tak głęboko.

– Nie mogę uwierzyć, że cię spotkałem – powiedział. Przez chwilę myślałam, że mnie pocałuje, on jednak gwałtownie zamknął laptopa. – Nauczyłem się go na pamięć, żeby czytać go w głowie przed snem. A teraz muszę spróbować zasnąć. Śpij dobrze.

Stojąc nade mną, wyciągnął dłoń w kierunku mojej twarzy, ale zatrzymał ją i zawisła w powietrzu. Pewnie przypomniał sobie rozmowę o tym, że nie lubię fizycznej bliskości.

Dłoń dalej wisiała nade mną, zapewne przez ułamki sekund, ale miałam wrażenie, że trwa to zbyt długo. Nie wiedziałam, co z nią zrobić, w końcu, niewiele myśląc, dotknęłam jej i przytrzymałam. Dotyk jego palców palił żywym ogniem, mimo że były chłodne i suche. Moje gwałtownie zwilgotniały od potu, więc zabrałam rękę. Tak jakbym od początku chciała go tylko pożegnać krótkim uściskiem.

Gdy szedł na górę, oddychałam ciężko w ciemności. Słyszałam w głowie mocne uderzenia własnego pulsu.

Zasnęłam dopiero nad ranem, kiedy zrobiło się szaro.

Upał ciągnął się w nieskończoność. Oblepiał nas jak folia i narzekaliśmy. Narzekaliśmy na to lato (w niemal ten sam sposób, w jaki zawsze narzekaliśmy na liceum), aż wreszcie się przyzwyczailiśmy.

Do duchoty.

Do nie działającej klimatyzacji.

Do nierównej opalenizny.

Do słońca, które grzało jak piekarnik.

Do księżyca, który zaglądał nam do sypialni przez okno na poddaszu.

Do mocnej, czarnej kawy parzonej co rano przez Adama.

Do zimnej lemoniady pitej o każdej porze dnia i nocy.

Do bąbli od komarów i końskich much.

Do rozdrapanych ranek po bąblach.

Do zapachu i smaku grzybów – także o każdej porze dnia i nocy.

Do zatłoczonych uszu przez nurkowanie w chłodnym jeziorze.

Do tłustego olejku do opalania o zapachu kokosa.

Do spieczonych skóry na ramionach i nosie.

Do pofalowanych od wody kartek książek.

Do wyświetlanych na prześcieradle filmowych kadrów, co rusz przecinanych przez owady, mniejsze i większe.

Do szumu lasu.

Do braku internetu i zasięgu.

Do braku innych ludzi.

Do tego, że Adam i Kostek mieli rację – po miesiącu stare nawyki zbladły, a na ich miejsce pojawiły się nowe i nawet nie zauważyliśmy, kiedy stały się nawykami.

Do porannej kolejki do wanny z hydromasażem.

Do zaschniętych, rozchlapanych plamek z miętowej pasty, które zostawiała Venus na lustrze podczas śpiewania na całe gardło w trakcie mycia zębów.

Do pochrapywania Kostka, który robił sobie kilka drzemek w ciągu dnia (brzmiało jak chrapanie starego buldoga i zupełnie nie pasowało do jego drobnej, anielskiej twarzy usianej piegami).

Do filozoficznych wywodów Adama wplatanych w najzwyklejsze rozmowy (nawet te o pieczywie).

Do tego, że Hanna – mimo braku sieci – ciągle nagrywała pamiątkowe filmiki, żebyśmy nigdy nie zapomnieli tych wakacji.


Do sapania Robina podczas ćwiczeń i zapisywania w zeszycie wszystkich treningów, a także liczenia kalorii najmniejszej rzeczy, którą włożył do ust (nawet porcje wypitego alkoholu ważył na kuchennej wadze i dopisywał do swojej diety).


Do moich ciągłych bólów głowy wywołanych upałem albo kacem, albo jednym i drugim.

Do tego, że mimo stałego narzekania na przeróżne objawy ciągle się śmiałam i ani razu nie płakałam ze smutku czy strachu.

Do tego, że minęły moje ataki paniki.

Przyzwyczailiśmy się do tego, że jednak naprawdę nieźle się tutaj bawimy.

 tóregoś wieczoru upiliśmy się bardziej niż zwykle.

 Przez większość czasu udawało nam się podtrzymać stan lekkiego rauszu, podlewany kolejnymi małymi porcjami whisky czy wina, ale wtedy wszystko wymknęło się spod kontroli.

Nawet nie wiem, kiedy w salonie zrobiło się pusto i usłyszałam podniesione głosy dochodzące z poddasza. Robin śmiał się gardłowo, a jego rechot niósł się po całym Domku z Drewna i Szkła, przebijając się nawet przez puszczoneg z głośnika muzykę. Wenus krzyczała coś niezrozumiałego, jakby obdzierano ją ze skóry.

Próbowałam wejść po schodach na górę, ale z każdym krokiem czułam, jak poręcz wiruje razem ze mną. Trzymałam się jej kurczowo, żeby się nie przewrócić. Mrugałam, jakbym chciała pozbyć się z oczu filtra, który zniekształca mi pole widzenia.

– Ojoj... – zamruczałam sama do siebie, a po chwili zachichotałam.

Ciepło rozlane w całym moim brzuchu zaczęło powoli zmieniać się w palące uczucie podniecenia i oczekiwania. Wchodziłam na poddasze, a miałam wrażenie, że oto wkraczam na jedną z największych atrakcji, a cały Domek z Drewna i Szkła to wesołe miasteczko.

– Pomóc ci? – Usłyszałam nagle i czyjaś dłoń pojawiła się przed moją twarzą.

Kostek miał całkowicie czerwone oczy, po czym wnioskowałam, że nie jest wyłącznie pijany.

– Poproszę pana – wymamrotałam i złapałam go za rękę, ale gdy próbował mnie pociągnąć, potknęłam się i przewróciłam z impetem, uderzając kolanami o kant schodów. – Ja pierdołę!

Zamiast mnie podnieść, Kostek dostał ataku śmiechu, aż trzymał się za brzuch. Nie mógł przestać, więc powoli wstałam o własnych siłach, stękając z bólu.

– Jesteś do niczego – jęknęłam.

Podniósł dłoń w uspokajającym geście, wciąż się śmiejąc.

– Zaraz, poczekaj – powiedział, ale minęłam go i poszłam tam, skąd dobiegały najgłośniejsze dźwięki.

Weszłam do sypialni Kostka i Robina, a później do łazienki. W wannie z hydromasażem, ubrana w letni kombinezon w kwiaty, siedziała Wenus, a Robin trzymał nad nią słuchawkę od prysznica i polewał ją wodą.

– O – powiedziałam.

– Co ci się stało? – Hanna, która klęczała na podłodze tuż przy wannie, nagle przysunęła się w moją stronę i zlizwała krew z mojego kolana.

– Nie wiem – odparłam i wtedy poczułam na swoich ramionach silne dłonie.

– A co ty tutaj robisz? – Adam naparł na mnie całym ciałem, jak nigdy wcześniej. Chyba otrzeźwiałam w jednej chwili, chociaż mój organizm dalej odmawiał współpracy. Z przyzwyczajenia próbowałam ściągnąć z siebie jego rękę, chociaż wcale tego nie chciałam.

Chciałam, żeby dalej to robił.

– Przyszłam pod prysznic. – Wskazałam na wannę. – Ale widzę, że jest zajęte.

– Błagam, czy możesz zrobić bardziej ciepłą?! – wrzasnęła Wenus, ale Robin uparcie oblewał ją lodowatym strumieniem. A potem, zanim zdążyłam to zarejestrować, znalazł się w środku, tuż obok niej. – Boże, zwariowałaś!

– Chcę, żeby było ci raźniej – powiedział, zdejmując T-shirt.

– Chyba musimy poczekać na swoją kolej – mruknął mi do ucha Adam, a ja poczułam, jak zawartość żołądka powoli wędruje mi do góry.

Tylko nie to.

Zdążyłam otworzyć klapę muszli i pochylić się nad nią, a Adam już był przy mnie, trzymając moje włosy.

– Fio!

Szarpało mną, ale nie mogłam zwymiotować. Nigdy nie potrafiłam tego robić, ostatnio zdarzyło mi się, kiedy zatrulałam się hamburgerem jako dziecko. To podobno jeden z objawów mojej hipochondrii. Panicznie się tego boję, przez co mój organizm psychosomatycznie blokuje zwracanie jakichkolwiek

treści. Nawet gdy mam gripę jelitową, okrutnie się męczę, ale moje ciało oczyszcza się tylko od drugiej strony.

– Przepraszam... – jęknęłam i zakaszłałam, po czym na białą ceramikę spłynęła jedynie strużka śliny.

– Robisz nam klimat, dzięki! – zawołał Robin i zwrócił się do Wenus: – Widzisz, kotku, tak mogłaś skończyć, gdybym w porę cię nie otrzeźwił.

– Zaraz skończę tak, że umrę z zimna! – krzyknęła Wenus i wtedy temperatura wody musiała się podnieść, bo wydała z siebie westchnienie pełne ulgi. – Chcesz mnie wykończyć...

– Czasami chciałbym. Fio, w końcu muszę cię nauczyć, jak prowokować rzyganie. Jestem w tym mistrzem, dlatego nigdy nie mam kaca.

To prawda, Robin zawsze w trakcie imprez wychodził po cichu do łazienki lub na dwór, wracał trzeźwiejszy niż wcześniej, po czym pił dalej.

Siedząca po turecku na podłodze Hanna ledwo kontaktowała. Zerknęłam na nią znad muszli.

– Zaraz chyba do ciebie dołączę – powiedziała, ale już po chwili cicho pochrapywała, opierając głowę o kafelki.

Nie pamiętam, jak skończyła się ta noc. Wiem tylko, że obudziłam się w swoim łóżku. Dziewczyny spały obok, na podłodze stała plastikowa miska (na szczęście okazała się czysta), a ja czułam się zdecydowanie lepiej. Głowa pulsowała mi wprawdzie nieprzyjemnym bólem, ale przynajmniej mdłości zniknęły, pojawił się nawet lekki głód.

Przez cały dzień Adam spoglądał na mnie z uśmiechem i pytał, czy wszystko gra. Leczyliśmy kaca eliksirami z żółtek jaj i cytryny. Kostek popijał piwo, błady jak ściana.

Poszliśmy nad jezioro, żeby ochłodziła nas woda. Odpoczywaliśmy w cieniu, niemal się do siebie nie odzywając, w niemy porozumieniu.

Umieraliśmy, ale było nam dobrze.

Byliśmy wszyscy razem.





— Coś ci pokażę – powiedział Adam, kiedy kolejny raz zastał mnie leżącą na kanapie w salonie o czwartej nad ranem.

Na wół przytomna, pogrążona w ciemności od paru godzin, dałam się poprowadzić za rękę po schodach. Gdy byliśmy już na górze, spjrzałam na niego niepewnie. W tym półmroku ledwo mogłam dostrzec błysk w jego oczach.

- Chodź – szepnął i konspiracyjnym ruchem zachęcił mnie do pójścia dalej.
- Dokąd idziemy?
- Po prostu chodź.

Puścił moją dłoń i spjrzał na sufit. Nagle podskoczył wysoko i moim oczom ukazała się drabina, którą wyciągnął z drewnianej kłapy.

Otworzyłam szeroko oczy.

– Tu można wyjść na dach? – syknęłam z niedowierzaniem. – Dopiero teraz mi to mówisz?

Przyłożył palec wskazujący do ust formujących się w tajemniczy uśmiech.

– Chcesz iść pierwsza? Mogę cię asekurować.

Skinęłam głową, chociaż kiedy już wspięłam się na trzeci szczebel, uświadomiłam sobie, że mam na sobie tylko majtki i T-shirt. Zacisnęłam powieki, starając się nie myśleć o widokach, jakie ma teraz na mnie z dołu.

Uderzyło mnie ciepłe, jeszcze nocne powietrze i zaparło mi dech. Wygramoliłam się na dach, widząc, jak grafitowe niebo w oddali miesza się z łososiową luną. Las i tak zasłaniał większość widoku, ale wschodzące słońce przebijają się przez drzewa. Mgła osiadła na niższych krzewach i mchu.

W powietrzu czuć było zbliżające się ochłodzenie – nareszcie.

Dach był spadzisty, ale dopiero teraz zauważyłam, że w jednym miejscu jest zupełnie płaski, zupełnie jakby ktoś celowo zbudował go w ten sposób. Tę niewielką przestrzeń zakrywał koc, a na nim leżał dzbanek z parującą kawą, świeżo wypieczone bułki i konfitura z malin.

– Adam... – wybąkałam, bo kompletnie odjęło mi mowę.

Nerwowy skurcz brzucha był silny i obezwładniający, musiałam powoli wypuścić powietrze z ust i starać się oddychać przeponą.

– Pomyślałem, że jesteś głodna.

Poczułam jego dłonie na plecach, lekki nacisk, jakby zachęcał mnie do zajęcia miejsca.

Usiadłam, krzyżując nogi, a on usadowił się tuż obok, tym razem litując się nade mną i patrząc na las.

– Uwielbiam wschody tutaj – powiedział, odpalając papierosa. – Chcesz?

Pokręciłam głową, sięgając po dzbanek z kawą.

– Chętnie za to zastąpię czymś sen.

– Bezsensowność przestała tak męczyć, prawda?

– Tak, mieliście z Kostkiem rację, że czas inaczej tu płynie.

– To wszystko przez brak bodźców z zewnątrz. Cały czas gromadzi się tu w jednym miejscu, nie ma ujścia.

Zanurzyłam usta w kawie i przytaknęłam.

– Odkąd tu jestem, nie miałam ani jednego ataku paniki – powiedziałam nagle.

– Mówiłem, że to miejsce cię uleczy. – Adam głęboko nabrał powietrza, napawając się zapachem lasu. Było to dość komiczne, zwłaszcza że zaraz po tym ponownie zaciągnął się papierosem. – Uleczy was wszystkich.

– Teraz już w to nie wierzę, tylko to wiem.

Nie odpowiedział.

Wzięłam kęs bułki zamoczonej w konfiturze. Rozpływała się w ustach jak wszystko, co wyszło spod jego ręki.

– Szkoda, że nie mogę zabrać cię ze sobą na studia – wypaliłam, a widząc jego minę, dodałam szybko: – Nie wiem, jak zniosę jedzenie inne niż twoje.

Roześmiał się chrapliwie i odkaszlnął.

– Wiele bym dla ciebie zrobił, ale na studia nigdy więcej się nie wybieram.

– Wiem. – Mimo żartobliwego tonu poczułam znany już dobrze smutek i tęsknotę za tą chwilą. – Jak długo chcesz tu zostać?

– Do końca. – Uśmiechnął się blade. Włosy rozwiewał mu pierwszy poranny wiatr.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– W sumie wcale ci się nie dziwię.

– A ty byś nie chciała?

Jego twarz przysunęła się bliżej mojej, ledwo zauważalnie. Jedną ręką zgasił papierosa, drugą oparł tuż za moją talią, na powierzchni dachu.

Otworzyłam usta, żeby odpowiedzieć, że właściwie tak. Sama myśl o powrocie do domu, a później o odległym mieście, akademiku i nowych ludziach napawała mnie przerażeniem.

– Jesteś stworzona do wielkich rzeczy, Fio.

Zastanawiałam się, czy ma na myśli wielkie rzeczy, które mogę osiągnąć, studiując, czy zostając tutaj, ale nie zdążyłam zapytać, bo zobaczyłam ten wzrok. Znowu patrzył mi prosto w oczy jednym ze swoich najbardziej przenikliwych spojrzeń. Lustrował najpierw jedno, potem drugie oko, jakby próbował wdrzeć się do środka.

Nie wiem, kto zaczął, miałam wrażenie, że ostatecznie to ja nachyliłam się ku niemu. Nie wiem, kiedy poczułam na ustach jego wargi, a chwilę później język oplatający mój. Pachniał tytoniem i czymś słodkim, jakby żuł wcześniej wanilię albo cynamon.

Albo jedno i drugie.

Najpierw był delikatny, później wczepił palce w moje włosy i lekko za nie pociągnął, jeszcze bardziej przyciskając mnie do siebie. Nasze oddechy przyspieszyły. Przez podbrzusze przelewały mi się fale wrzącej lawy, nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Jęknęłam cicho, kiedy ledwo musnął dłonią wewnętrzną część mojego uda. Tak zawstydziła mnie własna reakcja, że odsunęłam się jak oparzona, w kompletnym oszołomieniu.

– Przepraszam... – wymamrotałam. – Poczekaj chwilę.

– To ja przepraszam. – Adam odskoczył aż nazbyt gwałtownie. – Zapomniałem, że nie lubisz być dotykana.

– To nie tak. – Pokręciłam głową, przeklinając się w duchu za to, że drży mi głos. Wypieki na policzkach pulsowały mocno. – Po prostu...

Tylko się nie rozpłacz, myślałam rozpaczliwie. Nie teraz, błagam.

Czułam tak ogromną wdzięczność i szczęście, że nie potrafiłam sobie z tym poradzić. Wraz z nimi pojawiło się jednak poczucie winy.

Powinnam cierpieć, powinnam być w żałobie, powinnam się nad sobą użalać jak zawsze.

Takie uczucia są mi dobrze znane. Odrzucenie, skręt żołądka, kiedy ktoś znowu mnie nie widzi, znajome wiercenie w nosie i ścisk w gardle. Chłodne palce niepokoju oplatające moją szyję.

Nie ciepłe palce chłopaka, który właśnie na mnie patrzy i który chce, żebym przy nim została.

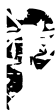
Jakaś część mnie chciała to wszystko zniszczyć, zanim to zniszczy mnie, kiedy już uwierzę, że zasługuję...

– Zasługujesz na to – wyszeptał Adam, a ja uniosłam powoli głowę, zastanawiając się, skąd, do diabła, wiedział, o czym myślę. – Zasługujesz na wszystko, czego chcesz.

Przełknęłam ślinę i nie pozwoliłam łzom popłynąć.

Jak za dotknięciem magicznej różdżki wyłączyłam swoje myśli, a może on to zrobił. Znowu oglądałam film, tym razem jednocześnie go reżyserując.



Przyszedł sierpień i wreszcie ochłodziło się na dobre.

Dochodziła siódma rano, a ja jak zwykle wstałam przed wszystkimi.

Rozsunęłam szklane drzwi i wciągnęłam w nozdrza cały las.

Zapach drzew, świeżej ziemi i ledwo wyczuwalna nuta ozonu.

Lada chwila miał spaść deszcz. Igielki poranka wbiły się w moje rozgrzane po nocy ciało. Nie mogłam uwierzyć, że po niemalże miesiącu ciągłych upałów właśnie pocieram ramiona pokryte gęsią skórką.

Ogród stał we mgle. Nikt nie posprzątał po wczorajszej kolacji, więc podeszłam do plastikowego stolika. Kiedy odkładałam na tacę kieliszki z odbitymi śladami ust, mój wzrok przykuła szklanka z reszką whisky. Zajrzałam do środka i zobaczyłam cmentarzysko os, drobnych muszek oraz innych owadów.

Zauważyłam, że jedna mucha żyje i chodzi niepewnie po wewnętrznej ścianie szkła. Powinam wyciągnąć palec i sprawić, żeby poleciała, uciekła, póki może, ale wiedziałam, że i tak wróci. Że kiedy przyjdę po talerze, będzie już pływać razem z resztą, powoli dogasając, mimo że widziałam, jak skończyli pozostali.

Przeraziło mnie to, jak dobrze ją rozumiem.

Kiedy wkładałam naczynia do zmywarki, z poddasza zeszła Hanna. Miała na sobie za duży, rozciągnięty sweter. Rozpoznałam go.

– Spałaś z Kostkiem? – spytałam niby od niechcienia, próbując przybrać rozbawiony ton.

W milczeniu potrząsnęła głową.

– Leżał na wierzchu, nie zabrałam ze sobą nic ciepłego. Wreszcie można oddychać, co?

Stała w progu salonu, nabierając powietrza w płuca.

– Chcesz coś do jedzenia?

Przytaknęła.

Zrobiłam tosty i chociaż nie umywały się do śniadań serwowanych na co dzień przez Adama, zjadłyśmy je łączywie, siedząc na skórzanej kanapie.

– Nie możesz spać? – Napiłam się gorącej kawy i podsunęłam jej drugą filiżankę.

Hanna skończyła przeżuwać ostatni kęs i głośno westchnęła. Jej zielone włosy sterczały w nieładzie na wszystkie strony. Pod oczami miała ciemne półksiężyce.

– Nie wiem – odparła, oplatając ramionami gołe kolana. – To miejsce działa na mnie jednocześnie kojąco i toksycznie. Nie potrafię tego opisać.

– Może spróbuj?

Spojrzała na mnie. Dostrzegłam w jej oczach ten sam wyraz co wtedy, w samochodzie, gdy dopiero tu jechałyśmy.

– Jest... zbyt dobrze, nie sądzisz? – bąknęła wreszcie i upiła łyk kawy. – Cały czas się zastanawiam, co będzie dalej.

– A co ma być? – Uniosłam brew. Jakbym słyszała siebie, wiecznie złąknioną o przyszłość. To nie pasowało do Hanny, zawsze spontanicznej i szalonej. – Pojedziemy na studia, a teraz po prostu odpoczywamy.

– Tak, wiem. – Zaczęła rysować palcem okrągłe kształty na skórze narożnika, zostawiając delikatny ślad paznokcia. – Wiem, a mimo to nie umiem cieszyć się tym, co jest teraz – ciągnęła. – Nie wyobrażam sobie powrotu do normalności. Do życia tam. Bez was. – Wymawiając ostatnie słowa, niemal szeptała.

Przełknęłam ślinę. Czułam się, jakby czytała mi w myślach. Nagle zapragnęłam złapać ją za rękę i zrobiłam to.

– Mam podobnie. – Usłyszałam samą siebie. – Właściwie tak samo.

– Wiem. – Uśmiechnęła się gorzko, a ja zmarszczyłam brwi. – Kochasz go, prawda?

– Co?

Przez nagłą suchość w ustach wzięłam za duży łyk kawy. Niemal przestałam czuć język, co tylko wprawiło mnie w jeszcze większy dyskomfort.

– Wiem, że kochasz Kostka – powiedziała, jakby była to najzwyklejsza rzecz pod słońcem – bardziej niż resztę.

Milczałam.

Miałam wrażenie, że bicie mojego serca słychać w całym domu. Dalej trzymałam Hannę za rękę, jej dłoń opłótła teraz moje palce.

Wreszcie na nią spojrzałam.

– Aż tak to widać? – spytałam cicho, czując jednocześnie, jak fala ulgi zalewa moje ciało.

Nie wiedziałam, naprawdę nie wiedziałam, czy czuję ulgę dlatego, że wreszcie ktoś powiedział to głośno, czy dlatego, że padło akurat jego imię.

Bałam się, że wypowie imię kogoś innego.

– Widać – odparła, a jej twarz wydała mi się nagle przejmująco smutna. – Widać, jak na niego patrzysz.

Oddychałam głęboko.

– Czy ty... – zaczęłam, ale nie potrafiłam ułożyć żadnego sensownego zdania, mimo że pod prysznicem prowadziłam tę rozmowę setki razy. – Czy ty i on...

– O Boże, Fio! – Hanna wyrwała palce z mojego uścisku i przycisnęła sobie do ust. – Żartujesz sobie?

Widząc moją skonsternowaną minę, wybuchnęła śmiechem, choć jeszcze przed chwilą była wręcz załamana.

– Myślałam, że... – zająknęłam się. – No wiesz.

– Nie! Fio, musisz wiedzieć, że ja... – Głos uwiązł jej w gardle i znów spoważniała. Przygryzła wargę, ale nie w taki sposób, jak zwykle, kiedy chciała być kokietką. – Ja nie jestem nim zainteresowana. Ani nim, ani żadnym innym mężczyzną.

Zamrugałam.

– Nie musisz mi się tłumaczyć – powiedziałam szybko i odłożyłam filiżankę. Sięgnęłam po papierosa z paczki Adama leżącej na stoliku. – Ja wszystko rozumiem.

– Nie rozumiesz. – Pokręciła głową i niespodziewanie łyzy wielkości grochu spłynęły jej po policzkach.

Kompletnie osłupiałam. Podałam jej drugiego papierosa i zapaliłyśmy razem. Miałam wrażenie, że ta rozmowa przebiegnie łatwiej, jeśli będziemy palić. Należało zająć czymś dłonie.

Jej ewidentnie drżały, nieco sine od chłodnego powietrza, które wdzierało się z ogrodu do salonu.

– Nie możesz rozumieć, bo czasami sama tego nie rozumiem – wydusiła z siebie.

– Jesteś lesbijką? – spytałam najdelikatniej, jak umiałam. – Oczywiście jeśli nie chcesz odpowiadać, nie musisz.

– Nie jestem. – Pokręciła gwałtownie głową, aż włosy opadły jej na twarz. Odgarnęła je niedbale. – Nie wiem, kim jestem. Szczerze mówiąc, nie czuję pociągu do nikogo.

Nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć. Tak mnie zaskoczyła, że wypaliłam papierosa błyskawicznie, aż zakręciło mi się w głowie.

– Ty? – Staralam się, żeby nie zabrzmiało to źle. – Wybacz, że to mówię, ale nie mogę w to uwierzyć. Ty ciągle jesteś taka...

– Tak, wiem. – Hanna pociągnęła nosem i wytarła się rękawem swetra. – Wiem, jaka się wszystkim wydaję. Ale to nie ja. W środku nic nie czuję. Rozumiesz? Nic.

Zaciągnęła się głęboko. Wpatrywałam się w nią, w jej porcelanową twarz, teraz z zaczerwienionym nosem i oczami. Ta scena była wręcz nierealna. Dorzuciłam ją w głowie do swojego wyimaginowanego filmu.

– Próbowalam tylko raz – mówiła cicho – z jednym takim, obiektywnie bardzo, bardzo przystojnym typem. Wiesz, wizualnie mi się podobał, ale równie dobrze mogłabym powiedzieć tak o manekinie w sklepie. Byłam pijana, więc pomyślałam, że może to przez alkohol nie mogę się wczuć. Ostatecznie do niczego nie doszło, bo zwyzywałam go i kazałam spierdalać. – Zaśmiała się przez łyzy, ale niemal natychmiast przestała. Patrzyła przed siebie, na regały z książkami. – Potem było jeszcze wiele okazji, z wieloma chłopakami, których bardzo lubiłam, ale za każdym razem coś mnie paraliżowało. Godzinami

siedziałam na forum dla lesbijek, chociaż wiedziałam, że nie w tym rzecz. Dziewczyny tym bardziej mnie nie pociągały. Zrozumiałam dopiero niedawno, że ja po prostu nie chcę seksu. Nie mam takich potrzeb, nie chcę, żeby ktokolwiek miał dostęp do mojego ciała, ono jest tylko moje. Lubię się przytulać, lubię czuć kogoś przy sobie, ale na tym się kończy. Kiedy tylko myślę, że ktoś miałby mnie... – Wzdrygnęła się.

– Czy... ktoś cię kiedyś skrzywdził?

Uniosła na mnie wzrok. Zgasiła papierosa i napiła się kawy.

– Nie, Fio. Właśnie dlatego nic z tego nie rozumiem. Nikt mnie nigdy nie dotknął w żaden zakazany sposób, nigdy nie miałam nawet problemów w relacji z ojcem, jak to często bywa w podobnych przypadkach. Naprawdę nie wiem, skąd się to wzięło. Ja po prostu nie odczuwam pociągu seksualnego. Chyba jestem aseksualna.

Pokiwałam głową, chociaż wciąż miałam wrażenie, że mówi o kimś zupełnie innym. Przed oczami stanęły mi wszystkie obrazy.

Hanna lubieżnie przejeżdżająca językiem po wargach.

Hanna kręcąca biodrami, przyciągająca uwagę mężczyzn.

Hanna pochylająca się nad kimś, jej dekolt będący obiektem pożądania wszystkich dookoła.

Hanna śmiejąca się do rozpuku z erotycznych żartów, owijająca kosmyk włosów wokół palca.

– Dlaczego udajesz? – spytałam cicho. – Czemu tyle mówisz o seksie?

– Bo miałam nadzieję, że to wszystkich zmyli. – Rozłożyła ręce, jakby w geście poddania. – Kurwa, miałam nadzieję, że to mnie nie zmyli i nagle zacznę coś czuć. Swoją drogą tylko Kostek o tym wie.

– Kostek wie? – Wybałuszyłam oczy.

Nagle przypomniałam sobie swoje kłamstwo, gdy w supermarkecie wrzuciłam do koszyka prezerwatywy. Powiedziałam chłopakom, że kupuję je na prośbę Hanny. Kostek spozjrzał na mnie z rozbawieniem, które wtedy odebrałam zupełnie inaczej.

Na samo wspomnienie moje policzki oblało ciepło. Miałam ochotę walnąć się w czoło otwartą dłonią.

– Tak. Kiedyś na imprezie, na samym początku znajomości, przelizaliśmy się po pijaku.

Skrzywiłam się, jakby uderzyła mnie w brzuch. Zauważyła to i dodała szybko:

– Byliśmy naprawdę bardzo pijani – podkreśliła. – To było dla mnie równie ekscytujące co wypicie po kimś wódki z tej samej butelki. I chwilę później mi powiedziałam. Zareagował najlepiej, jak mógł. Po prostu to przyjął i od tej pory niczego ode mnie nie chciał. Jest dla mnie jak brat. I wiem, że to uczucie jest obustronne.

Miętosiłam w palcach niedopałek, aż resztki tytoniu spadły mi na uda. Strzepnęłam je szybko wierzchem dłoni.

– Słyszałam trochę o aseksualności – mruknęłam. – A właściwie bardziej czytałam. Czy interesują cię w ogóle związki?

– Tego jeszcze nie rozgryzłam. – Wciągnęła głęboko powietrze i odchyliła głowę. – Nie wiem, czy po prostu nie poznałam odpowiedniej osoby, czy może w ogóle tego nie chcę. Do tej pory nie poczułam takiej potrzeby. Przyjaciele to wszystko, na czym mi zależy.

– A twoje sociale? Nie zależy ci na tym?

– Jasne, że zależy. – Uśmiechnęła się z tym głębokim smutkiem w oczach. – Ale mam wrażenie, że to jedynie zapełnia tę pustkę, którą czuję, kiedy patrzę na całą resztę owładniętą seksem i miłością. Chcę, żeby ludzie mnie oglądali, lubili. Chcę pokazywać swoje dni, wieść zwyczajne, godne życie, tak jak moi rodzice. Może nawet kiedyś założyć rodzinę...

Nie odpowiedziałam, ale mój znak zapytania zawisł w powietrzu i Hanna oczywiście go wyczuła.

– Nie wiem, jak miałabym to zrobić – przyznała, drapiąc się po szyi. – Może znajdę drugą osobę podobną do mnie. Niczego więcej nie chcę. Nie chcę być sama, ale bliskość jako taka to coś, co mnie odrzuca. Wszystko w niej ostatecznie sprowadza się do seksu.

Nie mogłam nie przyznać jej racji. Sama jeszcze do niedawna byłam dziewicą i wstydziłam się do tego przyznać. Bałam się, przerażał mnie czyjś dotyk, ale gdzieś w głębi duszy przecież o tym marzyłam. Fantazjowałam o Kostku, odkąd tylko go poznałam.

Fantazjowałam o Adamie.

Na wspomnienie wschodu słońca na dachu chmara potężnych motyli, a może ciem, przetoczyła się przez mój żołądek i całe podbrzusze. Zaciśnęłam palce na uszku filizanki, aż zbiały mi kostki.

– Nie wiem, co ci powiedzieć – przyznałam. – Jest mi przykro, że ciągle miałaś poczucie, że musisz udawać. Nie czujesz się przy wszystkich na tyle dobrze, żeby po prostu się otworzyć?

– Było już parę momentów, w których chciałam to z siebie wyrzucić. – Hanna pochyliła się nad stołem i dołała sobie kawy. – Ale ciągle coś mnie hamuje. Wiesz, jaki jest Robin. Zaraz zacząłby mówić coś w stylu, że jak ktoś mnie porządnie weźmie w obroty, to mi się odwidzi. Nie mam siły na takie dyskusje.

– Pewnie tak... Ale może warto spróbować? W końcu wszyscy ciągle próbujemy siebie zrozumieć i jakoś nam to wychodzi. Raz lepiej, raz gorzej, ale dalej się trzymamy.

– Może – mruknęła bez przekonania. – Pomyślę o tym.

– Każdy z nas ma jakieś tajemnice. – Uśmiechnęłam się. – O ile zakład, że do końca wyjazdu wszystkie wyjdą na jaw?

Odważemniła uśmiech i znów głęboko odetchnęła.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że ci powiedziałam. – Spojrzała mi prosto w oczy. Jej broda drżała, ale Hanna była już wyraźnie mniej roztrzęsiona. – Zwłaszcza jeśli miałaś jakiegokolwiek podejrzenia co do mnie i Kostka. Boże, Fio! Masz wolną drogę. I przede wszystkim wiesz, co i do kogo czujesz.

Roześmiałam się, chociaż nie było mi do śmiechu. Wiedziałam, że nie jestem z nią w stu procentach szczerą. Teraz nie miałam już żadnej pewności co do tego, co czuję.

I do kogo.

– Chyba pójde się jeszcze położyć. – Ziewnęła głośno, po czym z brzękiem odłożyła filiżankę na stolik i wstała, przeciągając się. Spojrzała jeszcze sennie na las. – Oby padało dziś jak najdłużej.

Hanna wróciła na górę i kiedy ucichły jej kroki, wyszłam ponownie do ogrodu. Uniosłam twarz do nieba. Te pierwsze od dawna krople deszczu były jak spadające diamenty.

Poczułam się, jakbym przeżyła kolejny w życiu – tym razem świadomy – chrzest.

Dojadaliśmy w salonie resztki z wczorajszego wieczoru, kiedy Adam wrócił do Domku z Drewna i Szkła cały zarumieniony.

– Tylko na to spojrzcie! – zawołał, stawiając na wyspie kuchennej wielki kosz wypełniony grzybami. – Czekałem na ten moment cały rok. Jest dopiero sierpień, ale deszcz przez ostatnie dni zrobił swoje.

– Wow – mruknęła Hanna, głośno chrupiąc chipsy ziemniaczane. – Niesamowite.

– Racja, dawno nie jedliśmy grzybów – dodał wesoło Kostek, rzucając mi porozumiewawcze spojrzenie.

Nie potrafiłam się nie uśmiechnąć.

– Naprawdę imponujące łupy.

– Piękny. – Adam wydawał się w ogóle nas nie słuchać. Uniósł grzyba z dorodnym, brązowym kapeluszem i wpatrywał się w niego jak urzeczony. – Ludzie boją się grzybów, bo ich nie znają. Kojarzą się nam ze śmiercią i rozkładem, bo rzeczywiście grzyby od tego właśnie są. Rozkładają to, co martwe, żeby ponownie wprowadzić do natury składniki odżywcze. Grzyby mogą cię zabić, jeśli nie masz o nich pojęcia. Właściwie jak ludzie, prawda? Wicie, że jesteśmy bliżej spokrewnieni z grzybami niż z innymi królestwami?

1

Kostek pokręcił głową z grzeczności, a cała reszta – w tym ja – zawtórowała mu jak banda uczniów.

Adam wyciągał wszystkie okazy po kolei i oglądał, a potem wkładał do wielkiego durszlaka w zlewie.

– Setki milionów lat temu oddzieliliśmy się od nich, dołączając do odnogi ewolucyjnej razem ze zwierzętami. Gdy asteroidy walnęły w Ziemię, a do atmosfery przedostał się pył, odcięto dostęp do Słońca i ocalały jedynie grzyby oraz te organizmy, które się z nimi sprzymierzyły. Tak naprawdę jesteśmy potomkami grzybni. Można powiedzieć, że jest matką nas wszystkich.

– Brzmi dość patetycznie – stwierdził Kostek.

– I sama nie wiem, czy religijnie, czy właśnie antyreligijnie – dodała Wenus, która jako jedyna z naszej paczki chodziła czasem do kościoła.

– Dla mnie podstawą każdej religii jest natura – oznajmił Adam. – Ludzie od zawsze tłumaczą sobie ją na wiele sposobów, a większość odpowiedzi mamy na wyciągnięcie ręki, właśnie w tym lesie. Oto, dlaczego nie potrzebuję tu internetu.

Kostek, słuchając tego, uśmiechał się lekko, zaciągając się dymem. Po jego minie wywnioskowałam, że słyszał ten monolog już wcześniej, może nawet nie raz.

– Co zabawne, sieć grzybni, która rośnie pod ziemią, przypomina internet – ciągnął Adam. – To naprawdę ogromna sieć, złożona z nieskończonej ilości długich nici, które tworzą rozgałęzienia. Jest absolutnie wszędzie. Żeby wam to zobrazować: stawiając jeden krok w lesie, macie styczność z czterystoma pięćdziesięcioma kilometrami grzybów. Za ich pomocą drzewa komunikują się ze sobą, tak jak my za pomocą internetu. One ze sobą rozmawiają, wysyłają sygnały. Drzewa silne wspierają te uszkodzone i tak dalej.

– W porządku. – Wenus skrzyżowała ramiona. – Rozumiem, że grzyby są inteligentne. Ale jak to się ma do twojej teorii, że dają ci odpowiedzi na wszystko?

– Myślisz, że twoja świadomość może być stale na tym samym poziomie? – W głosie Adama usłyszałam ten sam ton, którym pytał mnie, co sądzę o jego wierszu. Profesorskie zacięcie, absolutna pewność swojej racji.

– Wciąż nie wiem, co masz na myśli.

– Odpowiedz.

– Nie, całe życie moja świadomość się poszerza, kiedy czytam, oglądam, rozmawiam z ludźmi.

– Ale czy poszerza się o doznania duchowe? Kiedy rozmawiasz z ojcem czy matką, a nawet z kimś dużo starszym, czujesz się mądrzejsza? Wiesz dzięki nim więcej o śmierci, o tym, co może stać się po niej?

Wenus miała taką minę, że nie wiedziałam, czy jest bardziej wkurzona, czy zaintrygowana.

– Po części tak – odparła niepewnie.

– To tylko kolejne opinie od osób, które żyją trochę dłużej i wiedzą tyle co ty, bogatsze o te kilkadziesiąt czy kilkaset rozmów z innymi, którzy żyją trochę dłużej, i tak dalej, i tak dalej. – Adam odłożył grzyby i oparł się o wyspę, patrząc na nas z niewielkiego podwyższenia. W tej pozycji wyglądał jak ksiądz na kazaniu. – Ich zdanie jest cenne, nie podważam go, ale wciąż to ich zdanie. Ich doświadczenie. Życie polega na przeżywaniu własnego doświadczenia. I na poszerzaniu świadomości, żeby choć trochę zbliżyć się do tego, co czeka nas potem...

– Ponawiam pytanie – przerwała mu Wenus. – Co mają do tego grzyby?

Adam zastygł w pozie przywódcy, po czym bez słowa odwrócił się i otworzył małą zamrażarkę w lodówce. Chwilę w niej grzebał, szeleszcząc różnymi opakowaniami. W końcu położył na wyspie przed sobą hermetycznie zamkniętą torebkę, przez którą prześwitywało coś, czego nie mogłam dojrzeć.

– Dobra, mogłam się tego domyślić. – Wenus przycisnęła dłoń do skroni, jakby rozboleła ją głowa. – Magiczne grzybki.

– Stary! – Robin, od razu przechodząc bliżej, zagwizdał. Zaczął oglądać opakowanie z każdej strony. – Gdzie zamawiałeś?

– Zebrałem – powiedział Adam ze spokojem. – Trzeba wiedzieć, gdzie szukać. Próbowaliście kiedyś?

Potrząsnęłam głową, zerkając na resztę. Byłam pewna, że wszyscy poza mną przytakną. Nie zrobił tego nikt.

– Nikogo nie namawiam – dodał Adam, odpalając papierosa, ale bląkający się po jego twarzy uśmiešek sugerował coś innego. – Kiedy pierwszy raz je wziąłem, nie miałem pojęcia, jaka jest odpowiednia dawka. Nie pomyślałem, że suszone działają mocniej i że trzeba zmniejszyć ilość. Przekroczyłem zalecaną dla początkujących jakoś czterokrotnie.

Hanna wybałuszyła oczy i odłożyła chipsy. Teraz trzymała w dłoniach paczkę suszonych grzybków. Miały nienaturalnie długie łodygi.

– I co się z tobą działo?

Adam wypuścił smugę dymu i rozejrzał się po naszych twarzach dokładnie w ten sam sposób, w jaki robił to zawsze Kostek – jak iluzjonista przed punktem kulminacyjnym swojej najlepszej sztuczki.

– Zbliżała się zima, moja pierwsza tutaj – podjął opowieść. – Ususzyłem grzyby parę tygodni wcześniej. Wtedy nie znałem się na nich tak jak teraz i jeśli mam być szczery, trochę ryzykowałem, zbierając je. Nie rosną w wielu miejscach. Opierałem się wyłącznie na wiedzy z książek i Wikipedii. W tamtym czasie jeszcze trochę googlowałem, siedząc na polanie – dodał, widząc zdziwioną minę Wenus. – Kiedy przyszedł grudzień, miałem w zwyczaju przesypiać większość doby, funkcjonowałem tylko, kiedy było jasno, czyli dosłownie parę godzin w ciągu dnia. Pisałem, czytałem, bałem się. Tak, na samym początku pobytu tutaj cały czas się bałem.

Mówiąc ostatnie słowa, spojrzał prosto na mnie. Przełknęłam ślinę, ale nie odwróciłam wzroku.

– Lęk całkiem zdominował moją codzienność. Bałem się samotności. Bałem się ciemności. Bałem się śmierci, ale chyba jeszcze bardziej bałem się życia. Czasem upijałem się do nieprzytomności, co trochę pomagało, wiedziałem jednak, że to droga donikąd. Kiedy w nielicznych momentach przestawałem się bać, bałem się tego, że znowu zacznę. I tak w kółko.

Na chwilę zamilkł i wbił spojrzenie w swoje dłonie. Myślałam, że zobaczę, jak drżą, ale nie. Był opanowany i spokojny, przynajmniej na zewnątrz.

– Wcześniej, jesienią, zebrałem te grzyby i ususzyłem wedle wyczytanych wskazówek. Nie byłem pewny, czy kiedykolwiek ich spróbuję, po prostu chciałem zobaczyć, jak to się robi. Oczywiście miałem świadomość, że to nielegalne, nie jestem kretynem. Ale potem, zimą, było mi wszystko jedno. Ostatecznie uznałem, że w więzieniu tak czy siak mógłbym pisać i czytać książki. – Roześmiał się bez cienia wesołości. – Kiedy poczułem się gotowy, a raczej tak bardzo przerażony, że miałem wrażenie, jakby nic gorszego nie mogło mnie spotkać, zrobiłem z nich napar. Zaraz po wypiciu wyszedłem do lasu, ubrany wyłącznie w buty i spodnie. Kiedy teraz o tym myślę, nie potrzebuję klimatyzacji. – Jednak lekko zadrżał, jakby niewidzialny podmuch wpadł do salonu i kuchni. Patrzył w nieokreślone miejsce gdzieś za nami. – Szedłem, nie czując zimna, ale myślałem tylko o tym, że to nie działa. Przeszło mi nawet przez głowę, że może jednak zebrałem nie te, co trzeba, i zaraz po prostu umrę. Wtedy coś się zmieniło, bo okazało się, że ta myśl nie wywołała

we mnie żadnego lęku. Po prostu umrę, myślałem i byłem niezmiernie szczęśliwy, że jestem na to gotowy. Powtarzałem sobie, że się nie boję. Że niczego się nie boję. Nie wiem, ile razy wymówiłem te słowa, nie wiem nawet, czy mówiłem na głos, czy tylko w myślach, ale słyszałem je bardzo głośno, rezonowały we mnie, a po jakimś czasie miałem wrażenie, że cały las mnie słucha. Słuchały mnie drzewa, śnieg dookoła. W którymś momencie zabrakło mi sił i położyłem się w białym puchu. Wtedy zaczęło się na dobre. Korony nade mną ułożyły się we fraktale wypływające z poszczególnych gałęzi, zobaczyłem barwy, o których istnieniu nie miałem pojęcia. Słyszałem je. Mówiły do mnie, że niczego się nie boję. Naprawdę je słyszałem.

Po twarzy Adama niespodziewanie zaczęły płynąć łzy. Nie wiedziałam, czy powinniśmy coś zrobić. Czy należało go przytulić, o coś zapytać. Nie wyglądał jednak na smutnego, wręcz przeciwnie.

Wydawał się natchniony.

Zerknęłam niepewnie na Hannę, Wenus i Robina, oni spojrzeli na Kostka. Ten pokręcił w milczeniu głową, przyzymkając lekko oczy.

– Wiecie, dopóki się tego nie przeżyje, nie da się tego pojąć. – Adam wreszcie uniósł wzrok. Miał załzawione oczy. – Ale zrozumiałem wtedy więcej niż przez całe swoje życie. Nagle pojąłem wszystko i miałem ochotę znaleźć jakichkolwiek ludzi, żeby wykrzyczeć im prosto w twarz to, czego się dowiedziałem. Objawił mi się sens życia i śmierci.

– Czyli co? – zapytała Wenus, wpatrując się w niego jak w obraz. Widziałam, że oddycha ciężko i zaciska palce na kołyszącym się przy jej piersi krzyżyku.

Adam wziął głęboki wdech.

– To był mój sens, nie mogę tego tak po prostu wam opowiedzieć. Każdy musi poczuć to sam.

Hanna aż jęknęła.

– Mówisz jak polityk na debacie – powiedziała. – Zaczynasz, budujesz wizję, po czym i tak zostawiasz nas z niczym.

– Nie musicie zostawać z niczym – odparł Adam i odebrał jej torebkę. Uniósł ją wyżej, nadal stojąc za wyspą, oddzielony od nas o ten jeden stopień

podwyższenia podłogi. Wyglądał, jakby dzierzył jakieś insygnium.

– Nie, nie, nie – wymamrotała Wenus. – Jestem przeciwna narkotykom.

– Z ziołem jakoś nie miałaś takiego problemu – rzekł Robin. W jego oczach tliła się isierka, której dawno u niego nie widziałam.

– Zioło to co innego – stwierdziła nieprzekonana.

– Ja też dziękuję. – Hanna zdawała się przeczyć sama sobie, bo wpatrywała się w torebkę łakomym wzrokiem.

Adam spojrział na mnie.

– Na mnie nie patrz – zaprotestowałam, czując, jak w brzuchu rośnie mi zimny kamień. – W życiu nie tknę niczego, co może jakoś na mnie zadziałać. Jestem hipochondryczką, pamiętasz?

– Pamiętam – odparł z kamienną twarzą. – Jesteś taka sama jak ja. Jesteś taka, jaki byłem wtedy. Boisz się, Fio. Wszystkiego się boisz. Wiesz, co się stało po tamtym dniu?

Zacisnęłam szczękę, modląc się w duchu, żeby się nie rozplakać.

– Leżałem w tym śniegu, dopóki nie zapadł zmrok. Kiedy wróciłem, zmierzyłem sobie temperaturę. Miałem trzydzieści dwa stopnie. Gdybym spędził tam godzinę dłużej, pewnie bym umarł. Ale nie umarłem. Narodziłem się. Wolny od lęku, jakiegokolwiek. Ten stan utrzymał się do dziś.

– Pieprzysz. – Wenus potrząsnęła głową. Wyglądała, jakby była bliska ataku paniki, mimo że nigdy nie widziałam, żeby odczuwała coś podobnego. – To było placebo, wmówiłeś to sobie.

Adam skierował na nią wzrok.

– A jakie to ma znaczenie? Przestałem się bać. Nie umarłem.

Nagle z całą mocą usłyszałam w głowie słowa ratowniczkii, która wstrzyknęła mi hydroksyzynę.

„Nie umrzesz”.

¹ Informacje pochodzą z filmu *Niezwykły świat grzybów* (2019), reż. Louie Schwartzberg.





o tam porabiacie? – Głos wydał mi się odległy, jakby ojciec dzwonił do mnie z kosmosu.

– No wiesz, czytamy, jemy, odpoczywamy.

– I pijemy?

– Czasem. – Przewróciłam oczami.

– Czujesz się szczęśliwa?

Przez chwilę nie odpowiadałam. Rozejrzałam się po polanie, jakbym miała uzyskać odpowiedź z białych koszyczków krwawnika porastającego ziemię dookoła. Kilka pszczoł latało nad roślinami, odruchowo się odsunęłam, przez co ekran pokazał tylko jedną kreskę zasięgu. Włączyłam głośnik i uniosłam smartfona wyżej, nad głowę.

– Jestem szczęśliwa, tato.

Tym razem nie czułam, że go okłamuję. To zdanie dość naturalnie wydobyło się z moich ust i nie pozostawiło po sobie gorzkiego posmaku.

– Cieszę się, słyszę to w twoim głosie. Jesteś gotowa na wielką przygodę w październiku?

Musiałam domyślać się niektórych słów, bo zaczęło przerywać.

– Nie chcę jeszcze o tym myśleć – westchnęłam. – Jestem tu po to, żeby do niczego się nie przygotowywać.

– Racja, wybacz. Tamara cię całuje.

– Też ją pozdrów – mruknęłam. – Muszę kończyć, wołają mnie.

Dotknęłam czerwonej słuchawki i wystawiłam twarz do nieba. Błękit nade mną znowu zaczęły przecierać ciemnoszare chmury.

Przez ułamek sekundy chciałam poddać się pokusie przeczytania jakichkolwiek newsów, chociażby sprawdzenia pogody, ale wbrew temu włożyłam telefon do kieszeni i z czystą głową ruszyłam w stronę lasu.

Zamiast wracać do Domku z Drewna i Szkła, poszłam na spacer znajomą ścieżką, która prowadziła nad jezioro. Z minuty na minutę robiło się coraz chłodniej. W końcu zaczęło padać. Oddychanie tak rześkim powietrzem

wydawało mi się luksusem, więc brałam głębokie hausty, jakbym chciała dotlenić się na zapas; kolejne fale upałów były zapewne tylko kwestią czasu. Parasol drzew osłaniał mnie przed coraz bardziej zacinającym deszczem, krople uderzały o liście i opadały miękko na ziemię z mniejszym już natężeniem.

Nie wiem, jak długo tak szłam, ale musiałam powędrować myślami dalej, niż niosły mnie nogi, bo nagle się ocknęłam, słysząc jakieś głosy.

Przystanąłam, próbując zlokalizować miejsce, z którego dobiegały.

Gdy trzask łamanej gałęzi przeciął las, bezwiednie schowałam się za najbliższym grubym pniem. Serce dudniło mi w piersi; pożałowałam, że nie wzięłam ze sobą gazu pieprzowego od Hanny. Przez ten miesiąc zdołałam przywyknąć jednak do myśli, że jesteśmy tu całkiem sami.

Głosy były coraz wyraźniejsze, ale nie słyszałam poszczególnych słów, zagłuszała je ulewa. Zaczynałam drzeć z zimna. Wychyliłam lekko głowę, czując się jak bohaterka filmu akcji.

Szkoda, że słabego.

Nogi się pode mną ugięły, kiedy w oddali za drzewami zobaczyłam dwie męskie sylwetki.

Nie byłoby w tym nic aż tak przerażającego, gdyby nie fakt, że mężczyźni mieli na szyjach stryczki i stali na porośniętych mchem głazach. Sznury przywiązane do gałęzi powyżej falowały, gdy nimi poruszali, jakby posługiwali się długim lassem. Byli tyłem do mnie, ale zdołałam zauważyć znajome fryzury.

– Boże – powiedziałam, ale mój głos utonął w deszczu.

Nie miałam pojęcia, co robić. Z całej siły uszczypnęłam się w przedramię, sprawdzając, czy na pewno nie śpię. Zygzak bólu przeszył mi rękę.

– Boże, Boże... – mamrotałam jak mantrę, chowając się dalej, niczym największy tchórz.

Co oni chcieli zrobić?

Usłyszałam kolejny szelest i znów wychyliłam się zza drzewa, żeby zobaczyć, jak zeskoczyli z głazów. Bo zeskoczyli, prawda?

Zamarłam.

Rozległy się głośne śmiechy. Trzymali liny w dłoniach, Adam pokazał coś Kostkowi, jakby czegoś go uczył. Kostek pokiwał głową i podrapał się po szyi. Mieli na sobie zupełnie mokre bluzy i szorty. Nagle odwrócili twarze w moją stronę, więc znów szybko schowałam się za pniem. Przywarłam do niego całym ciałem, jakby był jedyną ostoją, bez której nie będę w stanie utrzymać pionu.

Zauważyli mnie?


Co to, do diabła, było?

Byłam w tak ciężkim szoku, że wszystko wokół jawiło mi się jako abstrakcyjny sen. Próbowałam przetrwać to, co się wydarzyło, ale im dłużej o tym myślałam, tym mniej rozumiałam.

Jeszcze chwilę wcześniej wydawało mi się, że wyznanie Hanny będzie największym sekretem, jaki usłyszałam podczas tych wakacji.

Jak się okazało, nie mogłam bardziej się mylić.



pacerowałam w deszczu jeszcze długo. Cała roztrzęsiona poszłam nad jezioro i patrzyłam, jak krople uderzają w tafle, roztaczając coraz większe kręgi.

Wróciłam, dopiero kiedy zaczęło grzmieć.

Nasze kino plenerowe dawno już przeniosło się do salonu. Teraz też na prześcieradle rozwieszonym na regale z książkami wyświetlała się jakaś disnejowska bajka. Nie znałam jej, ale dźwięk gadających zwierząt wypełniał całe wnętrze. Szklane ściany naprzeciwko były zasłonięte przez ciężkie ciemnozielone kotary.

Wenus z Robinem opierali się o siebie na narożniku, Hanna leżała na brzuchu na podłodze, pisząc coś w dużym zeszytce. Mała nocna lampka, którą położyła obok siebie, oświetlała tylko jej kartki, reszta pokoju tonęła w półmroku, pulsującym co jakiś czas zmieniającym się światłem z projektora. Drobiniki kurzu tańczyły w błękitnej smudze, którą emitował.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu Adama i Kostka.

– Gdzie chłopaki? – spytałam niby od niechcenia, biorąc z miski trzymanej przez Wenus garść popcornu.

– Poszli do piwnicy – powiedziała Hanna, nie odrywając wzroku od zeszytu.

– Po co?

Wzruszyła ramionami i rzuciła mi szybkie spojrzenie przez ramię.

– Jesteś cała przemoczona.

– Gadałam z ojcem – wyjaśniłam.

– Tak długo?

– Miał jakieś problemy – skłamałam i bezwiednie zaczęłam wykręcać sobie włosy, aż kropelki deszczu spadły na dywan. – Idę się przebrać.

Już miałam wejść na schody, kiedy moje spojrzenie zatrzymało się na drzwiach do piwnicy. Były lekko uchylone i sączyło się zza nich blade miodowe światło.

Odwrociłam się w stronę pozostałych, ale byli tak pochłonięci swoimi zajęciami, że bez słowa wślizgnęłam się do środka. Zamiast od razu zejść po stopniach na dół, cicho przymknęłam drzwi i stanęłam w bezruchu niczym intruz.

Wiedziałam, że nie powinnam.

Że śledzę ich jak jakiś creep już drugi raz tego dnia.

Wiedziałam, że naruszam ich prywatność, ale to okazało się silniejsze ode mnie. Musiałam się dowiedzieć, co wydarzyło się w lesie.

Co tam robili.

Na początku słyszałam tylko strzępki słów i towarzyszący im szelest. Coś o samochodzie? Po chwili usłyszałam słowo „pasażerowie”, ale mogłam się pomylić. Może chodziło o pasożyty?

Adam miał nas za pasożytów?

Serce trzepotało mi w piersi jak przestraszony ptak. Zeszłam jeszcze dwa stopnie niżej, starając się być jak najciszej. Zacisnęłam powieki, trzymając się dłońmi chłodnej ściany, i wytrzymałam słuch.

– Wiem, jak jest dla ciebie ważna. – Dobiegł mnie głos Adama i poczułam, jak miękną mi nogi. Bałam się, że jeśli usłyszę więcej, po prostu zemdleję, po czym runę z tych schodów i złamię sobie kark.

– Nie, stary, spokojnie – odparł Kostek obniżonym głosem. – Jest twoja.

– Jesteś pewny?

– Tak, mówiłem ci już. Brałem to pod uwagę.

W ustach zebrało mi się już tyle śliny, że przełknęłam ją, próbując powstrzymać nagłe mdłości; smakowała jak miedź. Nawet nie wiem, kiedy przygryzłam dolną wargę aż do krwi.

– A co, jeśli zmienisz nagle zdanie, a będzie już za późno? – spytał Adam. Pierwszy raz słyszałam w jego głosie taką powagę.

Kostek przez chwilę milczał, rozległ się głuchy brzdęk jakiejś butelki.

– Ta jest pusta – mruknął i znów coś zaszeleściło. Po tym delikatnie podniósł głos: – Nie zmienię zdania. Poza tym nie uważasz, że już jest za późno?

Tym razem to Adam nie odpowiedział.

– Ufam ci, stary – rzekł Kostek łagodnym tonem.

– Okej. Chciałem się upewnić. Po prostu chcę, żeby ona także mi zaufała. Nie chciałbym jej skrzywdzić.

Kostek parsknął dziwnym śmiechem, który zjeżył mi włosy na głowie.

– Ja już to zrobiłem. Bardziej nie możesz.

Przestałam podierać się o ścianę i przycisnęłam obie dłonie do nosa i ust. Miałam wrażenie, że hiperwentyluję. Na palcach wróciłam na górę, bo usłyszałam, że ruszyli w stronę wyjścia.

Sekundy dzieliły nas od tego, żebyśmy się spotkali.

Kiedy wyszli z piwnicy, byłam już na spiralnych schodach prowadzących na poddasze. Kostek trzymał w dłoniach dwie butelki wina. Adam kilka paczek makaronu i słoiczki z zielonym pesto.

– O, wróciłaś! – zawołał, zerkając na mnie z dołu i obdarzając jednym ze swoich najszerzych uśmiechów. – Nie zmarłaś?

– Właśnie idę się przebrać – rzuciłam, szcękając zębami.

Zanim zdążył mnie jeszcze o coś spytać, dwoma susami pokonałam resztę stopni i znalazłam się na górze. Wpadłam do sypialni, zamknęłam za sobą drzwi i w mokrych ubraniach osunęłam się na podłogę. Nie mogłam opanować wręcz epileptycznych ruchów rąk i nóg. Uderzały o ziemię, jak często działa się to podczas moich ataków paniki.

Tym razem to nie był atak paniki.

Za dużo informacji spadło na mnie jednocześnie. Nie wiedziałam, co z nimi zrobić. Nic do siebie nie pasowało. Najpierw Hanna wyznała mi, że nic nie łączy ją z Kostkiem, więc mam wolną drogę. Później zobaczyłam Kostka i Adama, każdego ze stryczkiem na szyi, w środku lasu, a następnie śmiejących się jakby nigdy nic. Jeszcze później usłyszałam, jak Kostek wprost oddaje mnie Adamowi.

Bo chodziło o mnie, prawda?

To, że Adam powiedział mu o tym, co zaszło między nami, było już oczywiste, ale czy Hanna wydała mnie Kostkowi, jeśli chodziło o naszą

rozmowę?

Miałam mętlik w głowie. Wszystko tak niefortunnie zgrało się w czasie, że nie potrafiłam poskładać tego w całość.

„Ja już to zrobiłem. Bardziej nie możesz”.

Czyli Kostek krzywdził mnie świadomie? Przez cały ten czas wiedział, że coś do niego czuję?

Wbiłam paznokcie we wnętrza dłoni, nie wiedząc, czy bardziej jestem wściekła, czy usatysfakcjonowana. Mogłabym przysiąc, że słyszałam w jego głosie nutę zazdrości.

„Jest twoja”.

Byłam kompletną hipokrytką, bo gdy tylko myślałam o tym, że mogę być czyjaś, czułam wypełniające mnie ciepło. Desperacja walczyła we mnie z wieloletnim poszukiwaniem miłości i kobiecą złością, że dwóch facetów decyduje za moimi plecami o moim własnym losie, jakbym była jakimś przedmiotem.

Kiedy wreszcie uspokoiłam się na tyle, żeby być w stanie się przebrać, zdjąłem z siebie mokre ubrania, włożyłam ciepłe dresy i spojrzałam w wiszące na ścianie niewielkie lustro. Wyglądałam koszmarnie. Wilgotne strąki zwisały mi smętnie wokół bladej twarzy.

Uszczypnęłam policzki palcami, próbując nadać im trochę koloru, po czym z wciąż walącym sercem zesłam na dół.

Uznałam, że pozwolę wszystkiemu potoczyć się naturalnym torem. Adam gotował już wodę na makaron i kroił czosnek w drobne plasterki. Kostek rozlewał wino do dużych lampek.

– Dzisiaj na wykwintnie – powiedział, widząc mnie na schodach. – Białe czy czerwone?

– Białe – odparłam, nie mogąc powstrzymać się od zerkania to na niego, to na Adama.

Wreszcie, mimo wielu skrajnych emocji, czułam się główną bohaterką swojego filmu.

– Co piszesz? – rzucił Kostek do Hanny, podając jej kieliszek wypełniony po brzegi czerwonym winem.

– Jakieś swoje głupoty. – Zamknęła zeszyt i zgasiła lampkę, bo teraz światło z aneksu kuchennego zalewało także salon.

Obraz na prześcieradle był przez to mniej widoczny, ale Wenus i Robinowi zdawało się to w ogóle nie przeszkadzać. Patrzyli na bajkę z dziecięcą fascynacją, wyjadając ostatnie ziarenka popcornu z miski.

– Mówiłem, że wszyscy zaczniecie coś pisać – rzucił Kostek z uśmiechem sugerującym samozadowolenie.

– Ja jeszcze nic nie napisałem – burknął Robin z pełnymi ustami.

– Ja też – dodała Wenus. – I nie mam zamiaru.

– Ciągle coś piszesz! – oburzył się Kostek, patrząc na Robina. Postawił jego kieliszek na stoliku kawowym.

– Ale to notatki z treningów.

– Nieistotne, wcześniej wszystko robiłeś w aplikacji.

Robin otworzył usta, ale po chwili machnął ręką.

– Dobrze, jestem teraz pisarzem.

– Cieszę się, mordko.

Kostek złapał go za wystającą spod koca stopę i wykręcił duży palec. Robin wierzgnął nogami i się rozeźmiął.

– Jesteś jebnięty.

Podeszłam do wyspy i sięgnęłam po swoje wino. Wzięłam dwa duże łyki na odwagę i powiedziałam:

– Widziałam was w lesie.

Plecy Adama nawet nie drgnęły. Wrzucał czosnek na patelnię pełną roztopionego masła.

– To musiałaś się nieźle przestraszyć – stwierdził wesoło Kostek, dostrzegając powagę na mojej twarzy. Przytknął swój kieliszek do mojego. Rozległ się przyjemny brzęk. – Bo rozumiem, że zobaczyłaś coś dziwnego?

Zacisnęłam szczękę, nie wiedząc, jak zareagować. Wciąż zerkałam na Adama, ale on uparcie się nie odwracał.

Czemu nic nie mówił?

– O co chodzi? – spytała Hanna, gramoląc się z podłogi. – Co tam robili?

– Rzecz w tym, że nie wiem. – Zaczęłam nerwowo poruszać palcami, czując, że robię z siebie idiotkę. – Chyba...

– No, powiedz to. – Kostek patrzył na mnie z rozbawieniem. Loki opadały mu na czoło, a wokół oczu rysowała się sieć drobnych zmarszczek od uśmiechu.

– Ty mi powiedz – syknęłam.

– Nie denerwuj Fio. – Usłyszałam nagle głos Adama znad kuchenki. – Też bym się wystraszył, gdybym nas wtedy zobaczył.

Wreszcie spojrział na mnie przez ramię. Próbowałam rozgryźć tę minę. Martwił się czy też go to bawiło?

– No? – Rozłożyłam ręce, wylewając przy tym odrobinę wina. – Przystaniecie robić z siebie takich tajemniczych?

– Ja też chcę wiedzieć, o co chodzi! – zawałała Wenus. – Obstawiam, że kopali groby.

– Blisko – mruknęłam.

– Serio?!

– Dobra, to było głupie z naszej strony. – Kostek podrapał się po szyi. – My po prostu...

– Znaleźliśmy w lesie dwa zwisające z drzewa stryczki – dokończył za niego Adam. Odwrócił się do nas, oparł o wyspę i napił się wina. – Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, skąd się tam wzięły, i to jest dość upiorne. Chciałem je zdjąć, zanim ktoś z was je zobaczy.

– Dłatego zakładaliście je sobie na szyję? – zapytałam, ze zdumieniem odkrywając wściekłość w swoim głosie.

Gdy Adam na mnie spojrział, pierwszy raz dostrzegłam w nim coś na kształt skruchy.

– Co, kurwa? – Wenus wytrzeszczyła oczy. – Założyliście sobie stryczki?

– Boże. – Hanna aż się wzdrygnęła.

Robin tylko parsknął, wciąż jednym okiem oglądając bajkę.

– To było idiotyczne, przyznaję – powiedział Adam. – Wiem, że nie powinno się żartować z takich rzeczy. Ale przypomniała nam się scena z *Na śmierć i życie* i tylko dlatego to zrobiliśmy.

– Poza tym skąd mieliśmy wiedzieć, że nas szpiegujesz? – wypalił Kostek. – Przy tobie bym tego nie zrobił. Wiem, że triggerują cię takie rzeczy.

Zacisnęłam usta w wąską linię.

– Wybacz – dodał Adam, znowu rozbrajając mnie spojrzeniem.

Miałam ochotę go pocałować, teraz, przy wszystkich.

Zamiast tego wzięłam głęboki wdech.

– Wybaczam – powiedziałam. – Po prostu wolałabym więcej nie spotykać was w lesie.

Kostek się roześmiał.

– Adam oczywiście szukał grzybów, mimo że mamy ich tonę.

– To wciąż za mało.

– Czemu analizujecie to, że chłopaki założyli je na szyję, a nikt nie przejął się faktem, że w lesie tuż obok nas wisiały dwa stryczki, których wcześniej tam nie było? – zapytała powoli Wenus, która zazwyczaj wyrzucała z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego.

Spojrzeliliśmy na nią wszyscy i zapadła cisza.

Adam wreszcie wzruszył ramionami i odwrócił się z powrotem do kuchenki. Dorzucił do czosnku pokrojoną w kostkę cebulę.

– To pewnie głupi żart – powiedział.

– Żart? – Hanna uniosła brwi. – Żart zrobiony przez kogo? Mówiłeś, że nie ma tutaj ludzi w promieniu kilkunastu kilometrów.

– Jacyś turyści na pewno tędy przechodzą – stwierdził Kostek, popijając wino. Zerknął na plecy Adama, jakby szukał aprobaty.

– Nie podoba mi się to. – Wenus pokręciła głową. – Nie czuję się już tak bezpiecznie.

– Skarbie, nie przejmuj się – powiedział Robin czułym tonem, bez cienia ironii.

Teraz wszyscy – poza Adamem, który do przesady skupił się na smażeniu – ze zdumieniem skierowaliśmy wzrok na niego.

Robin pocałował Wenus w głowę i przytrzymał (o wiele dłużej, niż zrobiłby to przyjaciel) usta u nasady jej włosów. Była tak zaskoczona, że nawet nie zareagowała, ale wyraźnie się uspokoiła. Przyłgnęła do niego jak kotka, a on jeszcze ciaśniej otoczył ją ramieniem. Uśmiechnęłam się mimo poczucia niepokoju, bo ten obrazek wyglądał jak spełnienie najskrytszych marzeń Wenus. Kostek i Hanna też zrobili konspiracyjne miny, mocząc usta w winie.

– Nie mówiłem wam, ale takie żarty zdarzały się już wcześniej. – Usłyszeliśmy nagle głos Adama znad skwierczącej patelni. – Zapewniam, że to nic groźnego. Bywało, że wkraczałem przypadkowo na czyjś prywatny teren, kiedy zabrnąłem za daleko w las. Musicie wiedzieć, że często wyprawiałem się dalej niż kilkanaście kilometrów stąd. Raz na jakiś czas robimy sobie złośliwości z właścicielem działki obok. To wszystko.

Wenus wciąż nie była przekonana, ale w trakcie kolacji znacznie się rozluźniła.

– Co powiecie na magiczny trip? – Adam, nawijając makaron spaghetti na widelec, uśmiechnął się.

– A ten znowu swoje! – wykrzyknęła Hanna.

– Stary, już ci mówiliśmy, nie ma mowy – odparł Robin, choć jego mina zdawała się kompletnie zaprzeczać temu, co mówił.

– Jak ty weźmiesz, to ja też – powiedziała niespodziewanie Wenus, patrząc na Robina.

Z wrażenia aż otworzyłam usta.

– Co?

Wzruszyła ramionami.

– Też chciałabym poznać sens życia.

– Skarbie, chyba wzięłaś to wszystko zbyt poważnie i zbyt dosłownie – powiedział Robin. – Bez urazy, Adam.

– Nie dowiecie się, dopóki nie spróbowacie.

– A ty, co myślisz? – zwróciłam się do Kostka.

Zjadł już swoją porcję. Teraz palił i strzepywał popiół do talerza brudnego od resztek pesto.

– Tylko jeśli wszyscy wezmą.

– Mnie nie bierzcie pod uwagę – powiedziałam znacząco. – Odpadam już na starcie, a nie chcę psuć wam zabawy.

– Może jednak warto się przełamać? – Adam położył dłoń na moim ramieniu i chwilę ją przytrzymał. – Ale oczywiście nie namawiam.

Serce zabiło mi szybciej, jednak stanowczo potrząsnęłam głową. Nie wynikało to wcale z mojej godnej naśladowania moralności, po prostu panicznie się bałam przyjmowania jakichkolwiek nieznanymi substancji, które mogłyby mieć na mnie wpływ.

– Odpadam, ale chętnie posłucham o waszych sensach życia – powiedziałam. Miałam na końcu języka jakiś patetyczny tekst w stylu „Ja i tak odnalazłam już swój sens”, na szczęście się powstrzymałam.

Hanny nie trzeba było przekonywać. W oczach tliły się jej lśniące ogniki podekscytowania.

– Weźmiemy je dopiero w lesie – oznajmił Adam.

– Mogę iść z wami? – zapytałam, ale jego wzrok był dla mnie wystarczającą odpowiedzią. – Okej, rozumiem. Przepraszam.

– Nie, nie przepraszaj – zachnął się. – Po prostu... Musimy mieć wspólną fazę, jak jedna osoba nie bierze, może wyjść różnie. Poza tym masz dużo lęków.

– Ej, ty też miałeś dużo lęków za pierwszym razem – zauważył Robin.

– Dlatego wziąłem grzybki sam.

Pokiwaliśmy głową ze zrozumieniem.

– No okej, to... powodzenia? – Uśmiechnęłam się, rozkładając ręce.

Zaczęli się zbierać.

Na dworze było ciepło i słonecznie, ale po burzowej ulewie też wilgotno i rześko.

– Jesteś pewna? – spytał cicho Adam, podchodząc do mnie, kiedy reszta wyszła już do ogrodu. – Byłabyś cały czas ze mną.

– Jestem pewna. – Stałam na palcach, żeby go pocałować, ale położył palec wskazujący na moich ustach, jakby chciał mnie powstrzymać.

– Nie mogę wpędzać się w miłosny nastrój. – Uśmiechnął się, jednocześnie przybierając rozczarowany wyraz twarzy. – Wtedy za bardzo będzie mi Ciebie brakować.

Nie wiedziałam, czy mówi prawdę i czy rzeczywiście może to mieć sens, ale odsunęłam się powoli, delikatnie dotykając dłońmi jego klatki piersiowej schowanej pod bluzę.

– Uważajcie na siebie – powiedziałam jeszcze, czując się, jakbym wysyłała dzieci na pierwszą samotną leśną wyprawę.

– Dobrze, mam – odparł Adam z szerokim uśmiechem. – Wiesz, że taka faza może trwać kilka godzin, a nawet dłużej? Nie wiem, o której wrócimy.

– Okej – rzuciłam, chociaż nie była to wiadomość, o której marzyłam.

– Nic im nie będzie – dodał, widząc moją minę. – To kompletnie nieszkodliwe, zaufaj mi.

– Ufam.

Gdy zniknęli między drzewami, miałam wrażenie, że oto znów cofnęłam się do czasów bycia kołem zapasowym, że omija mnie coś wielkiego.

Z trudem przełknęłam znajome uczucie i zaczęłam się snuć po Domku z Drewna i Szkła, usiłując znaleźć sobie zajęcie. Z przerażeniem odkryłam, że choć do tej pory nigdy nie zdarzało mi się nudzić samej i – mimo częstych samotnych dołów czy stanów lękowych – raczej dobrze się czułam w swoim towarzystwie, teraz nie mam co ze sobą zrobić.

Cisza bijąca z pomieszczeń była wprost nie do wytrzymania.

Trochę czytałam, potem chciałam pisać, ale znużyło mnie samo patrzenie na kołyszące się przed oczami literki i wreszcie przysnęłam na poddaszu.

Obudziły mnie ponowne grzmoty. Nie było jeszcze ciemno, ale niebo przybrało niepokojąco siny odcień. Wielka burzowa chmura zaglądała przez okno do sypialni, budując atmosferę niemal namacalnej grozy.

W pierwszej chwili zapomniałam, że wszyscy poszli, i ukłucie niepokoju wywołane ciszą zaatakowało mnie, gdy tylko ocknąłam się ze snu. Sięgnęłam

po telefon, żeby sprawdzić, która godzina (choć i tak nie pamiętałam, o której zostałam sama), ale ekran był ciemny. Kiedy go dotknęłam, nic się nie zmieniło.

Smartfon okazał się wyłączony. Podpięłam do niego ładowarkę, dalej leżąc na krawędzi materaca. Ziewnęłam szeroko i czekałam, aż podładuje się na tyle, żebym mogła z powrotem go włączyć. Krople deszczu zaciekle uderzały o szybę na ukośnym suficie. Patrzyłam, jak ścigają się ze sobą, pokonując mnóstwo zakrętów po drodze, mknąc na sam dół ramy okiennej w dzikim szale.

Wyciągnęłam z walizki zdjęcie mamy i przesunęłam palcem po jej twarzy. Nikt o tym nie wiedział, ale między ramką a fotografią tkwiła ostatnia kartka, jaką mi zostawiła. Przez moment miałam ochotę ją wyciągnąć (choć była już pognieciona tak bardzo, że bałam się, iż wreszcie rozpadnie mi się w rękach), ale nie zrobiłam tego. Odłożyłam zdjęcie na półkę.

Mijały długie minuty, a ekran telefonu wciąż się nie rozjaśnił. Gdy znów usiłowałam przywrócić go do życia, grafika pustej baterii zamigłała, jakby smartfon wcale się nie ładował.

Zaczęłam szukać innych ładowarek, ale z każdą sytuacją się powtarzała. Zesłam do salonu i odkryłam, że zegar na piekarniku także nie działa.

– Serio? – powiedziałam sama do siebie, niemal wzdygając się na dźwięk głosu w tym pustym, powoli już ciemniejącym wnętrzu.

W Domku z Drewna i Szkła nie było prądu.

Nawet nie próbowałam udawać, że wiem, co robić w takiej sytuacji. Owszem, jeszcze bardziej poczułam się jak w filmie, ale szukanie bezpieczników nie wchodziło teraz w grę. Podobnie jak próba naprawienia tego na własną rękę.

Wyciągnęłam z szuflady kilka grubych świec i porozstawiałam je w różnych miejscach salonu oraz aneksu kuchennego. W takiej atmosferze, niemal gotyckiej, patrzyłam na cienie płomieni tańczących na ścianie i myślałam o słowach Adama.

„Cały czas gromadzi się tu w jednym miejscu, nie ma ujścia”.

Ciężko było się z tym nie zgodzić.

Pięć sylwetek wynurzyło się z lasu, kiedy było już kompletnie czarno. Gdybym ich nie znała, przeraziłabym się nie na żarty.

Szli bardzo powoli, nie rozmawiając ze sobą. Do salonu weszli też niemal bez słowa. Usłyszałam tylko jakieś pojedyncze pomruki w stylu „okej”, „wiem”, „tak”.

– Nie ma prądu – rzuciłam na powitanie, chociaż na ich widok poczułam tak ogromny przyływ szczęścia, że gdybym była psem, merdałabym teraz ogonem i lizała ich po twarzach, mając gdzieś konwenanse.

– To kolejny etap, widzicie? – odezwał się Adam.

Jego słowa lekko mnie zakłuły, wiedziałam bowiem, że z pewnością nie są skierowane do mnie.

I że nie wiem, co ma na myśli.

– Jaki etap? – zapytałam. – Przechodziliście przez jakieś etapy?

Wenus powoli pokręciła głową. Usiadła na narożniku, zupełnie nie zwracając uwagi na otaczające nas świece, i wychyliła duszkiem całą zawartość szklanki z wodą i cytryną.

– Fio, wiem, że miałam tego nie mówić, ale żałuj – powiedziała, ledwo nadążając nabierać powietrze. – To... To było niesamowite.

– Potwierdzam. – Hanna usiadła obok mnie i spojrzała mi głęboko w oczy. Po czym dodała: – Powiedziałam im.

– Naprawdę? – Ucieszyłam się.

Zerknęłam na resztę, ale każdy wydawał się pogrążony we własnych myślach.

Snuli się po salonie niczym lunatycy. Adam grzebał w szafkach kuchennych, Kostek zaczął składać prześcieradło wiszące wcześniej na regałach z książkami, Robin usiadł obok Wenus i głąskał ją flegmatycznie po włosach. Hanna obejmowała się ramionami, wpatrzona w moją twarz.

– Nigdy w życiu nie czułam się tak bardzo częścią większej całości – wyszeptala, ale nie dlatego, żeby inni jej nie słyszeli. Jej szept brzmiał, jakby pochodził z samego nieba. Hanna brzmiała jak natchniona, jakby doznała

rzeczywistego objawienia. – Leżeliśmy na ziemi, nasze dłonie zlewały się z całym runem leśnym, z drzewami, z niebem. Byliśmy połączeni z całą naturą.

– I ze sobą – dodał Kostek. – W pewnym momencie złapaliśmy się za ręce i zaczęliśmy płakać. Jakbyśmy od zawsze byli po prostu jednością.

Kolejne ukłucie.

Czy skoro nie było mnie z nimi, nie wliczam się w tę jedność? Czy znów, przez własne lęki, mam od nich odstawać?

Adam podszedł do stolika i postawił na nim butelkę domowej nalewki. Widniała na niej etykieta z napisem „pędy sosny”.

– Jest doskonała – podkreślił. – Pijcie z gwinta, nie wiem, gdzie są kieliszki.

Wszyscy zaczęli przekazywać sobie butelkę z rąk do rąk, aż przypomniałam sobie nasze posiadówki nad Cudem.

Kiedy nadeszła moja kolej, pokręciłam głową.

– Ja podziękuję.

– Dlaczego? – zdziwił się Adam.

– Pędy sosny – wyjaśniłam. – Nigdy nie miałam w ustach czegoś takiego.

– *That's what she said* – powiedział Robin.

Wenus spojrzała na niego pogardliwie (z wyczuwalną, mimo wszystko, domieszką nowej czułości, która niepostrzeżenie wkradła się w ich relację).

– Rozumiem – powiedział Adam. – Chociaż mało kto ma na to uczulenie.

– Wierzę, ale wiesz, jak jest. – Skrzywiłam się. – Wolę nie ryzykować. Ogólnie mam opory przed czymkolwiek domowej roboty.

– Fio, od początku lipca jadasz niemal codziennie potrawy z grzybów, które sam zbierałem. – Spojrzał na mnie intensywnie. – Mam się czuć wyróżniony?

– W sumie... Tak – przyznałam szczerze, zdając sobie sprawę, że dziwne jest zarówno to, że je zjadam, jak i to, że mam na nie aż tak wilczy apetyt. Ani jedno, ani drugie wydawało się do mnie nie pasować. – O co chodziło z kolejnym etapem?

– Adam uświadomił nam, że pokonaliśmy pierwszy etap odcięcia się od bodźców, czyli rezygnację z internetu i codziennych rozmów telefonicznych,

później ogólnie z korzystania z laptopów – wyjaśnił Kostek, wydmuchując dym. – I zastanawialiśmy się, jaki musiałyby być kolejny etap. Kiedy wróciliśmy, brak prądu w ogóle nas nie zdziwił. To jak znak od Wszechświata.

– Poradzimy sobie i bez tego – rzucił Robin, wskazując brodą na projektor. – Ważne, że mamy siebie.

– I alkohol – dodała poważnie Hanna, ale chwilę później zaczęła się śmiać i reszta do niej dołączyła, jakby rozmawiali o tym wcześniej i w kontekście byłoby to bardziej zabawne.

Adam też zanosił się śmiechem. Z chęci bycia razem z nimi dołączyłam do tej ogólnej wesołości, ale gdzieś w głębi mojego brzucha czaiło się nowe uczucie, na razie wielkości mikroskopijnego ziarenka.

Uczucie nienazwane, ale wręcz krzyczące, że coś jest bardzo nie tak.

– Czego dowiedzieliście się podczas tego tripa? – zapytał tak dobrze znanym, nauczycielskim tonem Adam, kiedy już się uspokoiiliśmy.

Ja, niczym nieobecna na zajęciach uczennica, milczałam, wpatrując się w pozostałych w oczekiwaniu.

– Że chcę tu zostać na zawsze – powiedziała Hanna bez zastanowienia.

– Ja tak samo. – Wenus spojrzała na nią w porozumieniu, jakie rzadko nawiązywało się akurat między nimi. – Nie wyobrażam sobie teraz powrotu do innego życia. Nie po tym wszystkim, co zobaczyłam.

– Po co mamy tworzyć jakieś nowe relacje, odwiedzać nowe miejsca, kiedy tak bardzo tutaj pasujemy? – Robin rozglądał się dookoła przez szkła okularów; brzmiał, jakby ktoś podkładał pod niego głos, zbyt filozoficznie, zbyt poważnie. – Czyli w sumie zgadzam się z dziewczynami: to najsilniejsze, co poczułem. Że moje miejsce na Ziemi jest tutaj. Z wami.

– Ja dzisiaj jak nigdy poczułem, że jesteśmy jednością. – Kostek powtórzył to kolejny raz tego wieczoru. Nagle spojrzał na mnie, jakby wyczuwał moje myśli. – My wszyscy. Ty, Fio, mam czasem wrażenie, że nie potrzebujesz żadnych grzybków, żeby czuć to bardzo mocno.

Tak bardzo trafił w samo sedno, że nawet nie potrafiłam mu odpowiedzieć. Cieszyłam się jednak, że przynajmniej trochę przyćmił mój niepokój.

– Ja zrozumiałem dzisiaj to samo co podczas pierwszej wizji – powiedział Adam. – Tylko kilka razy silniej. Wiem, jaki jest sens mojego życia, jakie jest moje przeznaczenie.

Zerknął na Kostka tylko przelotnie, co było nie w jego stylu, bo wyglądało to tak, jakby usilnie nie chciał zatrzymać na nim spojrzenia.

Kostek splótł palce u dłoni i wbił wzrok w podłogę.

– Opowiesz nam o tym przeznaczeniu? – spytałam, unosząc brwi.

– Tak, wkrótce opowiem.

Deszcz padał już od tygodnia. Szum ulewy wypełniał Domek z Drewna i Szkła, zamykając go w szczelnym uścisku. To były dni pełne ukojenia dla naszych zmęczonych upałem ciał. Naprawdę funkcjonowaliśmy bez prądu, potem dodatkowo padły nasze telefony. Zanim to się stało, zadzwoniłam od Hanny do taty i oznajmiłam mu, że będzie mały problem z połączeniami, więc proszę, aby się nie martwił. Nie był zachwycony, ale co mógł zrobić.

Było nam dobrze. Od tego wieczoru, kiedy reszta zażyła grzybki, wszystko się zmieniło. Nasze relacje stały się niemal rodzinne, ale z pewnym przekraczaniem granic, jakby te przesuwwały się każdego dnia coraz dalej i dalej. Wenus z Robinem nie kryli już swoich uczuć względem siebie nawzajem, często słyszeliśmy, jak kochają się na poddaszu, a my, bez skrzępowania, spędzaliśmy czas na dole, w żaden sposób tego nie komentując.

Adam zaczął dotykać mnie przy wszystkich.

Tak po prostu.

I tak po prostu nikt na to nie zareagował.

Bawiliśmy się dobrze, jak wcześniej, ale dołączyło do tej zabawy coś jeszcze. Pewien rodzaj intymności, jakiego nie zaznałam nigdy, w całym swoim życiu, a nawet miałam wrażenie, że nigdy o takim nie czytałam, nawet nie potrafiłam go sobie wyobrazić.

Od rana do nocy leżeliśmy w salonie, czytając książki, rozwiązując krzyżówki, jedząc obiady gotowane przez Adama (całe szczęście, że kuchenka była na gaz, a do tego korzystaliśmy z suchego prowiantu, chłodzonego niską temperaturą w piwnicy) i rozmawiając.

W naszych żyłach płynęła teraz biała gorąca czekolada, którą znalazłam w piwnicy i której piliśmy po kilka kubków dziennie. Dziś, gdy przypomnę sobie jej smak, dostaję gęsiej skórki. Wtedy jednak smakowała szczęściem, lenistwem i pochmurnymi dniami wypełnionymi pomrukiem letniej burzy. Kostek lubił dolewać do niej różnego rodzaju nalewek, dlatego spał jeszcze więcej niż wcześniej.

Pamiętam jego loki rozrzucone na poduszce, dywanie i na kartkach książki, którą akurat czytał.

Pamiętam Adama, palącego papierosa za papierosem, zapisującego coś w swoich niezliczonych zeszytach, z białym wąsem od czekolady nad obrysem ust.

Pamiętam Wenus próbującą medytować z zatyczkami w uszach, skuloną w dziwnych pozycjach na macie do jogi, którą rozkładała tuż przy szklanych drzwiach, wiecznie zawiedziona własną kondycją i przeklinająca pod nosem.

Pamiętam nabrzmiałe z wysiłku żyły Robina, napinającego mięśnie, kiedy robił pompki i brzuszki, po czym wypijał hektolitry wody z cytryną i śmiał się z Wenus i jej pozycji psa z głową w dół.


Pamiętam zielone włosy Hanny, które wypadały garściami od słabej jakości farby i które znajdowaliśmy dosłownie wszędzie. Ona sama ciągle chodziła po salonie i dopóki nie padł jej na dobre, nagrywała telefonem na zapas (wiedząc, że wkrótce się wyłączy) mnóstwo filmików. Oczywiście nie publikowała ich, ale nie potrafiła przestać dokumentować wszystkiego, co działo się dookoła niej. Rejestrowała każdy nasz ruch, aż wreszcie przywykliśmy i przestaliśmy odczuwać to typowe napięcie przed obiektywem.


Niektóre nagrania ujrzały już światło dzienne i stały się viralem na TikToku, niektóre stanowią dowody w sądzie.

Na przykład ten, na którym Adam śmieje się do rozpuku, posypując cukrem znalezione w lesie pierwsze muchomora w tym sezonie, po czym udaje, że go oblizuje.

Pamiętam te dni, w których marzyłam tylko o tym, żeby czas zastygł, uwięził nas w sobie jak w szklanej kuli, którą stawia się na kominku w święta. W naszej kuli zamiast śniegu padałby deszcz, a zamiast bożonarodzeniowej chatki z piernika byłby otoczony lasem Domek z Drewna i Szkła.



 Kostek zdmuchnął świece i wszyscy zaczęliśmy fałszować *Sto lat*, a później wiele innych, dużo bardziej prymitywnych jego wersji.

 Hanna wyciągnęła z tortu lekko stopioną jedynkę i dziewiątkę, wbijając przy tym paznokcie w śmietankowe brzegi.

– O czym pomyślałeś? – Wenus klasnęła w dłonie. Oczy błyszczały jej jak małe diamenty. – Tylko nie mów, że nie powiesz, bo jak powiesz, to się nie spełni, bla, bla, bla... To kompletny mit.

– Niby dlaczego? – spytał z przekąsem Kostek.

– Bo jeśli naprawdę wierzysz w swoje życzenie, spełni się tak czy siak. Jest wręcz przeciwnie: im więcej razy je wymówisz, na głos czy w myślach, tym większe prawdopodobieństwo, że się uda.

– Ty i te twoje manifestacje i afirmacje – mruknął Robin, ale przycisnął Wenus do siebie, obejmując ją mocno w talii. Poprawił okulary na nosie. – Ale się podpinam. Też chciałbym wiedzieć, o czym pomyślałeś. Pamiętaj, żadnych tajemnic!

Kostek pokręcił głową z niedowierzaniem, ale i tak uśmiech rozjaśnił mu twarz. Obliznął palec z tortu.

– Pomyślałem, że chciałbym zostać tu z wami na zawsze.

Wenus, Hanna i ja jęknęliśmy chóralnie z rozczuleniem.

– Nie żartujesz? – spytała Hanna, ściskając go za dłonie.

– Nie żartuję. – Kostek wydawał się niezwykle poważny i (jak zawsze, kiedy rzeczywiście nie żartował) patetyczny.

Wszyscy po kolei zaczęliśmy składać mu życzenia, pierwszy raz nie czując przy tym zażenowania. Odcięcie od telefonicznych, pisanych konwersacji nauczyło nas nie bać się swoich odczuć, nawet tych najbardziej zawstydzających.

Nie baliśmy się już przy sobie płakać, wkurzać się na siebie, mówić, co nam nie odpowiada.

Nie baliśmy się mówić sobie wprost, że się kochamy.

Nie baliśmy się patosu.

Nigdy wcześniej nie widziałam Robina, który przytula Kostka z całych sił ze łzami w oczach, nie poklepując go przy tym – jak to kiedyś mówił – „po męsku” po plecach.

Nigdy wcześniej nie widziałam Hanny, która nie rzuca flirciarskich spojrzeń, a po prostu trzyma kogoś za ręce z taką naturalnością.

Nigdy wcześniej nie widziałam Wenus tak szczęśliwej, wpatrzonej w Robina bez cienia złośliwości, tak miłej dla Kostka, w obcisłych szortach, odsłaniających połowę jej krągłych pośladków, bez przejmowania się, czy ktoś na nie spojrzy i źle oceni.

Nigdy wcześniej nie widziałam siebie w lustrze, bez spojrzenia pod tytułem: Co dzisiaj będzie mnie boleć? Albo: Jak przetrwam dzisiejszy dzień bez płaczu i myślenia o tym, co mi się nie udało?

I wreszcie – nigdy wcześniej nie widziałam kogoś takiego jak Adam, chłopaka, który nauczył nas tego wszystkiego, bez którego spędzilibyśmy lato nad Cudem, siedząc z nosami w telefonach, z tymi samymi problemami, które dręczyły nas od lat.

Jedząc pierwszy kęs tortu, ścierałam palcami łyżę z policzków, a że niektóre i tak kapąły na talerz, śmiałam się, zjadając rozmoknięty od nich biszkopt.

– Może to właśnie ten sekretny składnik, żeby wyszedł tort idealny? – Adam podszedł do mnie i nabrał widelczykiem trochę mojego kawałka. – Mmm, dokładnie tak. Spróbuj mojego, jest dużo gorszy.

Wsunął mi do ust widelec z nabitym tortem, a ja oblizałam go, usiłując się nie pobrudzić.

– Rzeczywiście, zbyt mało dramatyczny w smaku – powiedziałam z pełnymi ustami. – Chociaż te łyżę to łyżę szczęścia. Wątpię, że akurat dodały dramaturgii.

– Czekałam na nie od naszej pierwszej nocy, kiedy płakałaś w ogrodzie. – Adam zbliżył się do mojego policzka i delikatnie pocałował miejsce, po którym chwilę wcześniej spływała słona strużka. – A więc tak smakuje szczęście?

Oddałam mu pocałunek prosto w usta, czując na sobie spojrzenie Kostka.

Kiedy Adam oddalił się do kuchni, podeszłam do niego.

– Wszystko okej? – zapytałam, dając mu kuksańca w ramię.

– Tak. – Uśmiechnął się, ale dostrzegłam w tym uśmiechu dziwny smutek. – Cieszę się, że jesteś taka.

– Jaka? – Udałam, że nie wiem, o czym mówi.

– Beztroska. – Wzruszył ramionami. – Chciałbym, żebyś była taka już zawsze.

Skrzywiłam się.

– Czemu ciągle to mówisz?

– Ale co? – zdziwił się, kończąc swój tort.

– Że chcesz tu zostać na zawsze, że ja mam być taka na zawsze... Wszystko na zawsze. To bardziej w moim stylu.

– Bo tak jest.

Patrzyłam na niego, na jego piegi rozsiane po całej twarzy. Lato namalowało mu ich w tym roku zaskakująco dużo. Wyglądał lepiej niż zwykle, a jednak miałam nieodparte wrażenie, że coś jest nie tak.

Zaniepokoił mnie jakiś szczegół, którego nie potrafiłam dojrzeć. Jakbym miała porównać dwa obrazki i znaleźć różnicę, niewidoczną na pierwszy rzut oka.

Coś ledwo dostrzegalnego, jak mikroskopijny skurcz powieki.

– Na pewno wszystko w porządku? – zapytałam już nieco ciszej.

Mogłam przysiąc, że w Kostku, tym, który stał przede mną, wyższym ode mnie o głowę, siedzi drugi Kostek – mały, przerażony, chcący mi coś powiedzieć.

– Tak, Fio – westchnął i mnie przytulił. Staliśmy tak objęci bardzo długo, trzymając talerzyki w dłoniach, przez co nasze prawe ręce niezdarne zwisały z boku, podczas kiedy lewe ścisnęły tę drugą osobą z całych sił. – Wiesz, że cię Kocham?

Kolejne łzy napłynęły mi do oczu.

Ile bym dała, żeby to usłyszeć jeszcze dwa miesiące temu. Teraz jednak wiedziałam, że nie miałyby to żadnego znaczenia. Sens tych słów byłby

zupełnie inny, a ja odebrałabym je nie tak, jak powinnam.

Teraz rozumiałam je całą sobą.

– Też cię Kocham – wyszeptałam w pachnącą rumiankiem szyję.

– Kocham was wszystkich – powiedział cicho, a gdy się odsunęłam i zobaczyłam, że jego oczy także są mokre, dodał głośniej: – Dziękuję, że tu ze mną przyjechaliście.

Hanna, Wenus i Robin stali stłoczeni koło siebie i patrzyli na niego z czułością.

– Pojedziemy za tobą wszędzie, gdzie tylko zechcesz – odpowiedziała Wenus.

Kostek spuścił głowę, loki opadły mu na czoło.

– Wzniesmy za to toast. – Rozległ się głos Adama, który właśnie szedł w naszą stronę. W obu dłoniach trzymał po trzy niewielkie kieliszki wypełnione czerwonym płynem. – Naleweczka, twoja ulubiona!

Podał Kostkowi jako pierwszemu, następnie mnie, a później reszcie. Stał teraz między nami, unosząc kieliszek.

– Za Kostka?

– Za nas wszystkich – powiedział Kostek. – Przecież jesteśmy jednością.

– Jesteśmy jednością – powtórzył Adam, mierząc go długim, intensywnym spojrzeniem, po czym gwałtownym ruchem wychylił całą zawartość.

Kostek zrobił to zaraz po nim.

Wenus i Robin stuknęły się jeszcze kieliszkami z Hanną, po czym także wypili duszkiem czerwoną nalewkę.

Przyłożyłam kieliszek do ust i pomyślałam to, co zawsze, kiedy przyjmowałam nieznany sobie lek albo po raz pierwszy jadłam coś niewiadomego pochodzenia.

Za każdym takim razem dopadał mnie lęk. Czy mój organizm zareaguje wstrząsem anafilaktycznym? Czy pojawią się działania niepożądane? Czy spuchnie mi język i zaczną się dusić? Za każdym takim razem zazwyczaj się poddawałam i po prostu tchórzyłam.

Chyba że zmuszała mnie do tego sytuacja, jak na przykład przy podaniu hydroksyzyny, kiedy nie miałam już wyjścia. Wtedy okazało się, że nic się nie stało. Ratowniczką powiedziała mi po prostu „Nie umrzesz”.

I po prostu – pełne zdziwienie – nie umarłam.

Chyba że był przy mnie ktoś, kto życzył mi dobrze i komu w pełni ufałam, jak na przykład wtedy, kiedy pierwszy raz pomieszałam leki z alkoholem w obecności Adama.

Nie zastanawiając się dłużej, otoczona ludźmi, którzy znaczyli dla mnie więcej, niż ja sama dla siebie znaczyłam, przechyliłam kieliszek i domowej roboty nalewka spłynęła mi prosto do gardła. Język otulił słodki, nieco migdałowy smak, ale przede wszystkim wyczuwalny był spirytus, przez co głośno wypuściłam powietrze przez usta.

Wszyscy się krzywili i próbowali udawać, że wcale nie mają ochoty zionąć ogniem.

– Ale mocne gówno! – Robin zarechotał. – Kurewsko dobre!

– Z czego jest ta nalewka? – spytała Hanna, odkładając kieliszek.

Adam niespodziewanie przytrzymał jej dłoń.

– Na drugą nóżkę?

– No pewnie! – zawołała Wenus, odsłaniając rząd śnieżnobiałych zębów i różowych dziąseł. – To maliny czy truskawki?

Adam wrócił po chwili z następną kolejką.

– A jak myślicie?

– Ja obstawiam, że to coś innego. – Robin ochoczo sięgnął po kieliszek. – Może poziomka?

– Nieee, bardziej dzika róża – powiedziała z uporem Wenus i powąchała zawartość kieliszka. – Tak, to dzika róża. Moja babcia robi takie nalewki.

– Koniecznie musimy jej przywieźć na zapas, żeby spróbowała innego przepisu. – Robin spojrział na nią (zachwyconą tym „my”) i uniósł swój kieliszek. – Jeszcze raz, za nas wszystkich!

Adam podał mi porcję bez słowa, patrząc głęboko w moje oczy. Poprzednia kolejka zdążyła już rozgrzać mi gardło, a teraz powoli ścieliła sobie miejsce

w żołądku. Pod wpływem jego wzroku zaczęłam też odczuwać przyjemne ciepło w podbrzuszu.

– Za nas – powiedziałam do niego bezgłośnie, ale nie odpowiedział.

Po prostu wypił nalewkę, nie odrywając ode mnie oczu.

Zrobiłam to samo.

– Zrobiłaś to dla mnie? – zapytał niespodziewanie, aż zapało mi dech, że znowu czyta mi w myślach.

Nie chciałam przesadzić z romantyzmem, chociaż było to kuszące.

– Dla was – powiedziałam, uśmiechając się. – Dla was zjadłabym nawet muchomory w cukrze.

Twarz Adama drgnęła.

– To zabawne – wykrztusił.

– Co takiego?

– Bo tak się składa, że ta nalewka jest z muchomorów.

Roześmiałam się głośno.

Zaraz po tym zerknęłam na Kostka. Miał już pusty kieliszek i puste spojrzenie. Zauważyłam, że jego dłoń drży.

– Kostek? – spytałam. – Co się dzieje?

– Nic – odparł szybko i odłożył szkło, po czym zaczął mierzwić sobie włosy nerwowymi ruchami.

– Ej. – Hanna podeszła do niego i położyła mu dłonie na ramionach. – Jesteś z nami, cieszymy się chwilą. O czym myślisz?

Kostek wyglądał, jakby miał się rozpaść na kawałki.

O czym wtedy myślał?

Tego mogę dziś tylko się domyślać, bo jedyne, co odpowiedział w tamtej chwili, to:

– Bardzo mi przykro. Przepraszam was.

– Co? – Wenus zmarszczyła brwi i także do niego podeszła. – Co się dzieje?

– Wszystko w porządku – oznajmił donośnie Adam i zebrał od wszystkich puste kieliszki. – Chodźmy do lasu, tak jak planowaliśmy. Zrobimy sobie

impresę na łonie natury.

– Kostek? – Robin też wydawał się zaniepokojony.

Spojrzałam na Adama pytająco, ale nie patrzył na mnie.

Nie wiem, czy to właśnie w tamtej chwili stał mi się zupełnie obcy, czy może parę sekund później, kiedy ni stąd, ni zowąd złapał Kostka za ramię i wbił mu palce głęboko w skórę.

– Idziemy – wycedził cicho.

– Hej! – krzyknęłam i ruszyłam za nimi.

Słyszałam za plecami głosy Wenus i Robina.

– Zostaw mnie – mówiła Wenus rozdrażnionym tonem. – Poradzę sobie.

– Skarbie, widzę, że już cię wzięło.

– Wcale nie!

Hanna dobiegła do mnie i ścisnęła moją dłoń.

– Fio? – Jej oczy były ogromne i pełne niepokoju, jak wtedy, gdy jechałyśmy samochodem w tę stronę.

Jak wtedy, kiedy mogłyśmy jeszcze zawrócić.

– Nie wiem, o co chodzi – przyznałam i przelknęłam ślinę. – Dogońmy ich.

Czując coraz większy gorąc w żołądku i miękkość w nogach, szłam szybko w kierunku lasu, aż wreszcie zaczęłam biec.

Wszyscy biegliśmy.

Sylwetki Kostka i Adama robiły się coraz mniejsze, znikwały między drzewami, czasem tak bardzo rozmywając się na tle drzew, że wydawało mi się, że wcale ich tam nie ma.

Im dłużej biegłam, tym bardziej czułam, jak alkohol krąży mi w żyłach. Czy po dwóch kieliszkach człowiek może być aż tak pijany?

Owszem, miałam słabą głowę, ale czy na tyle, żeby drzewa dosłownie wirowały dookoła mnie, jakbym biegła po karuzeli?

– Zaczekajcie! – krzyknęłam, czując ból pod żebrami. Kolka złapała mnie niespodziewanie, jednak nie zamierzałam się jej poddawać.

Zerknęłam za siebie. Hanna, Wenus i Robin też biegli, ale byli daleko w tyle.

Adam wreszcie się zatrzymał. Kostek tuż przy nim.

Kiedy udało mi się do nich dotrzeć, zauważyłam, że jesteśmy w tym samym miejscu, w którym nakryłam ich kilka tygodni temu. Stały tam dwa wielkie gałęzy pokryte mchem, a tuż nad nimi, na gałęzi rozłożystej sosny, wisały dwa stryczki.

– Co wy, do diabła... – zdążyłam z siebie wydusić, po czym fala gorących wymiocin chlusnęła mi z ust.

Spojrzałam ze zdumieniem na kałużę niestrawionego obiadu pod swoimi stopami.

Nie wymiotowałam od dziesiątego roku życia.

Nie potrafiłam wymiotować.

– Co, do... – powtórzyłam zupełnie bez sił, kiedy cała reszta dobiegła do mnie, dysząc ciężko.

Hanna spojrzała na mnie wielkimi oczami.

– Boże, Fio! – Dopadła do mnie dwoma susami i pochyliła się. – Niedobrze ci?

– Trochę – wymamrotałam, czując żółć w ustach. Dalej nie byłam w stanie pojąć, co się właśnie wydarzyło.

Bałam się tego od kilkunastu lat. Wszystkie moje stany lękowe, ataki paniki i napady niepokoju rozbijały się głównie o to. Bałam się, że zwymiotuję. Było to na tyle silne, że mój organizm, żeby mnie obronić, pozbył się tego odruchu.

A teraz zrobił to zupełnie bezwiednie, jakby nie mógł nad tym zapanować.

– Szybko – powiedział nagle Adam, zupełnie nie zwracając uwagi na mnie i całą resztę. Wpatrywał się w bladego jak papier Kostka. – Zakładaj to.

– Nie mogę... – wymamrotał Kostek. Jego usta miały kolor śniegu. Spojrzał na mnie z tak wielką pustką w oczach, że niemal krzyknęłam.

Naprawdę bardzo chciałam krzyknąć, ale czułam, że nie mam siły. Moje ręce i nogi stawały się wiotkie, jak gdybym nie jadła nic od wielu dni.

– Nie wkurwiał mnie! – Krzyk Adama odbił się echem od drzew, aż stado ptaków siedzących na gałęzi nieopodal wzbilo się w powietrze. – Zakładaj to, do kurwy nędzy!

Kostek, cały się trzęsąc, sięgnął po stryczek.

– Co ty robisz? – spytała Wenus drżącym głosem.

Kiedy na nią spojrzałam, moje serce zupełnie zamarło.

Jej zawsze oliwkowa cera przybrała odcień jasnofioletowej lawendy. Robin, cały czas trzymając jej rękę, zrobił dwa kroki naprzód i stanął przed nią, jakby chciał zasłonić ją swoim ciałem.

– Możecie wyjaśnić, co tu się dzieje? – Jako jedyny zdawał się być trzeźwy.

Adam założył sobie na szyję stryczek i stanął na głazie. Próbowałam ocenić, na ile realna jest ta sytuacja, a na ile jestem pijana i to, co właśnie widzę, jest efektem tego stanu.

– Nie radzę wam teraz nic robić – ostrzegł Adam.

– Co ty pierdolisz? – wycedziła Hanna, stojąc pomiędzy mną a Robinem i Wenus. – Natychmiast stamtąd złażcie. Kostek!

– Najebaliście się i wam odbiło – rzucił Robin ostrym tonem. – Zejdźcie, zanim zrobicie coś bardzo głupiego.

– Chcecie zostać tu na zawsze? – spytał Adam z zadziwiającym spokojem.

Usiłując trzymać się resztek zdrowego rozsądku, wpatrywałam się w niego tak długo, dopóki na mnie nie spojrział.

– Adam – wycharczałam, czując, jak kolejna fala wymiocin zbiera mi się w gardle. – O czym ty mówisz?

Kostek, cały czas ze sznurem luźno oplatającym jego szyję, podniósł dłoń w uspokajającym geście.

– Posłuchajcie go – powiedział, ledwo odrywając od siebie blade, spierzchnięte wargi. – Proszę, posłuchajcie go.

Nie mieliśmy pojęcia, co powiedzieć, więc po prostu milczeliśmy.

Następna zaczęła wymiotować Hanna. Zgięła się nagle wół i wyrzuciła z siebie krwawą strugę.

– Boże. – Usłyszałam własny głos, ale wydawał się dochodzić z oddali. – Boże, nie...

Zatkałam sobie uszy i zacisnęłam usta. Serce wyrywało mi się z piersi, czułam, jak palą mnie wnętrzności. Dopiero w tym momencie zaczęłam

wpadać w panikę.

Zwymiotowałam po raz kolejny. Teraz już obie z Hanną klęczałyśmy na leśnym runie, pozbywając się z żołądków wszystkiego, co w sobie zawierały. Łzy płynęły mi ciurkiem po twarzy.

– Wypiliście nalewkę z muchomorów. – Adam także brzmiał, jakby mówił do nas z nieba. A może z piekła? Na pewno jego głos nie należał do ludzkich. Był z wielokrotnionym, docierał z każdego miejsca, które nas otaczało. – Widzę, że dawka okazała się większa, niż myślałam, i zaczęły działać nieco szybciej. Wedle moich obliczeń umrzecie za kilka godzin w ogromnych męczarniach.

Słyszałam go, ale nie słuchałam. Moje gardło także wydawało się przedśmionkiem piekła; miałam wrażenie, że wszystko w środku płonie żywym ogniem. Jeszcze chwila, a wyrzycam całą wątrobę, potem nerki i płuca, pomyślałam – i była to myśl tak abstrakcyjna, że niemal się roześmiałam.

Nie miałam jednak sił ani na śmiech, ani na płacz.

Walczyłam o każdy oddech, kiedy torsje nie ustawały i kolejne fale wymiocin łądowały pod moimi stopami.

– W domu jest dużo ostrych przedmiotów. W piwnicy znajduje się też broń, naładowana – ciągnął Adam ze stoickim spokojem. Stał na głazie niczym posąg na monumencie, trzymając kurczowo stryczek. – Lepiej ich użyjcie, jeśli chcecie sobie ulżyć. Zaraz po tym zobaczymy się po drugiej stronie. Nie bójcie się.

– Co ty pierdolisz?! – wrzasnęła Robin.

Podbiegł do nich, usiłując ściągnąć Kostka z kamienia, jednak Adam był szybszy.

Kopnął Robina prosto w żołądek i ten padł na ziemię, jęcząc.

– Robin! – Wenus przewróciła się o wystającą gałąź i doczołgała do niego. – Co się z wami, kurwa, dzieje?! Przestańcie, proszę!

– Nie ma czasu na histerię. – Adam był zupełnie pozbawiony emocji, w przeciwieństwie do Kostka, który stał tuż obok niego i wstrząsały nim konwulsje. – Zróbcie, co mówię, a wszystko będzie dobrze – mówił głosem androida. – Ufacie mi, prawda?

Hanna wyciągnęła z kieszeni telefon i usiłowała go włączyć.

– Kurwa... – Zaczęła płakać, wycierając czerwoną strużkę z kącika ust. – Kurwa, kurwa, kurwa!

– Idźcie do Domku z Drewna i Szkła. Zróbcie to jak najszybciej, a wszystko odbędzie się zgodnie z planem.

– Jakim planem?! – wrzasnęła Wenus. Usiłowała postawić Robina do pionu, klepała go po policzkach i szczypała po twarzy. – Co jest z tobą nie tak?!

– Nie muszę wam już tłumaczyć, że nie spotkaliśmy się tu przypadkowo – powiedział Adam. – Byliście w tym samym miejscu co ja. Wiecie, jakie jest nasze przeznaczenie. Nie udawajcie teraz zdziwionych.

– Boże, o czym ty mówisz? – jęknęłam, przyciskając palce do ust. Chciałam za wszelką cenę powstrzymać kolejne wymioty. Całe moje ciało zaczęło drżeć.

– Ty nic nie wiesz, bo jako jedyna nie chciałaś wziąć grzybków. – Nie poznawałam jego głosu. Był tak obcy, jakby pochodził z wnętrza kogoś, z kim nigdy nie chciałabym mieć nic wspólnego. – Nie zobaczyłaś tego co wszyscy, ale chyba i tak to czujesz, prawda? Powinniśmy zostać razem, już na zawsze.

– Ale przecież nie w ten sposób – wydyszała Hanna, wciąż uparcie próbując włączyć telefon, mimo że od trzech tygodni nie mieliśmy prądu.

Nie było na to szans.

– Nie powiedziałem wam wszystkiego. Miałem wizję, tamtej zimy, kiedy wziąłem je pierwszy raz. Przez całe życie czułem, że czegoś mi brakuje. Szukałem tego w przypadkowych dziewczynach, szukałem tego w sztuce, w książkach, filmach, w studiach. A potem w moim życiu pojawił się Kostek. Kiedy pierwszy raz go zobaczyłem, poczułem, jak wypełnił wyrwę w moim sercu...

Adam zawiesił głos i zerknął na Kostka, który ślaniał się już na nogach. Był cały mokry na twarzy; wielkie, błyszczące krople potu pokrywały każdy milimetr jego skóry.

– Kiedy tak leżałem w śniegu, tracąc ciepło, przypominałem sobie. Wszystko sobie przypominałem... Nagle moja niechęć, a wręcz nienawiść do

samochodów i wszelkich technologii stała się jasna. Przebłyski, jak migawki, które towarzyszyły mi od wczesnego dzieciństwa, ułożyły się w kompletną całość. Włączone radio samochodowe, a później tylko głośny huk i pustka. Przez samochód jadący prosto na mnie wypadłem przez barierki prosto z górskiej drogi. Spadałem bardzo długo, aż wreszcie auto eksplodowało. Jego części rozproszyły się po całym lesie. Spójrzcie, tutaj leży kawałek zwęglonego zderzaka.

Niemal nie kontaktując, spojrzeliśmy we wskazanym przez niego kierunku. I rzeczywiście – pod jednym z drzew coś leżało. Obraz jednak tak falował mi przed oczami, że nie byłam w stanie stwierdzić, czy to zderzak, czy może kawałek spalonej gałęzi.

– Zobaczyłem swoją śmierć, której doznałem w poprzednim życiu. Po tej wizji byłem tak przejęty, że kiedy doszedłem do siebie, zacząłem grzebać w internecie. I faktycznie niecałe trzydzieści lat temu miał tutaj miejsce wypadek samochodowy. Auto wypadło z drogi i zginął człowiek, którego nikt nie był w stanie zidentyfikować. Sprawczynią okazała się kobieta, która w trakcie jazdy korzystała z telefonu komórkowego i nie zauważyła, że zjechała na przeciwległy pas. Razem z nią jechały jej dwie przyjaciółki i narzeczony.

– Co to wszystko ma do nas? – jęknęła przeciągle Hanna. Złapała się za brzuch i niemal przewróciła we własne wymiociny. Chwilę potem oparła się o drzewo tuż za sobą.

– Spróbuję sprowadzić pomoc – powiedział Robin, któremu udało się stanąć na nogi, chociaż i on zaczął się zataczać.

Adam parsknął nieprzyjemnie.

– Powodzenia.

– Zamknij się – warknął Robin, wymierzając pięść w jego stronę. – Jeśli chcesz, to się powieś, ale mnie i moich przyjaciół w to nie mieszaj. Nie mam zamiaru zginąć przez jakiegoś psychola. Kochanie, chodź, błagam – zwrócił się do Wenus, która leżała na ziemi z półprzymkniętymi oczami. – Spróbuję wziąć cię na barana.

– Nie... – szepnęła.

Ale Robin złapał ją mocno i zarzucił sobie na ramię. Wenus nie była w stanie dłużej protestować. Jego siła fizyczna była w tej chwili na wagę złota.

– Zaraz po was wrócę – powiedział, patrząc na mnie i Hannę. – Będę najszybciej, jak się da. Pilnujcie tylko Kostka, proszę.

Zataczając się, powoli ruszył w stronę Domku z Drewna i Szkła, aż zniknął między drzewami.

Adam patrzył za nim, a w jego oczach błysnęła wściekłość.

– Kostek – wycodził przez zęby. – Powiedz coś.

– Dziewczyny. – Kostek miał błagalny ton, którego przენigdy nie słyszałam z jego ust. – Posłuchajcie go, on mówi prawdę.

– Przecież to jakieś kompletne brednie – jęczała Hanna, co chwilę plując różową pianą. – Powiedźcie, że to jakiś chory żart.

Ja nie byłam w stanie wykrzesać z siebie ani jednego słowa. Oddychałam ciężko, skupiając się na każdym hańście powietrza. Cały brzuch i przełyk płonęły mi żywym ogniem. Kwas żołądkowy podchodził mi do gardła przy każdej próbie przełknięcia śliny. Jelita skręcały się w supły i czułam, że jeszcze chwila, a nie wytrzymam i naprawdę wypłyną ze mnie wszystkie wnętrzości.

– Też to widziałem – powiedział słabo Kostek. – Nie powiedziałem wam, ale byłem wtedy z Adamem. Tamtej zimy, tutaj.

– Co? – Wreszcie wydobył się ze mnie chrypliwy, żalony szept.

Spojrzałam na niego, a on wytrzymał mój wzrok, chociaż ból nie pozwalał mu na utrzymanie głowy w tej samej pozycji. Wypuścił powoli powietrze.

– Chodzi o to, że...

– Kostek i ja byliśmy tą samą osobą w poprzednim wcieleniu – dokończył Adam. – Mieliśmy ten wypadek jako jeden człowiek, a w kolejnym życiu, tym, które aktualnie wiemy, musimy żyć jako osobne jednostki. Jedynym sposobem, żeby znów być sobą, to zabić się razem.

Sens tych słów docierał do mnie w spowolnionym tempie. Przez głowę przemknęło mi, że gdyby Robin to usłyszał, wybuchnąłby gromkim śmiechem.

Gdyby to były normalne okoliczności, a my siedzielibyśmy w salonie, popijając nalewkę z malin.

– Boże Święty... – Hanna doczołgała się do głazu, usiłując wyciągnąć rękę w stronę nóg Kostka. – Proszę, zjedź stamtąd. Błagam cię, Kostek!

– Nie mogę. – Głos Kostka był słaby. – Zaufaj mu, on wie, co mówi. Ja też, dopóki go nie spotkałem, byłem ciągle niepełny. To wszystko prawda, mam te same wspomnienia, doznałem tej samej wizji.

Hanna łkała jak małe dziecko.

Ja nie miałam już w sobie łez. Nie miałam żadnych sił, żeby powiedzieć cokolwiek ani żeby zadać pytanie. Las rozdziwił się w moich oczach, czas przestał płynąć. Skupiłam się wyłącznie na oddychaniu, bo płuca zaczynały odmawiać mi posłuszeństwa.

Wiecie, teraz myślę, że to całkiem zabawne.

Całe życie się czegoś boisz, do tego stopnia, że lęk paraliżuje cię w najzwyklejszych momentach, a kiedy to już się dzieje, nagle jesteś z tym pogodzony.

Nie boimy się tego, co jest.

Boimy się tego, co może się stać.

Gdy to naprawdę się stanie, jest już po wszystkim.

– Jesteś chory – powiedziałam z trudem, patrząc na Adama, mimo że nie potrafiłam skupić spojrzenia na jednym punkcie. Wzrok uciekał mi we wszystkie strony. – Jesteś bardzo chorym człowiekiem.

– To ty jesteś chora – warknął. – Jesteś zamknięta jak większość zaślepionego społeczeństwa. Żyjesz w bezpiecznej bańce tchórza, nie chcąc poszerzać swojej świadomości. Nigdy nie zaczniesz naprawdę żyć, nigdy! Ja daję ci na to szansę, a mimo to nie chcesz z niej skorzystać. Myślisz, że twoja matka jest z ciebie dumna?! – Kiedy krzyczał, kropelki śliny pryskały z jego ust na wszystkie strony, niektóre wyglądały jak krople krwi. Zaczął kaszleć, ale po chwili atak ustał, pozostawiając po sobie tylko świszczący oddech.

– Nie waż się mówić o mojej mamie – powiedziałam to bardzo powoli, a świat na chwilę się zatrzymał.

– Ona też była według ciebie chora? – wycodził Adam. – Była nieszczęśliwa, ale mądrzejsza od ciebie i najwyraźniej chciała żyć inaczej,

dlatego podjęła dobrą decyzję. Ty najchętniej ciągle taplałabyś się w swoim bagienku cierpienia. Nie znalazłaś tu szczęścia? Nie czujesz się nagle widziana, lepsza, niewybrakowana?

– To wszystko iluzja – wycharczałam. – Twoja chora iluzja.

– Razem z nami muszą umrzeć cztery osoby. Tyle, ile brało udział w naszym wypadku. Wtedy wszyscy narodziemy się na nowo.

Hanna chyba znów zamierzała się rozszlochać, ale głos uwiązł jej w gardle i zaczęła dławić się wymiocinami. Zmotywowało mnie to na tyle, że ruszyłam się z miejsca i doczłapałam do niej na czworakach, po czym przytrzymałam jej głowę, tak żeby mogła swobodnie zwracać.

– Już, już – wyszeptalam, głaszcząc jej włosy w kolorze mchu, na którym leżała. – Wytrzymaj, Robin zaraz po nas wróci.

Ale Robin nie wracał.

Nie miałam pojęcia, ile czasu minęło, wydawało mi się, że leżymy tu już długie godziny. Nikt z nas nie miał zegarka. Słońce zniknęło z pola widzenia, niebo było błękitne, a ptaki ćwierkały, jakby nic złego się nie wydarzyło.

Natura rzeczywiście miała nas, ludzi, w głębokim poważaniu.

– Wiedziałeś o tym wszystkim od samego początku? – zwróciłam się do Kostka, ale znak zapytania chyba nie wybrzmiał i z moich ust wydobyło się po prostu ponure stwierdzenie.

Kostek spuścił głowę, jego ramionami wstrząsnęły kolejne drgawki.

– Przepraszam... – Załkał. – Tak bardzo was przepraszam. Chciałem, żebyście uwierzyli, że naprawdę musimy zrobić to wszyscy razem.

– Kostek, przecież to kompletne brednie! – wrzasnęłam, nie mając pojęcia, skąd bierze się we mnie jakakolwiek siła. Miałam wrażenie, że nic już nie widzę, ale jakaś część mnie kurczowo trzymała się życia i nie chciała odpuścić. – On zrobił ci wodę z mózgu! Jaka jedność? Jakie poprzednie wcielenie? Przecież ty jesteś ateistą!

– Nie. – Kostek potrząsnął głową. – Naprawdę to widzieliśmy. Wiem, że Adam nie kłamie. Pamiętam ten wypadek, widziałem to, wtedy...

– Kostek... – Przysunęłam się bliżej, tak że udało mi się dotknąć palcami prawej dłoni czubka jego buta. – Zdejmij to.

Adam patrzył na mnie nienawistnym spojrzeniem. Kiedy tylko spróbowałam zbliżyć się do Kostka, zdjął stryczek z szyi i zbliżył się do mnie.

– Nawet nie próbuj. Jeśli będziesz posłuszna, nic ci nie zrobię.

Wiedziałam, że bez broni, choćby prowizorycznej, nie dam rady.

Adam był teraz zupełnie inną osobą niż ta, którą polubiłam.

Którą pokochałam.

– Ty skurwysynu – rzuciłam w jego stronę. – Jesteś mordercą.

– Nie jestem – odpowiedział gwałtownie. – Nigdy w życiu nikogo nie zabiłem. To mnie zabiło!

– Współczuję ci. – Spróbowałam przybrać łagodny ton, widząc, że atakiem nic nie zdałam. Chciałam tylko ratować Kostka. – Naprawdę mi przykro, że tak myślisz, ale wiedz, że to był rodzaj halucynacji. Sam mówiłeś, że grzybki wywołują...

– Wiem, co widziałem! – przerwał mi, znów zanosząc się spazmatycznym kaszlem. Kolejne kropelki krwi spadły prosto na moje dłonie. Jego oczy okalały teraz ciemne obwódki. – Nie masz pojęcia, jak długo na to czekam. Kostek jest dla mnie wszystkim. Jesteśmy jednością.

Obłąd w jego oczach przeraził mnie na tyle, że bezwiednie zrobiłam kilka kroków w tył.

– Hanna – szepnęłam, szarpiąc ją za rękę. – Musimy uciekać... Hanna?

Miała zamknięte oczy i otwarte usta. Kilka mrówek zaczęło chodzić po jej policzku, więc impulsywnie zaczęłam w nie uderzać.

Wymamrotała coś nieprzytomnie.

– Obudź się! – krzyknęłam, powstrzymując kolejne torsje.

Wreszcie udało mi się uklęknąć. Jeszcze tylko postawić jedną stopę na mchu, potem następną. Może uda mi się przejść chociaż parę metrów, żeby Robin usłyszał mój krzyk. Myślałam wtedy tylko o tej jednej czynności.

Nie umrzesz.

Nigdy wcześniej nie marzyłam bardziej o tym, żeby po prostu żyć.

Nie umrzesz.

Nie tutaj i nie teraz.

Skierowałam wszystkie siły, jakie mi pozostały, do mięśni rąk i nóg. Wreszcie stanęłam, czując, jak cały las wiruje dookoła mnie.

– Dokąd idziesz? – spytał Adam, a w jego głosie usłyszałam histeryczną nutę.

Spojrzałam na niego z pogardą.

– A jakie to ma dla ciebie znaczenie?

Adam zerknął niepewnie na Kostka, jednak ten nie miał wystarczająco siły, żeby odwzajemnić spojrzenie.

– Czemu jeszcze nie zeskoczyłeś z głazu? – spytałam, patrząc Adamowi prosto w oczy. – Na co czekasz?

Zacisnęłam szczękę.

– Idź lepiej po coś, co skróci twoje cierpienie – wycedził.

Z jakiegoś powodu czułam, że jego plan nie idzie tak, jak powinien. Widziałam to w jego spojrzeniu; jak się okazało, to jedyne, co zdążyłam u niego poznać tego lata. Mnóstwo spojrzeń, każde o innym znaczeniu.

To, którym teraz mnie obdarzał, było – po raz pierwszy – pełne lęku.

– Coś nie tak? – Zdobyłam się na uśmiech, po którym znów zwymiotowałam, prosto na głąz, na którym stał.

– Nie zniszczysz tego – wyszeptał.

Pociągnęłam Hannę za rękę, sprawdzając jeszcze, w jakim stanie jest Kostek.

– Kostek, proszę, nie rób tego. Poczekaj na nas, zaraz wrócimy.

Szłyśmy, choć Hanna ledwo stawiała kroki, zostawiając za sobą chłopaków. Wszystko, co mijałyśmy, zdawało się przesuwać raz w prawo, raz w lewo. Miałam wrażenie, że co chwilę wpadam na kolejne drzewa, mimo że nic takiego się nie działo.

– Dokąd idziemy? – wymamrotała Hanna, pochylając głowę ku ziemi. Jej włosy przypominające wodorosty zwiślały smętnie. Nigdy wcześniej nie kochałam jej tak bardzo.

– Do domu – powiedziałam z największą stanowczością, na jaką było mnie stać.

Nie wiem, jak dotarłam do Domku z Drewna i Szkła. Miałam wrażenie, że to wszystko trwa całe wieki, że idziemy parę godzin, że czas rozciąga się jak guma balonowa.

Gdy weszłam do środka i stanęłam w salonie, zobaczyłam tylko kałużę krwi i wymiocin.

Wenus siedziała oparta o wyspę kuchenną, kiwając się w przód i w tył. Chowała twarz w dłoniach i wydawała z siebie nieartykułowane dźwięki.

– Co się stało? – wykrztusiłam.

– Robin, Robin, Robin... – powtarzała cicho, ale to imię w jej ustach brzmiało jak słowo w obcym języku.

Dopiero po chwili dostrzegłam jego sylwetkę leżącą tuż przy narożniku. Ciemna krew wylewała się spod jego pleców, aż dotarła do moich tenisówek.

– Wenus! – Rozwarłam powieki i wreszcie wydawało mi się, że widzę wyraźnie. Aż nazbyt wyraźnie.

Robin leżał w nienaturalnej pozycji, jego oczy były szeroko otwarte, a z ust wypływała krew. Białe sportowy T-shirt pokrywały ciemne, szkarłatne plamy.

Gdy spojrzałam na Wenus raz jeszcze, dostrzegłam w jej ręce nóż. Ostrze było całe we krwi.

– Co ty zrobiłaś? – spytałam najłagodniej, jak potrafiłam, jednak histeria, która czaiła się we mnie od samego początku, przybierała na sile.

– On cały czas wkładał mi palce do gardła – powiedziała stłumionym głosem, wciskając twarz w dłonie. Wciąż kiwała się do przodu i do tyłu. – Mówił mi, jak mam wyrzucić z siebie nalewkę, bo on zna się na wywoływaniu wymiotów, a sam nic dla siebie nie zrobił. Było już za późno.

– Za późno na co?

– Męczyłby się.

– Wenus, za późno na co?

– Adam powiedział, że zginiemy w męczarniach. Wiedziałam, że wszystkim nam udało się zwymiotować chociaż trochę, a on w ogóle nie

wymiotował. Trucizna już zaczęła działać. Zaczął mieć drgawki. – Wenus mówiła z prędkością karabinu maszynowego, jak zawsze. Tym razem jednak jej głos brzmiał, jakby nie wiedziała, co mówi.

Klęknęłam przy niej i ścisnęłam ją mocno za ramiona.

– Co zrobiłaś?

– Nie mogłam patrzeć, jak się męczy. Ulżyłam mu w cierpieniu. – Gdy wreszcie uniosła na mnie wzrok, ani trochę nie przypominała mojej przyjaciółki. – W ogóle nie myślał o sobie, skupił się na ratowaniu mnie. Tak bardzo nie chciałam, żeby cierpiał. Błagam, idź po broń i strzel mi prosto w łeb.

– Wenus, przestań.

– Idź po broń, proszę. – Zaczęła lamentować, jej głos przybierał na sile. – Mamo, proszę! Mamo! – Już po chwili krzyczała gardłowo, ściskając się za brzuch.

Szlochała tak przeraźliwie, że nie byłam w stanie myśleć. Jej płacz przypominał skowyt zranionego zwierzęcia.

Był zupełnie nieludzki.

W tym momencie rzeczywistość przypominała piekło, z którego nie ma już odwrotu.

I kiedy teraz o niej myślę, nie zmieniam zdania. Gdy na czworakach doczołgałam się do ciała Robina, usiłując wyczuć tętno, przypominałam sobie wiersz Adama.

to takie proste

na takich drogach

pamiętasz o grzechach o wszystkich uciechach

gdy piekło się skrada tu na czterech nogach

Wciąż nie wiem, jak znalazłam w sobie siłę, żeby racjonalnie ocenić sytuację.

Robin nie oddychał.

Wenus była w stanie kompletnego szoku i dezorientacji.

Hanna ledwo kontaktowała, co chwilę tracąc przytomność.

Wciąż nie wiem, jak znalazłam w sobie siłę, żeby wyrwać nóż z dłoni Wenus i wrócić do lasu.

Kiedy tam dotarłam, a świat kręcił się poza mną, Adam i Kostek wisieli już na drzewie.

Krzyczałam, próbując odciąć sznur od gałęzi. Stopy ciągle ślizgały mi się po mchu, musiałam stać na palcach i wyciągać ręce wysoko do góry. Włożyłam w to całą energię, jaka mi została. Mój krzyk niósł się po lesie. Do dziś, kiedy zasypiam, słyszę go w głowie. Przypomina mi, że mam w sobie siłę, o której istnieniu nie miałam zielonego pojęcia.

Najpierw chciałam ratować Kostka. Gdy opadł na głaz, mimo szczerej i przepelniającej mnie nienawiści, zaczęłam także podtrzymywać nogi Adama i przecinać nożem linę, na której wisiał.

Nie chciałam być taka jak on.

Już po chwili obaj leżeli na leśnym runie, a ja rozluźniłam stryczki i ściągnęłam je z ich szyj.

Adam był nieprzytomny, a Kostek po kilkudziesięciu sekundach walki o oddech ocknął się i wyszeptał mi prosto do ucha:

– Wiedziałaś, że muchomory czerwone nie są śmiertelnie trujące?

Kiedy próbowałam wyciągnąć z niego coś więcej, jego wzrok zatrzymał się na mojej twarzy i zastygł w bezruchu.

Położyłam się na jego klatce piersiowej i przytuliłam z całych sił, wreszcie uwalniając łzy.

A potem – mimo że był naprawdę ciepły letni dzień – wszystko spowiła ciemność.



POCZĄTEK

Dbają tu o mnie.

Co rano jem pełnowartościowe śniadanie, potem mam przerwę w świetlicy i zajęcia fizyczne w sali do ćwiczeń.

Dopiero zaczyna się wiosna, więc na dwór przeniesiemy się z początkiem maja, a jak pogoda dopisze, może nawet w połowie kwietnia.

Ojciec i Tamara odwiedzają mnie co środę. Przychodzą z torbą wypełnioną słodyczami, napojami gazowanymi i książkami, a także czystymi zeszytami.

Oduczyłam się pisania na laptopie.

Nowe wiersze zapisuję na pachnących drukarnią kartkach. Terapeutka doradziła mi, abym opisała też całe poprzednie lato.

Właśnie kończę swoją historię, a poza papierem dopiero ją zaczynam.

Na razie nie potrzebuję korzystać z telefonu ani internetu, więc tutejsze zakazy kompletnie mnie nie obchodzą. Kiedy moi znajomi z oddziału narzekają, że tęsknią za socialami, staram się odciągnąć ich myśli rozmową o czymkolwiek. Zachęcam, żeby pisali dziennik. Kostkowi by się to spodobało.

Większość pacjentów tutaj jest w dużo gorszym stanie niż ja. Mają myśli samobójcze, głodzą się albo po kryjomu objadają. Płaczą nocami w poduszkę. Gryzą swoje ręce, wbijają w nie zęby, jakby chcieli ulżyć sobie w cierpieniu.

Jeśli chodzi o mnie, szczerze myślę, że najgorsze mam już za sobą. Staram się być dla nich oparciem, mówić im, że w końcu naprawdę będzie lepiej – i nie są to tylko puste truizmy.

Że nie umrą.

Nie tutaj i nie teraz.

Na zajęciach z terapii grupowej jest poza mną kilkanaście osób z silną hipochondrią i stanami lękowymi. Gdy po raz pierwszy opowiadałam na forum

grupy o tamtym dniu, o tym, że spotkało mnie dokładnie to, czego najbardziej się bałam, w najbardziej dramatycznej wersji najczarniejszego scenariusza, niektórzy musieli wyjść z sali.

Poproszono mnie o przerwanie.

Niektórzy zarzucili mi nawet koloryzowanie i chęć zdobycia uwagi za wszelką cenę.

Inni siedzieli cicho i wpatrywali się we mnie jak w przybyszkę z obcej planety.

Wenus spędza czas w innym ośrodku i ją zdecydowanie bardziej męczą policjanci, ale podobno także powoli dochodzi do siebie. W tamtym miesiącu zaczęła nawet przyjmować stałe pokarmy, których wcześniej uparcie odmawiała. Podobno waży teraz mniej niż ja. Wiem to wszystko od ojca, który rozmawiał z jej mamą podczas rozpraw. My nie mogliśmy w nich jeszcze osobiście uczestniczyć.

Po Nowym Roku napisałam do Wenus długi list, ale nie odpisała. Nie mam jej tego za złe.

Hanna także milczy. Przeprowadziła się z rodziną do innego kraju, zniknęła z sieci i nie mam pojęcia, jak sobie radzi.

Żadna z nas nie rozpoczęła studiów, ale może kiedyś będziemy miały na to jeszcze szansę. Robin z Kostkiem – już nie.

Nie poszłam na pogrzeb żadnego z nich; były głośne i medialne. Terapeutka uznała, że jest na to stanowczo za wcześnie.

Myślę, że to dobrze – chcę zapamiętać ich szczęśliwych, uśmiechniętych i pełnych kretyńskich pomysłów.

Ciało Robina spoczęło na obrzeżach miasta. Jego rodzice chcieli odciąć go od całej sprawy, naciskali, żeby przynajmniej teraz nie miał nic wspólnego z żadnym z nas.

Grób Kostka znajduje się na tym samym cmentarzu co grób mojej mamy. Nie mam jeszcze odwagi, żeby go odwiedzić.

Tamtęego dnia zasnąłam w lesie i obudziłam się dopiero kolejnego poranka, cała we własnych wydzielinach. Hanna i Wenus były w podobnym stanie,

w salonie Domku z Drewna i Szklą. Adam wciąż leżał nieprzytomny lub po prostu spał; wypił więcej nalewki niż my, podobno żeby się nie rozmyślić.

Hannie udało się dotrzeć do samochodu, którym jakimś cudem dojechała do głównej drogi. Wezwała pomoc, zatrzymując machaniem jakiejś przypadkowe auto.

Jeszcze tego samego dnia Domek z Drewna i Szklą został otoczony taśmą policyjną, w lesie roilo się od policjantów i prokuratury. Zabrał nas helikopter ratunkowy, ale nie pamiętam nic z tej podróży poza przeraźliwym hałasem i kojącym głosem jakiegoś młodego ratownika.

Po pierwszych badaniach toksykologicznych lekarze w szpitalu powiedzieli mi to samo co Kostek, zanim odszedł – muchomor czerwony spożyty w takich ilościach nie zabija. Robi to między innymi muchomor sromotnikowy, który wyglądem przypomina inne jadalne grzyby, ale słynny muchomor czerwony, ten z białymi kropkami – tak silnie zakorzeniony w popkulturze – jest wyłącznie trujący, z potężnym działaniem psychodelicznym.

Adam dobrze o tym wiedział.

Czuję okrutny rodzaj ulgi, że nie widziałam reakcji Wenus na tę informację. Świadomość, że śmiertelnie ugodziła nożem Robina, któremu nic nie groziło, musiała ostatecznie ją zniszczyć.

Adam chciał nam wmówić, że umrzemy, żeby nie mieć krwi na rękach. Chciał nas tylko podtruć, wywołać halucynacje i wykorzystać naszą niewiedzę na temat grzybów. Chciał, żebyśmy sami pozbawili się życia, przyczyniając się do spełnienia jego chorej wizji.

Wola walki była jednak silniejsza.

Ja – potencjalnie najsłabsze ogniwo – okazałam się jego największym zagrożeniem.

Dlatego próbował owinąć mnie sobie wokół palca.

Dlatego starał się wzbudzić moje zaufanie już od pierwszej nocy spędzonej w Domku z Drewna i Szklą.

Dlatego udawał, że coś do mnie czuje.

Wiedział po prostu, że kocham Kostka – w taki sam sposób, w jaki on go kochał – i że musi mnie od niego odciągnąć, a przybliżyć do siebie.

Wiedział, że ta walka będzie wymagała od niego więcej wysiłku, niż na początku zakładał.

Ojciec Kostka podobno rozstał się z matką Adama, a zaraz po tym w sądzie zaczęły wychodzić na jaw nowe fakty, które miały stanowić okoliczności łagodzące.

Jej szokujące zeznania obiegły wszystkie media już w pierwszym dniu procesu, a ich prawdziwość została potwierdzona przez sąd. Przyznała w stanie ogromnej hysterii, że to ona dwadzieścia cztery lata temu, będąc w ciąży z Adamem, spowodowała wypadek samochodowy w okolicy Domku z Drewna i Szklą. Pasażerem na miejscu obok był jego ojciec, z tyłu siedziały jej dwie przyjaciółki. Zginął nie tylko niezidentyfikowany mężczyzna w drugim aucie, które spadło wówczas w przepaść.

Matka Adama straciła wtedy jeszcze kogoś, bo – jak się okazało – była w ciąży bliźniaczej. Wypadek i uderzenie wywołały natychmiastowy poród.

Adam przeżył, jego jednojajowy brat bliźniak – nie.

Według analizy biegłych Adam mógł zatem całe życie odczuwać specyficzny brak, mógł w jakiś sposób pamiętać to wydarzenie, a pierwszy trip po magicznych grzybkach mógł wygrzebać z najgłębszych czeluści jego podświadomości takie wspomnienia. Niestety tuż po wypadku i wyroku w zawieszeniu dla matki rodzice Adama postanowili się rozstać i nigdy mu o tym nie mówić, żeby go chronić; skończyło się tragicznie.

Czy sąd rzeczywiście potraktuje to jako okoliczność łagodzącą? Być może.

Nie zmienia to jednak faktu, że Adam był owładnięty obsesją, w którą wciągnął mojego najlepszego przyjaciela i chłopaka, którego wszyscy kochaliśmy.

Że wmówił mu własne projekcje, przelał je na niego i wykorzystał wszystkie słabości, żeby karmić go swoimi wizjami.

Nawet jeśli sam szczerze w nie wierzył.

Potem zadziałał już efekt domina i wszyscy po kolei zostaliśmy wciągnięci w jego chory plan.

Ostatni raz słyszałam o Adamie tydzień temu, kiedy jedna z pielęgniarek przypadkiem przełączyła kanał w telewizji na serwis informacyjny. Choć wyblurowali mu twarz, rozpoznałam jego gesty, poza tym imię i pierwsza litera nazwiska widniały na pasku. Wyrok w sprawie dopiero zapadnie, wciąż zbierane są dowody.

Poza zeznaniami jednym z nich jest mój notatnik z terapii.

Inne to oczywiście nagrania z telefonu Hanny. Biegli analizują je na wszystkie sposoby, dopatrując się potwierdzenia cech niepczytalności i zaburzeń osobowości u Adama. Znaleźli go nawet na nagraniu z supermarketu – to on był chłopakiem w bluzie z kapturem, który przypadkowo wszedł nam w kadr, kiedy kręciłam Hannę z wózkiem. Śledził nas już wtedy, będąc w stałym kontakcie z Kostkiem, dlatego nie było go w Domku z Drewna i Szklą tak długo po naszym przyjeździe.

Podobno na każdym z procesów, siedząc na ławie oskarżonych, utrzymywał przez cały czas, że to on jest ofiarą. Odebraliśmy mu szansę na kolejne życie, przez co już nigdy nie znajdzie swojej drugiej połówki.

Jeśli dalej będzie brnął w tę wizję – mimo zapoznania się z faktem o prawdziwym wypadku samochodowym – z pewnością nie trafi do więzienia, ale do ośrodka.

Nie mogę znieść tej myśli.

Przypominam sobie jego słowa, kiedy mówił o zbieraniu magicznych grzybków.

„Uznałem, że w więzieniu tak czy siak mógłbym pisać i czytać książki”.

Co do jego pisania – oczywiście było to jedno wielkie kłamstwo. Jedno z wielu, na które się nabraliśmy. Adam nigdy nie napisał żadnej książki, zapewne licząc, że już pierwsza będzie jego opus magnum.

Wszystkie raporty wydrukował z góry, sam układając tabelki w Excelu. Chciał, żebyśmy wierzyli, że dobrze sobie radzi i jest samodzielny. Tak naprawdę ojciec przelewał mu co miesiąc pieniądze na podstawowe wydatki, choć poza tym nie mieli żadnego kontaktu. Rzeczywiście od wielu lat mieszkał w Kanadzie.

Dziś rano grupa chłopaków z oddziału rozmawiała na stołówce o grach na PlayStation. Przypomniałam sobie *Until Dawn* i swoją rozpacz, kiedy mimo kolejnej szansy na rozgrywkę zginęła w niej dwójka bohaterów. Byłam wtedy przekonana, że podjęłam najlepsze decyzje, a i tak nie udało mi się ich ocalić.

Czasem budzę się w środku nocy i myślę. Może gdybym nie próbowała nikogo ratować, Adam by nie przeżył i rzeczywiście odrodziliby się z Kostkiem jako jedna osoba? Może po prostu wszystko zniszczyłam? Może mieli rację, a ja jestem ograniczona?

Terapeutka mówi, że to poczucie winy jest normalne, ale zupełnie nieobiektywne.

Zrobiłam wszystko, co mogłam i co powinnam była zrobić.

Zawsze, kiedy przychodzą te najgorsze, najmroczniejsze myśli, patrzę na zdjęcie mamy stojące przy moim łóżku przez cały czas, odkąd tu jestem.

Wyciągam wtedy fotografię, a następnie wymiętoszoną karteczkę, którą ukryłam między ramką a zdjęciem.

To ostatnia karteczka od niej.

Tak naprawdę, chociaż nienawidzę tego określenia, to jej specyficzny list samobójczy, który przypięła na lodówce magnesem z Paryża.

Karteczka zawiera tylko jedno zdanie – i to jedno zdanie od jakiegoś czasu koi mnie jak balsam, choć kiedyś uważałam je za zwyczajnie okrutne.

„Zosiu, nigdy nie bój się sięgać dna”.

Dopiero teraz jestem w stanie je zrozumieć.

Wspominałam wcześniej, że to lato było jak wspólne opadanie na dno przy akompaniamencie radosnych pociągnięć smyczkami.

Dalej tak uważam.

Czuję, że na tym dniu zostało bardzo dużo. Kości naszych snów, marzeń, planów. Popiół i zgliszcza.

Na dnie został Kostek i Robin.

Ja, mimo że ciężko mi się oddycha, płynę do góry i przez gąszcz wpadających mi do ust, oczu i nosa wodorostów widzę delikatny prześwit. Nie wiem jak długo zajmie mi dotarcie na powierzchnię, czy w ogóle kiedykolwiek

tam dotrę. Może nagle złapie mnie za stopę coś zimnego, mrocznego, co znów pociągnie mnie na dno?

A może nie.

Jedno wiem na pewno: tego lata nastąpił przełom – jedyna rzecz, co do której muszę przyznać Adamowi rację i która zapewne stała się dzięki niemu.

Niczego się już nie boję.

Spis treści

[Okladka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Playlista](#)

[Koniec](#)

[Początek](#)

[Karta redakcyjna](#)

Redaktorka prowadząca: Ewa Pustelnik

Wydawczyni: Monika Rossiter

Redakcja: Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta: Ida Świerkocka

Projekt i opracowanie okładki: Łukasz Werpachowski

Ilustracja na okładce: © Jędrzej Nyka

Copyright © 2023 by Marta Bijan

Copyright © 2023, Young an imprint of Wydawnictwo KobiECE
Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2023

ISBN 978-83-8321-461-0

Grupa Wydawnictwo KobiECE | www.WydawnictwoKobiECE.pl



Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Ossowska